Jak władza przetrwa **powódź** | Kto płaci na **PiS** | Szkoły bez **smartfonów**?
Państwo **Żebrowscy** w sieci | Pułapki **odszkodowań** | Bohater **bóbr**

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 41 (3484), 2.10–8.10.2024

Cena 12,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Kiepska SUKCESJA

ŻONA JUSTYNA KULKA

ZYGMUNT SOLORZ

SYNOWIE PIOTR ŻAK I TOBIAS SOLORZ

Co dalej z Polsatem i całym imperium Zygmunta Solorza?

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500

9 770032 350404 41

POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki POLITYKI

Październikowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

POLITYKA w numerze 41 [2.10–8.10.2024]

15 Polityczna fala popowodziowa

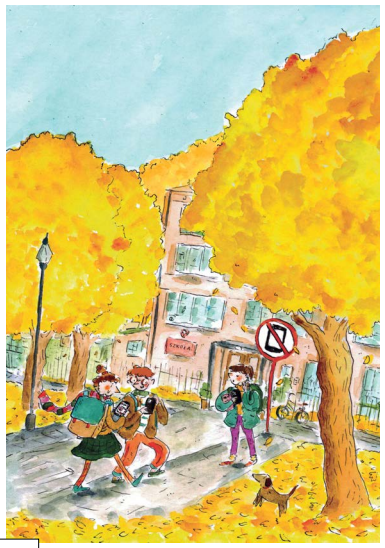

24 Uczeń bez smartfona?

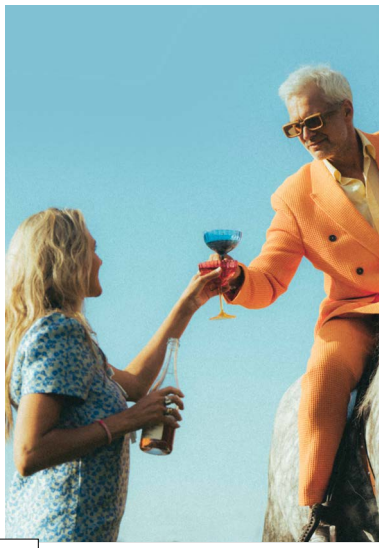

33 Żebrowscy z dystansem

Tematy tygodnia

12 Joanna Solska **Imperium Zygmunta Solorza: gra o tron**
15 Rafał Kalukin **Kto popłynie na powodzi**

Polityka

18 Michał Tomasik **Marcin Kierwiński: człowiek do zadań specjalnych**
21 Anna Dąbrowska **Jak idzie zbiórka pieniędzy na PiS**

Społeczeństwo

24 Joanna Cieśla **Szkoły decydują o smartfonach**
27 Norbert Frątczak **Dlaczego obcokrajowcy chcą studiować w Polsce**
30 Rozmowa z **Jackiem Jordanem**, nocnym burmistrzem Krakowa, o patoturystyce i życiu w mieście, które nigdy nie śpi
33 **Aleksandra i Michał Żebrowscy** o tym, jak się robi internety
36 Martyna Bunda **Aborcja: polowanie na czarownice**

Rynek

38 Rozmowa z **Rafałem Mańkowskim** o tym, jak zminimalizować straty po powodzi, która... znów nadejdzie
41 Adam Grzeszak **Volkswagen zaciska pasa: czy mamy powody do niepokoju?**

Świat

46 Paweł Reszka, Evgenia Tamarchenko ROSJA **Skąd Putin bierze żołnierzy i ile im płaci**

50 Rozmowa z **Hansem Kundnanim** o tym, dlaczego największym problemem UE są dziś Niemcy
53 Łukasz Wójcik **Gloria von Thurn und Taxis: wszechpotężna księżna skrajnej prawicy**

Nauka/projektpulsar.pl

56 Krzysztof Potaczała **Co może bóbr**
59 **Eric H. Cline**, badacz zaginionych cywilizacji, o tym, czy czeka nas upadek
62 Leszek Pacholski **Anglosaska recepta na bolączki polskich uczelni**

Historia

64 Tomasz Targański **Dzieje zapisane na banknotach i monetach**
68 Stefan Michał Marcinkiewicz **1943: zamach, którego nie było**

Kultura

74 Rozmowa z **Dagmarą Domińczyk** o aktorstwie i wspomnieniach z Polski
78 Aneta Kyzioł **Opętanie, które inspiruje**
81 Justyna Sobolewska **Czego uczy Żywa Biblioteka**
84 Janusz Wróblewski **Festiwal filmowy w Gdyni: Złote Lwy za odwagę**
87 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

92–97 • **Powodziowi turyści**
• **Kalkulator Apple'a**
• **Czemu czemó**
• **Muzyczna reaktywacja**
• **Tradwives**
• **Zamienniki arabiki**
• **Wino z Santorini**

Stałe rubryki

• **4** Mleczko i Mizerski • **6** Przypisy
• **7** Ludzie i wydarzenia • **70** Afisz
• **88** Koziołek • **89** Orliński
• **90** Chutnik i Plebanek • **91** Do i od redakcji
• **98** Polityka i obyczaje

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

FOTOGRAFIE NA OKŁADCE: © PIOTR WANIOREK/FORUM, MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM, PIOTR MATUSEWICZ/EAST NEWS, FOTON/PAP, SHUTTERSTOCK (2), STUDIO POLITYKI

GALERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Racibórz Dolny na prezydenta

Premier Donald Tusk zrobił wszystko, żeby w walce z powodzią dobrze wypaść, ale prawda jest taka, że zbiornik wodny Racibórz Dolny wypadł lepiej od niego. Mieszkańcy Opolszczyzny i Dolnego Śląska są zbiornikiem Racibórz Dolny zachwyceni, a Tuskiem nie. W entuzjastycznych wpisach internetowych dziękują zbiornikowi za to, co dla nich zrobił. „Jesteś moim bohaterem. Trzymaj się i nie pękaj", „Wrocław cię uwielbia", piszą.

Racibórz Dolny przebił popularnością polityków wszystkich opcji i obecnie cieszy się większym zaufaniem niż prezydent Andrzej Duda, bo jest od niego większy, skuteczniejszy, a do tego tańszy w utrzymaniu. Zdaniem wielu Polek jest również obiektem znacznie bardziej interesującym. Nie ukrywają, że ze względu na swoje bezpieczeństwo za sąsiada wolałyby mieć Racibórz Dolny, a nie Dudę.

Słychać głosy, że zbiornik ten byłby lepszym prezydentem niż Duda. Trudno powiedzieć, w każdym razie Racibórz Dolny na pewno nie ułaskawiłby Wąsika i Kamińskiego, nie mianował dublerów na zajęte stanowiska sędziów TK i nie wygłosił tylu idiotycznych opinii na rozmaite tematy, nie mówiąc o przyjaźnieniu się z neosędzią Manowską i zapraszaniu jej do siebie na domówki.

Wielu publicystów zarzuca Tuskowi, że transmitowane na żywo obrady sztabu antykryzysowego to polityczny teatr telewizji, obliczony na wzmocnienie jego wizerunku. Jeśli tak, to przykro mi, ale ten teatr nie porywa – przedstawienie jest mocno przydługie, akcji brak tempa, wykonawcy mówią tekst niechlujnie, wyglądają, jakby grali z musu, a widz cały czas zastanawia się, gdzie jest reżyser…

Może się na teatrze nie znam, ale zupełnie inaczej odbieram poświęcone krytyce Tuska porywające występy przedstawicieli opozycji, zwłaszcza posła Błaszczaka, gdzie zachwycony sobą Błaszczak deklamuje wykuty na pamięć tekst wyraźnie, z zaangażowaniem, robiąc przy tym teatralne miny godne innego giganta teatru – Andrzeja Dudy. Fraza Błaszczaka, mimo że przyciężka, posiada charakterystyczną dla niego umysłową lekkość, płynnie przechodzącą w intelektualny bełkot; polityk udaje, że straszy Tuskiem, a jednocześnie rozśmiesza; chwilami jest tak śmieszny, że aż przeraża, jest po prostu przeraźliwie śmieszny, a widz patrzy na Błaszczaka z niedowierzaniem, z trudem opanowując emocje, które mimo to rosną i sprawiają, że w końcu chwyta pilota i przełącza telewizor na coś mniej ambitnego i teatralnego, np. „Familiadę" albo na Tuska i obrady sztabu przeciwpowodziowego.

Albatros travel

Chorwacja – zwiedzanie i wypoczynek

NOWOŚĆ

Wybierz się do Dalmacji, odwiedź Dubrownik i wyspę Korcula oraz odpocznij w 5-gwiazdkowym hotelu, położonym nad Morzem Adriatyckim w miasteczku Cavtat.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Dubrownik. Przyjazd do Cavtat i spacer po mieście. **Dz. 2** Cavtat – Dubrownik – Cavtat – rejs do Dubrownika, spacer po mieście i czas wolny. **Dz. 3** Cavtat – Ston – Korcula – Cavtat. Wyspiarski klimat na Korculi i wizyta przy najdłuższym systemie murów w Europie. **Dz. 4** Cavtat – Neretwa – Mostar – Cavtat. Czas wolny lub wycieczka fakultatywna z rejsem w delcie Neretwy i spacer po mieście Mostar w tym lekki obiad. **Dz. 5** Cavtat – Konavle – Cavtat. Zabytki historyczne i wizyta w starym młynie wodnym z degustacją lokalnych specjałów i wina. **Dz. 6** Cavtat – Perast – Kotor – Cavtat. Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Czarnogóry z wizytami w Perast i Kotorze, w tym lokalny obiad. **Dz. 7** Cavtat. Czas do własnej dyspozycji i pożegnalna kolacja w lokalnej restauracji. **Dz. 8** Dubrownik – Warszawa. Powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 22/04 2025 | 5.998,-

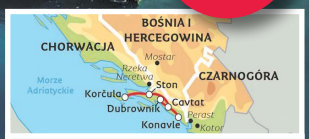

Napiwki wliczone w cenę

USA – Wschodnie Wybrzeże

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Nowy Jork – Filadelfia. Zameldowanie w hotelu. **Dz. 2** Filadelfia – Baltimore – Waszyngton. Dzwon Wolności i Waszyngton by night. **Dz. 3** Waszyngton. Wycieczka po mieście, The Mall, cmentarz w Arlington oraz Air & Space Museum. **Dz. 4** Waszyngton, D.C. – Gettysburg – Lancaster – Williamsport. Wizyta w wiosce amiszów. **Dz. 5** Williamsport – Wodospad Niagara, USA. Rejs statkiem po kanadyjskiej stronie wodospadów. **Dz. 6** Niagara Falls – stany Nowy Jork i Massachusetts. **Dz. 7** Framingham – Boston – Hyannis na wybrzeżu Nowej Anglii. **Dz. 8** Hyannis – Newport – Yale – Nowy Jork. **Dz. 8** Hyannis – Newport – Yale – Nowy Jork. **Dz. 9** Nowy Jork. Objazd, 9/11 Memorial i czas wolny. **Dz. 10** Nowy Jork i wylot. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy 02/05, 19/09 2025

od 15.998,-

Kolacja Sylwestrowa w cenie

Nowy Rok w Rzymie

Powitaj Nowy Rok w wiecznym mieście – Rzymie. Poznaj jego największe atrakcje i daj się uwieść niepowtarzalnemu urokowi tego wspaniałego miasta.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Rzymu. Kolacja w hotelu. **Dz. 2** Zwiedzanie Rzymu pieszo z przewodnikiem. Ołtarz Pokoju, Schody Hiszpańskie, Fontanna Barcaccia i Fontanna di Trevi oraz Panteon, następnie czas wolny. **Dz. 3** Wycieczka do Castelli Romani, w programie wizyta w Castel Gandolfo i Frascati z lekkim obiadem (dodatkowo płatna). Wieczorem kolacja Sylwestrowa. **Dz. 4** Dzień wolny w Rzymie. Możliwość odwiedzenia Bazyliki św. Piotra lub podziwianie noworocznych skoków do Tybru z Ponte Cavour. **Dz. 5** Spacer po Watykanie z przewodnikiem. Wylot z Rzymu do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2024 | 4.898,-

albatros.pl | rezerwacja **+48 22 128 48 81**

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.

Kod reklamy: PL38

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Polityczny tombak

Mariusz Janicki

Można się było spodziewać, że powódź z fazy hydrologicznej przejdzie w fazę polityczną. PiS był wyraźnie pogubiony na początku śląskiego dramatu, trwał bezwład partyjnej machiny, działały jeszcze stare przekazy dotyczące ogólnej nielegalności Donalda Tuska i jego reżimu – w sądownictwie i prokuraturze. Potem dopiero formacja Kaczyńskiego zaczęła krytykować rząd za niezajęcie się powodzią i pozostawienie Polaków samych wobec żywiołu oraz oferowała coraz większą pomoc finansową powodzianom, zwłaszcza na koszt budżetu, którym zawiaduje minister z Platformy. Pojawiły się stare chwyty PiS – polityczny szantaż, moralna i kulturowa wyższość patriotycznej prawicy, zarzut, że Platforma jest partią „zewnętrzną", dlatego nie interesują jej sprawy pokrzywdzonych zwykłych ludzi, a nawet insynuacja, że powódź musiała być w Polsce, aby ocalić niemiecką Brandenburgię.

Ale te wszystkie insynuacje i wymysły zadziałały wyraźnie słabiej niż jeszcze do niedawna. Polityczne złoto okazuje się na razie tombakiem. Mimo pokrzykiwań w Sejmie ataki PiS były rutynowe, jakoś bez siły i przekonania. Tak się złożyło, że jednego dnia pojawiły się dwa wydarzenia: przemówienie Donalda Tuska w Sejmie z informacją rządu o powodzi oraz odwołanie zaplanowanego na końcówkę września kongresu PiS, który miał nadać tej partii nowy impet, i przeniesienie go na 12 października. To już drugie odwołanie po niedawnej rezygnacji z prawicowego campusu zwanego campisem. Choć Tusk w swoim wystąpieniu odnosił się rzecz jasna do twierdzeń i działań opozycji, wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest zajęty czymś innym. Na platformie X napisał, żeby nie przejmować się „szczuciem PiS", ponieważ „dziś liczą się tylko skuteczna pomoc, solidarność mieszkańców (…). Ważne jest, co kto robi, a nie co kto mówi". To zdaje się jest obowiązująca na razie strategia: ignorowanie PiS, pokazywanie, że to władza realnie rozwiązuje problemy. Czyli mniej walki partyjnej i ideologii, a raczej tryb sprostowań, wyjaśnień, apelowanie i podawanie liczbowych danych. Ta metoda jak dotąd przynosi rezultaty.

Pierwszy partyjny sondaż po powodzi pokazał, że Platforma straciła tylko ułamek procenta poparcia, PiS prawie 1,5 proc., a Konfederacja wróciła na ostatnie miejsce w szeregu. Także działania obecnej władzy podczas klęski żywiołowej zostały ocenione całkiem dobrze, ponad połowa zapytanych wyraża się o nich pozytywnie, a 38 proc. negatywnie. Daleko na razie do „spłynięcia rządu Tuska" wraz z falą powodziową, co wróżyły propisowskie media. W prawicowych komentarzach widać było „szok i niedowierzanie". Najwyraźniej wyśmiewane przez wielu, niekończące się posiedzenia powodziowego sztabu Tuska uchroniły jego partię i rząd przed powodziową katastrofą (więcej o strategii rządu i PiS w czasach klęski żywiołowej s. 15).

Oczywiście trzeba czekać na kolejne badania opinii, może jednak okazuje się właśnie, że stare prawidłowości z ostatniej dekady, że na wszystkim korzysta raczej PiS, że stale trzeba uważać, bo „co na to wyborcy PiS", a Platforma ma z definicji pod górkę, przestały się automatycznie sprawdzać. Jeśli ta ofensywa premiera i jego ekipy będzie kontynuowana, PiS umiejętnie marginalizowany, Platforma może utrzymać nad głównym przeciwnikiem przewagę, która wcześniej zaczęła już maleć. Wiele będzie zależeć od drugiego etapu powodzi, czyli sprawności przy usuwaniu jej skutków. Nierozsądne jest nazywanie Marcina Kierwińskiego (jego sylwetka s. 18), koordynatora tej pomocy i procesu odbudowy zniszczeń, „kozłem ofiarnym", jak to się zdarza w mediach, bo to oznaczałoby, iż Tusk zakłada tu porażkę. Na takie niepowodzenie w czasie kampanii prezydenckiej lider PO nie może sobie pozwolić. To nie jest misja Kierwińskiego, ale Platformy, także jej kandydata na prezydenta – ktokolwiek nim będzie – oraz całej koalicji rządzącej. Słychać, że nominacja dla Kierwińskiego budzi jakieś opory koalicjantów, bo ich ministrowie będą się starać, a osiągnięcia w odbudowie po powodzi przypadną Tuskowi i Kierwińskiemu, którzy będą je społeczeństwu referować. Jednak polityczny interes koalicji jest wspólny, to jeden wózek – albo razem wygra, także w sprawie powodzi, albo solidarnie przegra. To nie jest tak, że 15 października zeszłego roku wyborcy wybierali sobie partie jak z kapelusza, a potem nagle wielkie, miłe zaskoczenie: to PiS przegrał? To był jednak ambitniejszy projekt polityczny, gdzie wszystkie elementy okazały się równie niezbędne, co skuteczne.

Przy okazji powodzi odezwali się również ci co zawsze. Stwierdzili, że po tak dramatycznych wydarzeniach trzeba teraz w Polsce już koniecznie „depolaryzować" politykę, szukać kompromisu, zakończyć „wojnę polsko-polską". Znowu jacyś „normalsi" mają wreszcie zwyciężyć „totalsów" po obu stronach „politycznego sporu". Takie wątki pojawiały się w Gazecie.pl, w „Rzeczpospolitej", są też osnową wydanej niedawno książki prof. Marcina Matczaka. Obecną popowodziową ofensywę, lansującą „nowe centrum", można traktować jako forpocztę kampanii prezydenckiej, pod tego „trzeciego pretendenta", a w praktyce pod kandydata PiS. Te tezy, które torowały drogę do zwycięstwa Andrzeja Dudy i PiS w 2015 r., a potem podtrzymywały władzę Kaczyńskiego przez osiem lat, znowu chcą popłynąć na powodziowej fali. Dokładnie tak jak wcześniej w czasach covidu, a zwłaszcza po wybuchu wojny w Ukrainie, kiedy padło hasło, żeby może w takiej sytuacji odpuścić PiS np. to nieszczęsne sądownictwo. Ta metoda zrównuje wszystkich „totalsów", bez wnikania w szczegóły, za czym się opowiadają jedni i drudzy. Radykalizm niszczycieli wolnościowego ustroju przy takim ujęciu ma się niczym nie różnić od zdecydowania obrońców demokracji. Ta „depolaryzacja" korzysta w dodatku z nimbu szlachetności, propaństwowego pogodzenia się itd.

Ani covid, ani wojna, ani powódź nie zmieniają zasad wolnościowego, demokratycznego ustroju. Zawsze pisaliśmy, że nie ma tu alibi, to są sprawy rozłączne, niepodlegające kompromisom. Nie wiadomo poza tym, czego chcą „normalsi", ci z wynurzeń niektórych publicystów: czy żeby było trochę z PiS, a trochę z Platformy? Jeśli tak, to należałoby uznać, że część ustrojowych, sądowniczych, prokuratorskich i medialnych porządków, zaprowadzonych przez Kaczyńskiego, trzeba zaakceptować w imię świętego spokoju. Na to nigdy nie będzie zgody demokratycznych „totalsów", ponieważ nie ma tu symetrii. I nie chodzi tu konkretnie o PiS i PO – akurat tacy są teraz reprezentanci opcji – ale o systemy ustrojowych wartości, które proponują te formacje. Bo „normalsi" z opowieści niektórych komentatorów nieprzypadkowo nie wyłonili własnego ugrupowania, co byłoby najprostsze. Ale oni go nie potrzebują, ponieważ już mają do wyboru dowolną partię „antytuskową". Jak głosi znana formuła: nie ma przypadków, są tylko znaki.

Specustawa powodziowa: ile i dla kogo

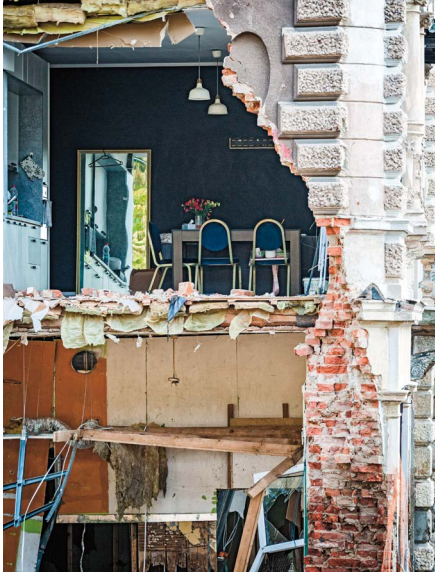

Najpierw były pierwsze zasiłki (**10 tys. zł**) i bezzwrotne wsparcie na remont czy budowę domu (**do 200 tys. zł**) oraz budynków gospodarczych (**do 100 tys. zł**). Teraz przez parlament w ekspresowym tempie przechodzi tzw. specustawa powodziowa. W jednym dokumencie rząd próbuje zebrać nie tylko różne formy pomocy, ale też rozwiązania mające ułatwić życie na terenach powodziowych. W tle są licytacja z opozycją (PiS zgłosił własny projekt) i rywalizacja wewnątrz samej koalicji: kto zaoferuje więcej i szybciej.

Co znajdziemy w specustawie? Do zasiłku powodziowego dochodzi losowy w wysokości **1 tys. zł** przysługujący dzieciom w rodzinach poszkodowanych przez żywioł oraz kolejne **1 tys. zł** na pokrycie kosztów energii czy paliwa do agregatów osuszających zalane mieszkanie lub dom. Po **2 tys. zł** dodatku dostaną pracownicy socjalni pracujący z powodzianami. Na spore wsparcie mogą liczyć samorządy: z Funduszu Dopłat dostaną pokrycie od 70 do nawet 100 proc. kosztów remontu czy odbudowy mieszkań komunalnych zniszczonych przez wodę.

Aby ograniczyć ciężar ponoszony przez budżet (specustawa powodziowa ma kosztować finanse publiczne **ok. 6,5 mld zł** w ciągu najbliższej dekady), rządzący planują wykorzystać też banki. To one składają się na Fundusz Wsparcia Kredytobiorców, który przez najbliższe 12 miesięcy będzie spłacał raty kredytów mieszkaniowych powodzian. To wsparcie o charakterze bezzwrotnym. W przeciwieństwie do popularnych wakacji kredytowych nie spowoduje ono wydłużenia okresu spłaty. Fundusz ma do dyspozycji ponad **1,2 mld zł** (dotąd – mimo znacznego wzrostu stóp procentowych – kredytobiorcy występowali do niego o wsparcie w bardzo niewielkim stopniu), więc powinien sobie poradzić z nowym zadaniem.

Pierwsza wersja specustawy została skrytykowana jako zbyt mało przyjazna poszkodowanym przedsiębiorcom. Rząd szybko zgłosił autopoprawkę, która przewiduje tzw. świadczenie interwencyjne. Kto prowadzi działalność gospodarczą, a poniósł straty z powodu powodzi, ten dostanie specjalne wsparcie. Pod warunkiem że przez najbliższe pół roku nie zmniejszy poziomu zatrudnienia. Wysokość świadczenia ma być uzależniona od liczby pracowników. Przykładowo prowadzący jednoosobową działalność otrzymają **12 tys. zł.** Z kolei poszkodowani pracownicy mogą wziąć 20 dni wolnego na usuwanie skutków powodzi. Zapłaci za to pracodawca, który może te pieniądze odzyskać od państwa – jednak na każdego zatrudnionego nie więcej niż **ok. 8 tys. zł.**

Spore emocje wzbudziła też wzmianka o niedzielnym handlu. Na terenach powodziowych wolno będzie w niedziele rozładowywać i przyjmować do sklepów towary pierwszej potrzeby. Jednak nie oznacza to wcale możliwości otwierania dużych punktów handlowych dla klientów. Takie zmiany w województwach dotkniętych powodzią i sąsiednich próbowała przeforsować Polska 2050 – ale bez sukcesu. Niedzielnego zakazu handlu nawet wielka woda nie jest w stanie podmyć. (CK)

PiS zmaga się z własnym kongresem

22 września PAP spytał **Jarosława Kaczyńskiego**, czy w sytuacji klęski żywiołowej na południu kraju PiS nadal planuje na 28 września kongres, na co prezes odparł, że tak, kongres odbędzie się zgodnie z planem. 25 września rzecznik PiS Rafał Bochenek ogłosił, że zjazd został odwołany z powodu powodzi. Nowy termin kongresu to sobota 12 października, miejsce to samo – Przysucha.

Oficjalne wyjaśnienie przyczyny przełożenia kongresu nie musi być do końca niezgodne z rzeczywistością; PiS wyglądałby dość głupio, zajmując się swoim statutem tego samego dnia, gdy rząd pracował nad nowelizacją budżetu. Ale za decyzją Kaczyńskiego mogły stać także inne względy. Dwa dodatkowe tygodnie na rozmowy bardzo się PiS przydadzą. Bo na razie nastroje są marne, optymizm co do wyborów prezydenckich – wyłącznie urzędowy, a potrawy, które miał przyrządzić kongres – niedogotowane.

Pierwsza kwestia to uchwalenie zmian w statucie PiS i utworzenie nowego ciała, komitetu wykonawczego. Ma być to instytucja bez większego znaczenia, kierowana przez Mariusza Błaszczaka i składająca się z polityków młodszego pokolenia. Detale są jednak trudniejsze do ustalenia – jak wpasować komitet wykonawczy w strukturę PiS (gdzie jest też komitet polityczny i nieformalne, acz najważniejsze w zarządzaniu formacją prezydium komitetu politycznego), ile osób powinno tam trafić i przez kogo powinny być wybrane? Wygląda na to, że PiS potrzebuje na te decyzje jeszcze co najmniej jednego okrążenia intelektualnego.

Sprawa druga, trudniejsza, to fuzja z Suwerenną Polską. Kaczyński od miesięcy do niej prze. Koncepcja Zjednoczonej Prawicy, której pozostałością są ziobryści, się zestarzała. Dla Kaczyńskiego przyciągnięcie SP byłoby etapem porządkowania prawicy i zabezpieczeniem się przed próbą budowy nowego bytu. Zjednoczenie byłoby też sygnałem, że PiS jest wciąż zdolny do ofensywy. Rozmowy z europosłem Patrykiem Jakim, kierującym partią pod nieobecność chorego Zbigniewa Ziobry, okazały się jednak trudne. Jaki chciałby mieć realną władzę w PiS, a nie tylko niewiele znaczący tytuł wiceprezesa (podobno chodzi o kontrolę nad zasobami internetowymi PiS), inni ziobryści także widzieliby siebie w ważnych rolach w większej partii (np. szefów struktur okręgowych, których znów ma być 41).

Niechętni fuzji są Ziobro i jego żona Patrycja Kotecka (formalnie asystentka Jakiego w europarlamencie), dla których oznaczałaby ona po 13 latach kres budowy własnego projektu na prawej flance PiS; powstaje też pytanie o miejsce dla Ziobry po fuzji. Część posłów Suwerennej Polski obawia się, że PiS postawi na Mateusza Morawieckiego w wyborach prezydenckich, a w takiej kampanii ziobryści nie chcieliby uczestniczyć – podnoszą się więc głosy, by z fuzją poczekać na nominację kandydata na prezydenta. A tę decyzję PiS chce z kolei ogłosić bliżej końca roku.

Być może obie sprawy – statutową i zjednoczeniową – uda się PiS wynegocjować przed kongresem 12 października. Ale wrażenie, że partia wciąż kuleje po utracie władzy, raczej pozostanie. (WBS)

© MAREK ŁADZIŃSKI/FORUM, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

Bóbr i wilk

„Będzie dobrze, panie bobrze" – tymi słowami w ostatni weekend Donald Tusk wycofał się z pomysłu „neutralizacji bobrów" (czytaj: ich odstrzału) jako sposobu na zapobieganie powodziom. Zapowiedział, że wały będą budowane w inny sposób, ale tak, żeby bobry nie mogły ich uszkadzać. I dobrze, bo wcześniejsze przyzwolenie premiera na „wszelkie działania pozostające w granicach prawa" w walce z bobrami łatwo mogło stać się hasłem do kolejnej antyzwierzęcej nagonki – wszak wciąż żywa jest pamięć o rzezi dzików, którą pod pretekstem walki z ASF urządziła Zjednoczona Prawica.

Reakcja Tuska zapewne wynikała z **lawiny memów z bobrami** i fali krytyki, której premier doświadczył w ostatnich dniach. W sieci słynne ośmiogwiazdkowe hasło przerobiono na: „Nie bać Tuska". A PiS szybko wyczuł, że może coś na tym ugrać. „Weźcie się do roboty i zostawcie bobry w spokoju" – apelował więc na platformie X Mateusz Morawiecki. Ale oburzona była także koalicyjna Lewica, a nawet przychylny zwykle Tuskowi portal Politico, który opublikował zdjęcie premiera mierzącego ze strzelby do bobra. Nawet politycy PO przyznawali, że słowa ich lidera były „mało dyplomatyczne".

Jakby tego było mało, przyzwolenie premiera na „wszelkie działania" w walce z bobrami padło w tym samym czasie, w którym Polska po raz pierwszy zagłosowała za obniżeniem stopnia ochrony wilka w Europie. Dotychczas na forum unijnym wstrzymywaliśmy się od głosu w sprawie wilków – dyplomatycznie, bo jesteśmy krajem, który przyczynił się do zwiększenia populacji tego gatunku na kontynencie. To polscy przyrodnicy odtworzyli populację wilków, które teraz zasiedlają kolejne kraje. I wciąż mamy jedną z ich największych populacji w Europie. A wilki – jak podkreślają przyrodnicy – podobnie jak bobry spełniają bardzo ważną rolę ekologiczną (w tym wynajdują i zjadają dziki padłe na ASF).

Jak stwierdził prof. Robert Mysłajek z wydziału biologii UW i Stowarzyszenia dla Natury „Wilk" w wypowiedzi dla TVN – na Ministerstwo Klimatu i Środowiska były w tej sprawie naciski ze strony Kancelarii Premiera. Sam resort, poprzez swojego rzecznika Pawła Marciniaka, zapewnia jednak, że ministerstwo nie zamierza zmieniać obowiązujących przepisów dotyczących wilków. Za to zmienia listę gatunków łownych – skreślając z niej siedem gatunków ptaków.

Chyba nieprzypadkowo ogłoszono to tuż po tym, jak rozpętała się burza o bobry – i na drugi dzień po informacji w sprawie wilków. – *15 października ludzie szli do urn z kilku powodów. Ważna była aborcja, praworządność i przyroda. To, co się działo w lasach, było dla naszych wyborców nie do zaakceptowania* – mówi wiceminister klimatu i środowiska Mikołaj Dorożała. – *Dlatego te kwestie środowiskowe są tak ważne. Jak my tego nie dowieziemy, to nasi wyborcy już nie będą stali do trzeciej nad ranem, aby zagłosować. Co gorsza duża część z nich z poczuciem potężnego rozczarowania w ogóle nie pójdzie już głosować.* (AS)

Więcej o bobrach czytaj na s. 56.

Ścieki z covidem

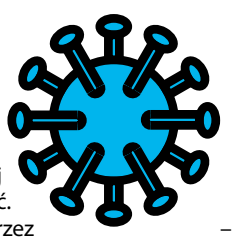

Trzymając się danych z największej próbki moczu w Polsce, czyli warszawskich ścieków, możemy odnotować, że jesteśmy właśnie na krzywej opadającej kolejnej fali zachorowań na Covid-19. To dobra wiadomość. Zła jest taka, że pandemia po raz kolejny przetoczyła się przez społeczeństwo i ciągle nie powiedziała ostatniego słowa.

– *Szczyt wykrywalności materiału genetycznego wirusa w ściekach przypadał na lipiec i sierpień i utrzymywał się praktycznie do połowy września* – mówi prof. Małgorzata Krzyżowska z Wojskowego Instytutu Higieny i Epidemiologii im. gen. Karola Kaczkowskiego, która regularnie bada poziom covidu w stołecznych ściekach. Zespół, w którym pracuje prof. Krzyżowska, nie tylko bada stężenie wirusa, ale również mapuje miejsca jego największego występowania. Stąd wiemy np., że najczęściej wirusa przywoziliśmy z wakacji. – *Co widać po ściekach z lotniska z końca lipca, początku sierpnia. Z każdym tygodniem ilość ta wzrastała i dalej jest wysoka* – dodaje profesor.

Na bazie danych z konkretnych ujęć można też zauważyć, że nie dla wszystkich nowy wariant wirusa był łaskawy. – *Przyglądając się próbkom pozyskanym w szpitalach, wyraźnie widać wzrost zachorowalności w sierpniu, który wciąż zresztą trwa, co wskazuje, że mamy do czynienia z przypadkami osób przechodzących covid ciężko i wymagających hospitalizacji w różnych szpitalach, o różnych specjalnościach* – tłumaczy prof. Krzyżowska.

Jaki odsetek populacji stolicy przechorował covid, trudno powiedzieć, bo przez miasto w międzyczasie przewinęły się miliony turystów i przejezdnych. Duża część osób do pracy w Warszawie dojeżdża, a w czasie choroby zostaje w domach. Ale z modeli porównawczych wynika, że skala zachorowań przypominała ten moment, kiedy pojawił się wariant omikron. – *Mieliśmy więc małą epidemię, na szczęście z niej wychodzimy. Co nie oznacza, że nie należy się bać zarażenia, bo wariant wirusa jest mocno zakaźny. Innymi słowy: covid odwiedzi każdego z nas, bo poprzednie szczepienia nie dają pełnej ochrony przed obecnie panującym wariantem* – ostrzega profesor. (JULL)

Żywioł i polityka

Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, twórca platformy podcastowej Voice House.

Powódź jest jak wojna. Bardzo szybko widać, kto się sprawdza, a kto tonie. Patrząc na skutki żywiołu w Indiach, Chinach, Bangladeszu, Wietnamie, Austrii, we Włoszech, Czechach, Polsce czy Japonii, mam jednak wrażenie, że wojna jest prostsza w planowaniu. Na polu walki można przećwiczyć różne strategie, żywioł zaś nie daje czasu – uderza jak bomba atomowa i znika.

To był najgorętszy wrzesień w historii pomiarów. Takie też były sierpień, lipiec, czerwiec… aż do maja 2023 r. Rekord za rekordem w każdym regionie świata. Miasto Nasiriyah w Iraku było niedawno najgorętszym miejscem na ziemi – prawie 50 stopni Celsjusza. Skrajne upały w Europie stają się normą, do której trzeba się przyzwyczaić. Na sile przybierają huragany. Powodzie mają skale historyczne.

Piątek 13 września, konferencja premiera Tuska: „Te prognozy (...) nie są przesadnie alarmujące. Nie lekceważymy oczywiście żadnego sygnału. Mamy swoje doświadczenia. (...) Ale chcę powiedzieć, że dzisiaj nie ma powodu, aby przewidywać zdarzenia w skali, która powodowałaby zagrożenie na terenie całego kraju". Dla Mateusza Morawieckiego to słowa haniebne, dla zdrowego rozsądku – zdania uczciwe, choć mam wrażenie, że prognozy z tamtego poranka okazały się zbyt optymistyczne.

W Sudetach Wschodnich doszło do ekstremalnego zjawiska. Opady deszczu przekroczyły 400 litrów na metr kwadratowy. To suma niewyobrażalna. Tyle deszczu pada zwykle przez cztery miesiące, a nie cztery dni. Zdewastowane zostały te same regiony, miasta, wsie, co w 1997 r. Zniszczone cenne zabytki, zalane domy, kościoły, drogi, uszkodzone mosty… Odbudowa pochłonie miliardy i zajmie lata. Pocieszające jednak, że w kraju bez prawdziwej obrony cywilnej uważane niegdyś za „armię Macierewicza" WOT nie walczą z zielonymi ludzikami, ale pomagają strażakom.

Na wojnie pierwsza umiera prawda; przy powodzi kluczowe są skuteczna komunikacja i zaufanie do państwa. Trzęsienia ziemi pozwoliły Japonii opracować najlepszy system ostrzegania. Od pierwszej sekundy po wykryciu wstrząsów wiadomo, gdzie było epicentrum, jaka jest ich siła i dokąd fala się rozchodzi. Słychać alarmy, każdy Japończyk wie, co ma robić, gdzie iść. W państwowej telewizji pojawia się komunikat: uwaga na silne wstrząsy. Alarm wysyłany jest na telefony komórkowe i przez internet. Każdy Japończyk wie, jak ma się zachować. A my nad Odrą? Jesteśmy bardziej niż doskonali w pospolitym ruszeniu. Umocnimy, co trzeba, posprzątamy, co trzeba, upolitycznimy, co trzeba. Powódź będzie winą Tuska, zbiornik, który ratuje – darem Kaczyńskiego, a zgrzewki z wodą – Suskiego. I tak w zapętleniu.

Deszcz był tak intensywny, jego skutki tak dynamiczne, że decydowały minuty. Krążące po sieci nagranie z Lądka-Zdroju z prośbą o pilną ewakuację pokazywało skutki lekceważącego podejścia. Burmistrz miasta nie udawał: „Nie ma już na co czekać, rzeka Biała Lądecka wystąpiła z koryta i zalewa nasze ulice i drogi jak w '97 r. Może być tylko gorzej, warto się ewakuować". Ale jeśli nie ufasz państwu, że pomoże ci się podnieść po kryzysie, zostajesz, pilnujesz. Dlatego pomysł, żeby pokazywać obrady sztabu kryzysowego na żywo, miał edukacyjny sens. Kiedy jest źle, wygrywasz szczerością. Budujesz zaufanie.

Chyba że nie wytrzymujesz medialnego ciśnienia jak prezydent Wrocławia, który musiał prostować sam siebie. Sprawdzona informacja jest w takich momentach na wagę życia lub śmierci. Niby daleko odeszliśmy od słynnego: „Trzeba się było ubezpieczyć" Włodzimierza Cimoszewicza, ale niektórzy lokalni politycy wciąż jeszcze mylą zarządzanie kryzysowe z kampanią wyborczą. Bo ponoć zawsze jakaś trwa. Nawet na wałach.

Meta kontra media: 1:0

Było tak: wczesnym latem polskie media wystosowały dramatyczny apel do rządu, by nie pomijał ich postulatów, przyjmując ustawę o prawach autorskich. To element szerszego unijnego planu – dyrektywa Digital Single Market ma uporządkować europejskie relacje z big tech. A mówiąc ludzkim głosem: cyfrowi giganci (jak Meta czy Google) skwapliwie korzystają z treści publikowanych przez media i nic za to nie płacą, więc pora to ukrócić. Poprawioną ustawę podpisał Andrzej Duda, niedawno weszła w życie, ale powodów do triumfu nie ma. Meta Marka Zuckerberga, firma matka m.in. Facebooka i Instagrama, broni nie składa: artykuły z mediów ukazują się odtąd bez zdjęć. Znikają w zalewie treści, tracą zasięg, zmuszając wydawców do działania naokoło, bo goły link dla odbiorców jest żadną atrakcją. A zdjęcia wygasły też wstecznie. Meta tłumaczy się bałamutnie: „Wdrożenie

w Polsce nie jest zgodne z zakresem lub warunkami artykułu 15, co powoduje, że nie ma jasności co do stosowania nowych przepisów. W rezultacie firma Meta zmieniła sposób wyświetlania linków do artykułów z wiadomościami na Facebooku, tak aby wyświetlany był tylko nagłówek i hiperłącze, bez obrazów i tekstu z artykułu".

Cyfrowy świat został tak urządzony, że nie da się działać w sieci z pominięciem mediów społecznościowych, o czym przekonują się właśnie media, ale też blogerzy, influencerzy i inni wirtualni twórcy. Wielkie korporacje nadal trzymają nas w szachu i dyktują warunki: uchwalajcie sobie prawo, a my i tak zmienimy zasady w trakcie gry. Przekonały się już o tym Australia i Kanada, które przecierały szlaki, żądając wynagrodzeń dla serwisów informacyjnych. Meta poszła na noże: zbanowała kanadyjskie media w chwili, gdy w kraju szalały pożary lasów (w Polsce zdjęcia z wpisów zniknęły w czasie powodzi). Australii Facebook nawet płacił, ale w marcu tego roku ogłosił, że już nie będzie, bo użytkownicy i tak przychodzą na sociale dla rozrywki, nie dla newsów. To wygodna wymówka, bo trudno to zmierzyć. Z różnych badań wynika, że „poszukiwanie informacji" to główna przyczyna zaglądania do Facebooka. A jeśli się nimi nie dzielimy, to głównie o nich tutaj dyskutujemy.

Ostatecznie stracą wszyscy. W krajobrazie mediów społecznościowych widoczni pozostaną ci, którzy krzyczą, płacą i generują zyski. Czym to grozi, pokazał przykład Twittera, który pod wodzą Elona Muska, już jako X, stał się niekontrolowaną wylęgarnią botów, fejków i trolli. Zuckerberg może i wypada blado na tle konkurenta, ale też ma swoje na sumieniu. Kto bogatemu zabroni? (AŻ)

© X.COM/MALIBUGGI (2), AI, JRDES/SHUTTERSTOCK

Pokusa zwycięstwa

Izrael zabił szefa i niemal całe wojskowe kierownictwo Hezbollahu. Czy teraz do Libanu wjadą izraelskie czołgi?

Gdy Izrael poinformował w piątek 27 września o śmierci Hasana Nasrallaha, wielu Libańczyków – ale też Izraelczyków – zaczęło sprawdzać media związane z Hezbollahem, któremu szefował od 32 lat. W ostatnich latach jego słowa ciążyły na całym Bliskim Wschodzie – zgodnie ze wzrostem znaczenia jego organizacji, uważanej w USA i Europie za terrorystyczną. W 2006 r., gdy Izrael ostatnim razem wycofywał się z południowego Libanu, cały region usłyszał jego słowa o „strategicznym i historycznym zwycięstwie", co nie było prawdą, bo Izraelczycy po prostu uznali, że dalsza okupacja nie ma sensu. Nasrallah potrafił jednak zbudować nie tylko rakietowy arsenał Hezbollahu, ale i narrację zwycięstwa. Tym razem jednak milczał. Dlatego zanim jeszcze Hezbollah potwierdził w sobotę zgon swojego przywódcy, wszyscy zainteresowani wiedzieli, że Nasrallah nie żyje.

To była kulminacja kolejnego dramatycznego tygodnia w historii Hezbollahu. Od poniedziałku wskutek izraelskich ataków ginęli kolejni liderzy tej organizacji, w tym niemal całe kierownictwo trzonu wojskowego. Jednocześnie premier Libanu Nadżib Mikati mówił o milionie wewnętrznych uchodźców, którzy spod izraelskiej granicy ciągną na północ kraju. Reputacja Hezbollahu ucierpiała już wcześniej, gdy wybuchły należące do jego członków pagery i inne urządzenia elektroniczne, zabijając kilkudziesięciu z nich i raniąc ponad tysiąc. Finał nadszedł jednak w piątek, gdy Nasrallah i jego doradcy zebrali się w bunkrze kilkanaście metrów pod jedną z południowych dzielnic Bejrutu. W niecałą godzinę na tę okolicę izraelskie lotnictwo zrzuciło ponad 80 ton bomb.

Działania w Strefie Gazy i w południowym Libanie Izrael traktuje jako jedną operację. Nieprzypadkowo, bo Hezbollah rozpoczął ataki rakietowe na Izrael w październiku 2023 r. na znak solidarności z Hamasem. Przy czym jeszcze niedawno pełnowymiarowy konflikt nie opłacał się militarnie żadnej ze stron. To jednak Izrael ponosił większe koszty – logistyczne i polityczne – związane z ewakuacją kilkudziesięciu tysięcy obywateli z północy kraju zagrożonej rakietami Hezbollahu. Przełom nastąpił w lipcu, gdy Izraelczycy spacyfikowali Hamas w Gazie i skierowali swoją uwagę na północ.

Hezbollah to nie Hamas – trzyma w garści cały system polityczny Libanu. Członkowie tej organizacji w 2019 r. stłumili proreformatorskie demonstracje, a dwa lata później wymusili zatrzymanie dochodzenia w sprawie wybuchu silosu w porcie bejruckim (ponad 200 ofiar śmiertelnych). Politycy związani z Hezbollahem zajmują prawie połowę miejsc w libańskim parlamencie i paraliżują działania kolejnych rządów.

Mimo tak silnej pozycji wygląda na to, że Hezbollah przekalkulował podwójnie. Po pierwsze, założył, że Izrael po ofensywie w Gazie jest tymczasowo osłabiony. Po drugie, przecenił patronat Iranu (organizacja powstała w latach 80. jako „strategiczna ekspozytura" Teheranu, który ją wspierał, szkolił i zbroił). Irańska odsiecz wydawała się tym bardziej oczywista, że w lipcu w wybuchu ładunku podłożonego przez izraelskich agentów w centrum Teheranu zginął szef Hamasu, Ismail Hanije.

Iran jednak milczy, co eksperci interpretują dwojako. Albo wiąże się to ze zmianą w polityce zagranicznej po objęciu prezydentury przez Masuda Pezeszkiana, który sugeruje Zachodowi chęć powrotu do rozmów w sprawie irańskiego programu nuklearnego. Albo Iran nie ma środków, aby precyzyjnie odpowiedzieć Izraelowi, nie wywołując nowej wojny. Obie interpretacje są zapewne ze sobą powiązane.

Niektórzy eksperci porównują obecną sytuację do wojny sześciodniowej z 1967 r., czyli nagłego i niespodziewanego zwycięstwa Izraela, które zmieniło równowagę sił na Bliskim Wschodzie. Niewątpliwie Izrael może się czuć zwycięzcą ostatnich tygodni, ale jednocześnie stoi przed poważnym zagrożeniem. Jak donosi tamtejsza prasa, dla rządu i części generalicji dekapitacja kierownictwa Hezbollahu stanowi nieodpartą pokusę do uderzenia lądowego. Ma o tym świadczyć koncentracja elitarnych jednostek pancernych przy granicy z Libanem.

Może to być pułapka, z której Tel Awiw nie wyplącze się przez lata, a w dalszej perspektywie mimowolnie stworzy kolejne pokolenie „nienawidzących Izraela" (60 proc. bojowników Hamasu to sieroty po ofiarach poprzednich konfliktów). Cztery dekady temu izraelska armia zdołała wypędzić z południowego Libanu Organizację Wyzwolenia Palestyny. W jej miejsce powstał Hezbollah.

ŁUKASZ WÓJCIK

© X.COM, ABACA/FORUM, EPA/PAP, CHRISTIAN BRUNA/GETTY IMAGES

Trudny powrót do Kijowa

Prezydent Ukrainy spędził w Ameryce cały tydzień. Poleciał, tym razem swoim nieużywanym od lat Airbusem, z całą litanią marzeń, życzeń i żądań, ale w Waszyngtonie dostał słodko-gorzki poczęstunek. **Wołodymyr Zełenski** przywiózł swoim najważniejszym sojusznikom „plan zwycięstwa", którego szczegółów publicznie nie wyjawił, ale który – jeśli wierzyć relacjom zza kulis – nie wzbudził entuzjazmu. Głównie dlatego, że wymaga od USA i Zachodu gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy i bezprecedensowego wsparcia zbrojnego. To drugie okazało się łatwiejsze i Zełenski wraca z workiem pieniędzy na zbrojeniowe obietnice.

Gorsza wiadomość jest taka, że to worek ostatni za obecnej prezydentury, a nawet wygrana demokratki Kamali Harris nie gwarantuje kontynuacji wsparcia na dotychczasowym poziomie. Joe Biden wolał nie grać w „ukraińską ruletkę" i trzy dni przed końcem roku budżetowego uwolnił wszystkie pozostałe środki z finansowania cudem przepchniętego w Kongresie w kwietniu, w sumie 8 mld dol.

Na kłopoty marksista?

Nowy prezydent Sri Lanki **Anura Kumara Dissanayake**, zwany AKD (na fot. w buddyjskiej Świątyni Zęba), budzi wielkie nadzieje. Ten 55-latek to postać oryginalna: z wiejskimi korzeniami, fizyk z wykształcenia, z przekonań marksista nawrócony na wolny rynek, z niewielkim doświadczeniem i spoza układu wielkich klanów rządzących od uzyskania niepodległości w 1948 r. Jego partia, Ludowy Front Wyzwolenia (JVP), wywołała w latach 70. i 80., pod sztandarami walki z kapitalizmem i prywatną własnością, dwa krwawe powstania z setkami ofiar, oba stłumione. Kiedy w 2014 r. AKD przejął stery partii, przeprosił za tamte wydarzenia (nikt inny tu za nic nie przepraszał) i wyrzekł się przemocy. Z rewolucyjnego programu pozostały sprawiedliwy podział dóbr i opieka społeczna oraz mówienie sobie per towarzyszu, a partia staczała się na margines. Lewicowa koalicja, którą współtworzyła, miała ostatnio w parlamencie trzy miejsca, a sam AKD w poprzednich wyborach prezydenckich dostał 3 proc. głosów.

Wszystko zmieniło się dwa lata temu, kiedy załamała się gospodarka i zawalił budżet, a po trzech miesiącach manifestacji i zamieszek obalony został prezydent Gotabaya Rajapaksa (brat też był prezydentem). Jego kadencję dokończył Ranil Wickremesinghe, związany z klanem Rajapaksów, który zaaplikował terapię szokową. Dopożyczył za granicą, a w kraju ciął wydatki, dusił inflację, prywatyzował. Poprawił wskaźniki, ale kosztem szokowego zubożenia społeczeństwa, głównie klasy średniej (towary już były w sklepach i wróciła benzyna, ale nie było za co kupić). Bunt społeczny, który nastąpił, nie wyłonił lidera.

I tu, niejako zastępczo, pojawił się AKD. Okazał się świetnym mówcą i obiecywał wszystko, co grało w duszy rozczarowanych mas: walkę z korupcją, rozprawę z klanowym establishmentem, programy socjalne, renegocjację zadłużenia, a także rozliczenia z dramatyczną przeszłością, wojną domową z Tamilami. To dało mu zwycięstwo, ale od razu pojawiły się schody. Pierwszą decyzją nowy prezydent rozwiązał parlament, ale trudno oczekiwać, że w nowym uzyska większość. Będą potrzebni koalicjanci, czyli któryś z wielkich klanów. Spłata długów zaciągniętych w MFW, Chinach, Indiach i we Francji ma w 2025 r. pochłonąć połowę budżetu, a potrzebne są kolejne pożyczki. Z pustego wiele się nie naleje.

Na potem Ukraina nie uzyskała żadnej nowej strategii od Demokratów, a chwiejna postawa Republikanów nie daje żadnej pewności w przypadku ich zwycięstwa. Donald Trump, z którym Zełenski bardzo chciał rozmawiać osobiście, najpierw przypuścił na ukraińskiego prezydenta bezprecedensowy atak („to biedny człowiek, który nie wie, co mówi"), by nazajutrz zgodzić się na spotkanie. Po nim Zełenski zapewniał o uzyskanym wsparciu dla Ukrainy i „sprawiedliwego pokoju", ale Trump mówił głównie o „szybkim końcu".

Trumpowski rollercoaster emocji i decyzji nie pozwala niczego przewidzieć co do jego faktycznej polityki, gdy – lub jeśli – dojdzie do władzy. Ale obóz Demokratów też ma problem. Bliskowschodnia eskalacja wymyka się spod kontroli i konsumuje amerykańskie zasoby. Dowództwo europejskie wojsk Stanów Zjednoczonych musi wspierać to centralne, odpowiedzialne za bezpieczeństwo Izraela. W październiku nastąpi jednak dogrywka. Biden podczas pożegnalnej wizyty w Europie odbędzie ostatnią „naradę wojenną" w Ramstein i być może pozwoli Ukrainie na użycie zachodniej broni przeciw Rosji.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Austriacki pacjent

Pierwszy raz po wojnie wybory parlamentarne w Austrii wygrała skrajna prawica. Jednak bardzo prawdopodobne, że przy tworzeniu rządu obejdzie się smakiem. Według wstępnych danych Wolnościowa Partia Austrii (FPÖ) – populistyczna, eurosceptyczna, proputinowska – zdobyła 29 proc. głosów i zwyciężyła w wyborach do Rady Narodowej. Bolesny spadek na drugie miejsce zaliczyła Austriacka Partia Ludowa (ÖVP). Stronnictwo chadeckiego kanclerza Karla Nehammera przekonało tym razem tylko co czwartego wyborcę (26,5 proc.), wyraźnie mniej niż pięć i siedem lat temu. To skutek m.in. skandali korupcyjnych, zadyszki gospodarczej i niepopularnych środków wprowadzonych w czasie pandemii covidu. Nie zdołała na tym skorzystać Socjaldemokratyczna Partia Austrii (SPÖ), która w przeszłości długo dominowała na scenie politycznej, ale tym razem uzyskała 21 proc. Do parlamentu dostali się jeszcze liberałowie (NEOS) i współrządzący dotąd Zieloni, ale w przypadku tych drugich jednocyfrowy wynik musi oznaczać porażkę.

Co teraz? „Nasza ręka jest wyciągnięta" – mówi **szef FPÖ Herbert Kickl** i pali się do utworzenia nowego rządu pod swoim kierownictwem. Wolnościowcy już kilka razy w historii dochodzili do władzy, choć zawsze jako mniejszy koalicjant. W 2000 r. wywołało to głośne protesty międzynarodowe, bo liderujący wówczas FPÖ Jörg Haider brał wcześniej w obronę weteranów z Waffen-SS i chwalił hitlerowską politykę zatrudnienia. Kickl kilkanaście lat temu też sprzeciwiał się uznawaniu Waffen-SS za „zbiorowo winną". Dziś oburza się na porównania z Hitlerem, a politolodzy widzą w nim raczej Marine Le Pen w spodniach lub drugiego Viktora Orbána. 55-letniego Kickla, którego na szczyt FPÖ wyniosła m.in. retoryka antyszczepionkowa, z premierem Węgier łączy choćby gra na nastrojach antyimigranckich i sprzeciw wobec wojskowego wsparcia dla Ukrainy. Bliska Kicklowi jest też Alice Weidel, szefowa antysystemowej Alternatywy dla Niemiec (AfD). Kanclerz Nehammer zarzeka się, że z Kicklem nie utworzy rządu, ale z szefem SPÖ Andreasem Bablerem też nie było mu dotąd po drodze. Być może co najmniej jedna z partii dla koalicji będzie musiała poświęcić swojego lidera.

Plamy na słońcu

Gdyby Zygmunt Solorz postanowił po prostu wydziedziczyć troje swoich dzieci, a majątek przekazać nowej żonie, byłaby to prywatna sprawa rodziny. Ale sukcesja dotyczy całego imperium Solorza, awantura w rodzinie może je pogrążyć. Może mieć też skutki polityczne.

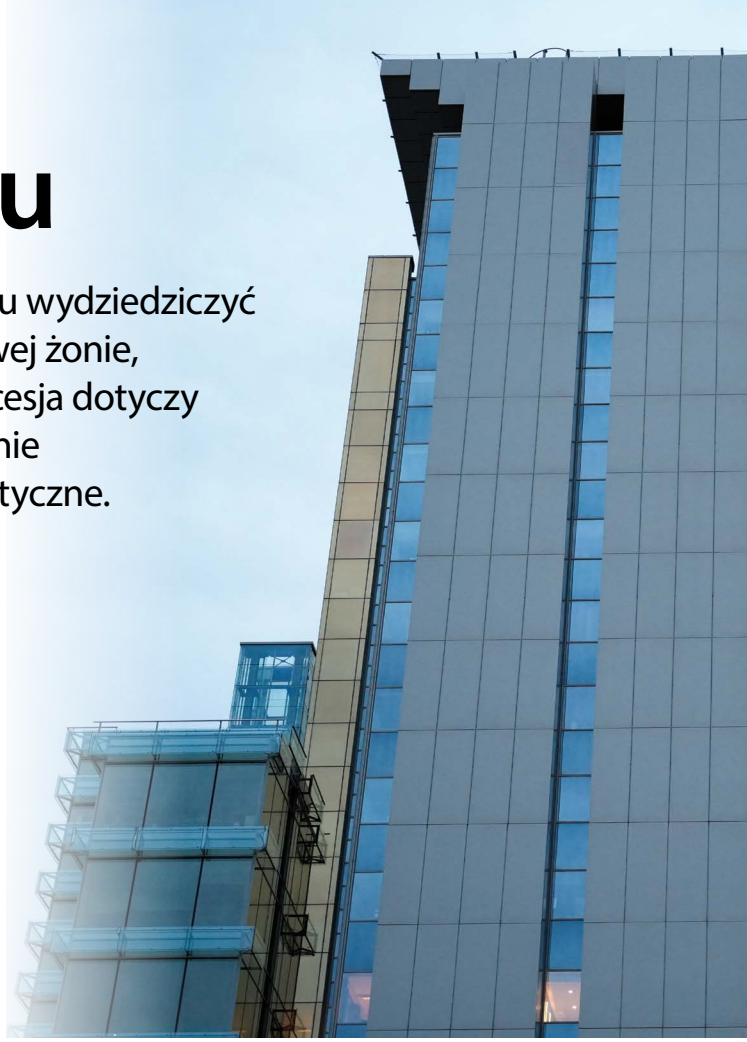

JOANNA SOLSKA

W Grupie Polsat Plus dzieci Solorza zasiadają we władzach aż 50 ważnych spółek, a żona w 40. Nawet bez kłopotów rodzinnych firmy ze słońcem w logo mają potężne problemy, które przełożyły się na pozycję Solorza w rankingu najbogatszych Polaków magazynu „Forbes". Przez ostatnie 15 lat był w nim zawsze w pierwszej piątce, często na drugiej pozycji. W ostatniej edycji spadł na ósmą. Powodem jest spadek wartości jego firm o prawie połowę. „Firma słońce", której wartość giełda szacuje obecnie na zaledwie 7,7 mld zł, ma także ogromne długi, ponad 15 mld zł.

I to od tego się zaczęło – grupa ma problem nie tylko ze spłatą już zaciągniętych kredytów i obligacji (w najbliższym czasie potrzebuje na ten cel 4 mld zł), ale wie także, że nie pożyczą jej następnych. Czy są za to odpowiedzialne dzieci Solorza, które dopuścił do poważnych stanowisk w grupie, czy też on sam, ponieważ ciągle chciał w niej rządzić? To on przecież nadzorował, jako szef rady nadzorczej całej grupy, wszystko. Synowie byli prezesami wielu spółek. Wina leży zapewne po obu stronach.

Najważniejszą spółką w grupie jest Cyfrowy Polsat, obecna walka toczy się o to, która ze skonfliktowanych stron rodziny Solorza przejmie nad nim władzę. Pierwsze starcie nowej żony z pasierbami odbyło się kilka miesięcy temu, po marcowym ślubie Zygmunta z Justyną Kulką, który odbył się w Liechtensteinie. Kulka jest związana z grupą od 2012 r., była w Cyfrowym Polsacie, a żoną Solorza została jako wiceprezeska Polkomtelu. Ma doskonałą orientację w tym, co dzieje się w firmie, ile warci dla rodzinnego biznesu są jej pasierbowie. Wie, że córka Aleksandra Żak nigdy się nie interesowała biznesem. Pytanie – czy jej naprawdę chodzi o ratowanie Polsatu, czy o własny interes? A może o coś zupełnie innego?

Od dnia ślubu pozycja Justyny Kulki w imperium się umacnia. – *Mówi się w Polsacie, że Solorz jest rzeski, ale emocjonalnie całkowicie opanowany przez Kulkę i Dorotę Gawryluk. Spotkania z Solorzem odbywają się w coraz mniejszym gronie, mało kto jest tam dopuszczany* – mówi osoba związana ze stacją. Nie udała się jednak próba odwołania z prezesury Telewizji Polsat Piotra Żaka, syna Solorza, który nazwisko nosi po matce, poprzedniej żonie ojca. Sama Kulka została wiceprzewodniczącą rady nadzorczej Polsatu, której szefem jest jej mąż. Wiceprzewodniczącymi rady są także obaj synowie Solorza Piotr Żak i Tobias Solorz. Przetasowania w radzie zapowiadały, że układ sił w rodzinnym biznesie może się gwałtownie zmienić, ale wyłącznie na korzyść Kulki. Ostatnie dni pokazały, że o wiele bardziej niż ktokolwiek przypuszczał. Batalia ma nastąpić 8 października na nadzwyczajnym posiedzeniu wspólników. Ale karty i tak rozdaje Solorz – posiada 62 proc. udziałów i ponad 70 proc. głosów. To on ma władzę. Od niego zależy, komu ją przekaże: żonie czy dzieciom.

Gaszenie pożaru benzyną

Solorz zawsze unikał skandali, nie lubił nawet, gdy o nim pisano. Aż tu nagle „GW" ujawniła w minionym tygodniu, że jego dzieci, Tobias, Piotr i Aleksandra, rozesłały do menedżerów firm grupy (czyli m.in. Cyfrowego Polsatu, Polkomtelu, Netii, portalu Interia.pl oraz Zespołu Elektrowni Pątnów-Adamów-Konin) tajny list, w którym ostrzegają przed podpisywaniem ważnych dokumentów, których legalności nie mogą być pewni. Chodzi o to, że dzieci nie mają od miesięcy kontaktu z ojcem. Przebywa on z Justyną Kulką za granicą, ale nie wiedzą gdzie. Dostęp do telefonu ojca ma tylko żona. Dzieci nie mogą nawet wejść na piąte piętro siedziby firmy, na którym znajduje się gabinet ich ojca. W biznesie tajemnicą poliszynela jest choroba Solorza. Z listu wynika, że decyzje ojca już nie zależą od niego. Autorzy nie wyjaśniają jednak, czy z powodu stanu zdrowia, czy afektu do żony.

Na drugi dzień sensacyjny przeciek „GW" przebił „Super Express", który zamieścił wypowiedź samego Solorza. Twierdził on, że odbywa z żoną spóźnioną podróż poślubną, są w trakcie rejsu. Zapewnia, że mimo jego nieobecności wszystko w biznesie ma pod kontrolą. Dowiedzieliśmy się też, że Solorz również rozesłał maile do menedżerów swoich firm, w dość dziwny sposób informując ich, że usunie swoje dzieci ze spółek imperium.

© MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Siedziba Polsatu w Warszawie

Janusz Steinhoff, wicepremier w rządzie Jerzego Buzka i minister w kilku następnych, zna Solorza od lat i nie wierzy w autentyczność tych wypowiedzi. – *Solorz nigdy nie powiedziałby czegoś, co wywoła taki wstrząs w jego biznesie. Już po pierwszych przeciekach natychmiast wsiadłby w samolot i wrócił do kraju, żeby ratować wizerunek Polsatu, zamiast dolewać benzyny do ognia. On wie, jakie to jest ważne. Akcje Polsatu tanieją, a on sobie beztrosko pływa?*

W autentyczność wypowiedzi Solorza wątpi też jeden z jego byłych najbliższych współpracowników. Zaczyna rozmowę od anegdotki: – *W przerwie uroczystości jubileuszowych Polsatu Zygmunt wyszedł na miasto coś przekąsić. Kiedy wrócił, zobaczył, że do firmy przywieziono luksusowy catering z restauracji Belvedere, wkurzył się na taką rozrzutność. Powiedział, że tuż przy firmie można dobrze zjeść za 28 zł. Kilka osób straciło pracę. O skąpstwie Solorza wiedzieli wszyscy. Dziennikarce, która zapytała go, czy to prawda, że interesuje się nawet sumą, jaką zapłacono za spinacze, odpowiedział: „A zarobiła pani w czasie jednej nocy 140 tys. zł? Bo ja wtedy tak”.*

A teraz poważnie: – *Ponad dziesięć lat temu Solorz ofiarował 100 mln euro Klinice Neurologicznej w Monachium. Koledzy przeoczyli ten gest, ja odebrałem go jako sygnał. On już wtedy musiał wiedzieć o swojej chorobie. Nominalnym szefem Polsatu zrobił Tobiasa, ale faktycznym ciągle był on sam. Może wierzył, że moment, kiedy zdrowie wymusi jego rezygnację z kierowania firmą, nadejdzie później? A może jednak wtedy właśnie poważnie pomyślał o sukcesji i chciał sprawdzić, jak syn da sobie radę w roli formalnego następcy ojca?* W biznesie mówiło się, że Tobias nie jest w stanie zastąpić ojca, słabo sobie radził. Obecnie prezesem Cyfrowego Polsatu jest Mirosław Błaszczyk, po nadzwyczajnym walnym zgromadzeniu wspólników może nim już nie być. Solorz musiał już wtedy wiedzieć, że Tobias rodzinnego biznesu nie poprowadzi.

Wszyscy grają na Polsat

Solorz miał szczęście. Jako Zygmunt Krok, urodzony w 1956 r., skończył Technikum Mechaniczne w Radomiu. Karierę biznesmena zaczął od handlu zniczami i darniną pod miejscowym cmentarzem. Etap biznesu cmentarnego zakończył w latach 70., kiedy z kolegami z podwórka wybrał się starym Fiatem na handel do NRD. Wtedy możliwe to było na dowód osobisty. Kiedy po latach tłumaczył mediom, jakim cudem udało mu się w Niemczech otrzymać paszport na wszystkie kraje świata na nazwisko Zygmunt Podgórski, brzmiał niewiarygodnie. Bez dobrych kontaktów ze służbami prawdopodobnie nie byłoby to możliwe.

Jako Zygmunt Podgórski przedstawiał się do momentu ślubu z pierwszą żoną, Iloną Solorz. Od tej pory będzie już Solorzem. Ślub z emigrantką z niemieckim paszportem umożliwił mu legalny powrót do kraju. Żona została w Niemczech, ma tam firmę Solpol, którą wcześniej prowadził mąż. Syna Tobiasa ściągnął potem do Polski. Z byłą żoną utrzymywał przyjazne kontakty biznesowe.

Zygmunt Krok, teraz już Solorz, zarejestrował Solpol we Wrocławiu i stał się prawdziwym biznesmenem. Importował maszyny do szycia, telewizory, wkrótce potem używane Wartburgi. Jego brat mył je na podwórku w Radomiu. Władysław Frasyniuk zetknął się z nim wtedy jako z właścicielem firmy, od której chciał kupić dwie stare ciężarówki. Zostali wspólnikami, udziały Solorza w biznesie Frasyniuka wynosiły 1 proc. Frasyniuk żartował potem, że to był chyba jedyny interes w życiu Solorza, w którym nie miał w ręku większości udziałów.

Michał Matys, autor książki „Grube ryby”, podkreśla, że Solorz miał doskonałą intuicję do ludzi. W firmach Grupy Polsat do dziś można spotkać kolegów z Radomia, których nadal zatrudnia, choć jeśli nie mają kwalifikacji, to za małe pieniądze. Nie wyrzuca ludzi, którzy mu kiedyś pomogli. I nagle miałby się stać tak bezwzględny wobec własnych dzieci?

Solorz nie ma poglądów politycznych, a jeśli nawet, to przez lata starannie je ukrywał. Oceniał ludzi wyłącznie pod kątem przydatności dla jego interesów. Przełomem w jego biznesowej karierze było otrzymanie koncesji dla Telewizji Polsat. Miał już wtedy telewizję, zarejestrowaną w Holandii, skąd woził kasety do Polski, sam programu nie produkował. Nie musiała mieć koncesji. Bez doświadczenia w branży medialnej i bez pieniędzy wystartował w konkursie o pierwszą koncesję naziemną. I ją otrzymał, ku zdziwieniu konkurentów. To nie szczęście mu pomogło, lecz jego zaprzyjaźniona frakcja w Sejmie, której nieformalnymi członkami byli posłowie wszystkich partii, poczynając od Ryszarda Czarneckiego, wtedy z ZChN, silnej grupy związanej z SLD, PSL, a także PC i młodych prawicowców skupionych wokół Wiesława Walendziaka, nazwanych potem pampersami. Prof. Tadeusz Kowalski, członek obecnej KRRiT, zapewnia: – *Żadna ustawa, która narusza interesy Solorza, nie zostanie uchwalona. Nawet wymierzony przeciw TVN projekt o wprowadzeniu nowego podatku od reklam, na którym straciłby także Polsat.*

Każda z partii miała przekonanie, że Polsat będzie reprezentował także jej interesy, a pracę u Solorza znajdą koledzy. Przez lata swój program w Polsacie miał Marek Markiewicz, ówczesny przewodniczący KRRiT. To on 1 marca 1994 r. o godz. 11 podpisał Solorzowi koncesję na nadawanie naziemne. Po dwóch godzinach odwołał go z funkcji prezydent Lech Wałęsa. W wywiadzie dla PAP pytał zirytowany: „Czy w czterdziestomilionowym narodzie nie można znaleźć człowieka, który ma jeden paszport i jedno ▶

▶ nazwisko?". Media doliczyły się dziesięciu paszportów Solorza, jego żona Małgorzata Żak wiedziała o trzynastu. Po rozwodzie przeniosła się do Kenii, gdzie obie z córką ratowały goryle, teraz mieszka w Monako.

Przedwczesny zachód

Własna telewizja umożliwiła Solorzowi wejście do pierwszej biznesowej ligi, jego potęga rosła jak kula śniegowa. W zapłacie za koncesję pomógł mu m.in. Dariusz Przywieczerski, wtedy szef giełdowego Universalu. Kiedy Solorzowi bardzo brakowało pieniędzy, zaczynał negocjować z firmami zagranicznymi chętnymi do zainwestowania w Polsat. Zakupem udziałów był zainteresowany Rupert Murdoch, negocjacje się przeciągały, potem zostały zerwane. W 2002 r. Solorz ponownie rozesłał ofertę do kilku zagranicznych koncernów, wybrał niemiecki – Axel Springer. Za 25 proc. akcji Polsatu mógł dostać nawet 300 mln euro, w dodatku operujący na rynku prasowym Springer nie wtrącałby mu się do telewizji. Negocjował przez kilka lat, w końcu podpisali umowę w 2006 r., a w następnym ją zerwali. Tak naprawdę bowiem Solorz nigdy telewizji sprzedać nie chciał.

Kiedy porywał się na zakup Polkomtelu, też uważano, że się udławi. To była wtedy największa w Europie prywatna transakcja, Solorz musiał się na nią potężnie zadłużyć. Spekulowano, że nie będzie w stanie spłacić pożyczki, ale spłacił. Sieć telefonii komórkowej potrzebna mu była do wprowadzenia szybkiego internetu LTE, to dlatego chciał kupić Polkomtel. Marzył mu się inteligentny dom.

Pozornie Solorz kupował firmy od Sasa do Lasa. Ale to wszystko układało się w spójną całość. Do telewizji, sieci komórkowej pasował nie tylko portal Interia.pl, ale nawet elektrownie. Oraz bank, widzowie Polsatu oglądali reklamy głoszące, że za jego pośrednictwem mogą zapłacić rachunki za telefon, prąd. I wyjdzie im taniej, niż kiedy za każdą usługę płaciliby komu innemu oddzielnie.

Imperium Solorza miało jednak poważną wadę – wszystkie jego części należały do branż mocno regulowanych przez państwo. Politycy byli potrzebni, więc dogadywał się z każdą ekipą. Kiedy władzę przejął PiS, wydawało się, że Solorz polegnie. Partia nie lubiła prywatnego biznesu, każdą z jego firm mogła zniszczyć zmianą prawa, pozbawieniem koncesji itp. Okazało się jednak, że ta sama partia bardzo lubi pieniądze, nie tylko w postaci intratnych stanowisk dla kolegów czy częstej obecności w Polsacie. Odpowiadał jej także styl działania oligarchy. Sprytny Solorz ławo przekonał polityków PiS, że jego imperium jest państwu i partii bardzo potrzebne. Nie chciał się dać zwasalizować, chciał być dla rządzących partnerem. Wydawało się, że nawet mu się to udało.

O tym, że biznesmen dogadał się z rządzącymi, świadczył program jego telewizji, bardzo przychylny dla nowej władzy, już wcześniej zresztą formatowany pod gust widzów z małych miejscowości. O ile TVN zależało na młodych wykształconych z wielkich miast, o tyle Polsatowi odwrotnie. – *On pierwszy nie wstydził się disco polo, bo taką muzykę kochają jego widzowie* – uważa Jan Dworak, były członek KRRiT. Dostarczał im dużo popularnego sportu i seriali, które się podobały. Przechył Polsatu w stronę PiS był widoczny, ale stacja ta bardzo się różniła od TVP. Nie było prostego szczucia, nagonek na polityków opozycji ani na poszczególne środowiska. Do Polsatu przychodzili politycy zarówno PiS, jak i opozycji. Badania pokazywały, że widzowie tę właśnie stację uważają za najbardziej neutralną.

PiS doceniał tę życzliwość – to do kasy Polsatu płynęło najwięcej pieniędzy za reklamy od spółek kontrolowanych przez państwo. Nowa władza pieniędzmi nie szasta. Zarobić na spłatę ogromnego zadłużenia będzie Polsatowi ciężko. Za dużo zainwestował w czystą energię, stąd te długi. Jeszcze w październiku 2022 r. Solorz oraz Jacek Sasin, wtedy jeszcze minister MAP, polecieli do Seulu negocjować kontrakt między PAK Solorza oraz kontrolowaną przez państwo PGE. Chodziło o elektrownię atomową na koreańskiej technologii. Poleciały z nimi Dorota Gawryluk oraz Justyna Kulka. To ta inwestycja miała wyciągnąć Solorza z kłopotów. PGE już w czasach nowego rządu zamroziła jednak na jakiś czas swój udział w inwestycji – państwu także brakuje pieniędzy.

Robert Tomaszewski z Polityki Insight uważa, że Solorz w energetyce bardziej potrzebuje teraz państwa niż państwo jego, choć to jego elektrownie dostarczają prawie 7 proc. energii. Ogłoszenie przez PGE czasowego zamrożenia budowy elektrowni atomowej, w którą zainwestować miał także Solorz i Koreańczycy, oznacza dla biznesmena finansowy dramat. Solorz tej inwestycji bez państwa nie udźwignie, a kolejnych kredytów nie dostanie. Nad imperium Solorza słońce zaczęło zachodzić długo przed wybuchem kłótni w rodzinie.

Przejęci przejęciem

Solorz ma rację, mówiąc, że coraz większe zaangażowanie jego dzieci w rodzinny biznes nie przyczyniło się do jego rozwoju. Cyfrowy Polsat kwitł, gdy zarządzał nim Dominik Libicki, który odszedł, gdy ojciec ogłosił swoim następcą Tobiasa. Bez względu na to, czy Solorz nadal kontrolował wszystko, czy syn jednak miał szansę się wykazać, sukcesy się skończyły, kłopotów stale przybywa. Także dlatego, że media i telekomunikacja przestały zarabiać tak jak dawniej, a w firmie menedżerów najwyższej klasy zastąpiła rodzina. Wniosek, że trzeba zainwestować w inne źródła zarobku, w czystą energię, też był słuszny. Ale wykonanie fatalne.

Na październikowym walnym zgromadzeniu akcjonariuszy może dojść do pozbawienia dzieci władzy w firmie. Ale już nie pieniędzy, które mają w akcjach, mogą zechcieć je spieniężyć. Co będzie, gdy Polsat wystawiony zostanie na sprzedaż? Jakie będą konsekwencje dla całego medialnego rynku w Polsce? Jan Dworak przyznaje, że jest to infrastruktura krytyczna, ale nie sądzi, że zechcą go kupić dwie prawicowe telewizje, Sakiewicza i braci Karnowskich. A gdyby chęć kupna i dobrą cenę zaoferowała firma z UE, na przykład węgierski MOL? Wtedy byłby problem.

Możliwe jest także rozwiązanie polityczne. Justyna Kulka jest przewodniczącą rady programowej stowarzyszenia Lepsza Polska, któremu prezesuje Dorota Gawryluk, swego czasu wymieniana jako kandydatka na prezydenta. – *Kiedy Gawryluk pojechała na wakacje do USA, a jej programy czasowo zniknęły, wydawało się, że jest już po projekcie, ale nagle sprawa odżyła* – mówi osoba znająca sytuację w Polsacie. – *W październiku może dojść do spotkania Lepszej Polski i być może zapadną jakieś decyzje. Mówi się o tym, że wokół Gawryluk kręcą się Morawiecki i Mastalerek, którzy chcieliby jej startu w wyborach, mając nadzieję, że jej kandydatura sprawiłaby, iż pretendent z PiS mógłby nie wejść do drugiej tury, a to ich zdaniem oznaczałoby koniec Kaczyńskiego na czele PiS. Wcześniej, zaraz po wyborach 15 października Morawiecki, a także Sasin przekonywali Kulkę, że to chwilowe trudności, a PiS zaraz wróci do władzy, że są rozmowy z Kosiniakiem-Kamyszem. Wtedy z kolei poszedł sygnał od nowej większości, że jakieś wrogie akty mogą Solorzowi zaszkodzić. Teraz jakiekolwiek konflikty Solorza z rządem są na rękę Kaczyńskiemu, który może się jawić wciąż jako jedyna alternatywa.* Zatem jeśli Gawryluk nie wystartuje, ale stronnictwo Kulki wygra wojnę w biznesowej rodzinie, „neutralny" Polsat może stać się pomocny dla kandydata PiS, jak kiedyś w przypadku Dudy. Ta rozgrywka w imperium Solorza ma więc i takie znaczenie. Może najważniejsze.

JOANNA SOLSKA

RAFAŁ KALUKIN

Fala popowodziowa

Powódź niemal całkowicie zdominowała w ostatnim okresie życie polityczne. Dla rządzącej od niespełna roku koalicji to pierwsze takie doświadczenie. Pytanie, jak długo ten stan nadzwyczajny jeszcze potrwa i jak się przełoży na polityczny układ sił.

Nigdy nie ma dobrego momentu na katastrofę. Co nie zmienia tego, że powódź przydarzyła się koalicji w wyjątkowo niesprzyjającym momencie. Cierpiała w ostatnim okresie na wyraźną już zadyszkę, mierząc się z narastającym rozczarowaniem zwolenników. Po wakacjach otworzyło się co prawda wąskie okienko możliwości, żeby stanąć na nogi, uporządkować szyki i ustawić na nowo busolę rządzenia. Czasu było jednak niewiele, bo zbliżała się dosyć kłopotliwa rocznica wyborów 15 października z nieodłącznymi bilansami (nie)zrealizowanych obietnic wyborczych. A to już wstęp do przyszłorocznej kampanii prezydenckiej. Wielka fala zawiesiła jednak reguły codziennej polityki i zmodyfikowała dotychczasowe perspektywy.

Nie pierwszy raz okazało się, że rywalizujące obozy różnią się między sobą nie tylko w kwestiach politycznych bądź ustrojowych, ale też kierują się odrębną etyką. Wystarczy przypomnieć, jak wyglądało zarządzanie kryzysowe w czasach rządów PiS, przede wszystkim po wybuchu pandemii Covid-19 oraz późniejszej agresji Putina na Ukrainę. Wyglądało to za każdym razem mniej więcej tak samo: ówczesna władza dostojnie wstępowała na mostek kapitański, a jej propagandyści wytrwale starali się przeganiać każdego, kto tylko zaplątał się we wspólny kadr. Oficjalnie dekretowano doktrynę jedności narodowej w obliczu kryzysu, co w praktyce miało sprowadzać się do tego, że odtąd każdy przejaw krytyki rządzących nabierał cech zdrady stanu. Kwestionować w tej sytuacji konkretne posunięcia władzy to tyle, co „grać na katastrofę", hołdować kompromitującej logice „im gorzej, tym lepiej".

Socjologiczny efekt mobilizacji wokół narodowej flagi już sam w sobie jest zazwyczaj przemożny. A sztucznie wzmocniony moralnym szantażem wręcz paraliżował. Ówczesna opozycja czuła się sterroryzowana, chociaż najczęściej pokornie znosiła narzuconą podrzędność, obawiając się wychylić i zakłócić moralną jedność. Przynajmniej w pierwszej, najgorętszej fazie kryzysu. Skądinąd też sztucznie przeciągającej się, bo każda próba przywrócenia normalnych reguł demokracji natychmiast była piętnowana jako przejaw opozycyjnego politykierstwa. ▶

ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

▶ Jeszcze przed dojściem PiS do władzy spotkało to Andrzeja Wajdę, który po katastrofie smoleńskiej ośmielił się zakwestionować wawelski pochówek Lecha Kaczyńskiego. Później ów patent stosowano jeszcze nieraz.

Ustępliwość opozycji w kryzysowych sytuacjach za każdym razem kończyła się tak samo: notowania PiS skokowo rosły i w efekcie rządzący obóz na dłuższy czas odzyskiwał inicjatywę. Co dawało się odczuć, kiedy wreszcie powracał klimat do formułowania ocen. Opozycja odreagowywała wtedy okres przymusowego milczenia, wyostrzając krytykę. Co nie służyło jej wiarygodności, bo tym łatwiej można jej było przykleić łatkę „totalności". W krótkiej perspektywie to rządzący wychodzili więc z kryzysów zwycięsko, chociaż na dłuższą metę bywało już z tym różnie. Rosnąca z czasem społeczna antypatia wobec rządów PiS w sporej części była przecież reakcją na bezkarność tamtej władzy, która w pierwszej kolejności wykorzystywała pandemiczny chaos do zabezpieczania swoich partykularnych interesów, politycznych i materialnych.

Ale przechodząc do opozycji, formacja Kaczyńskiego puściła w niepamięć wszystko to, co głosiła za swoich rządów. Tym razem już nie było mowy o prawie rządzących do taryfy ulgowej w czasie kryzysu ani słowa o potrzebie jedności. Nieznacznie tylko spóźniono się z wytoczeniem najcięższych dział, ale pewnie dlatego, że w sobotę 14 września – czyli pierwszego dnia powodzi – prezesowi najwyraźniej zdarzyło się spać do południa i nieopatrznie udał się na zwołaną wcześniej demonstrację w obronie „prześladowanych ofiar reżimu Tuska". Ale już nazajutrz PiS zwietrzył świeżą krew i niezwłocznie przystąpił do rozliczania rządu z walki z powodzią. Nic sobie nie robiąc z tego, że w zalewanym na południowym zachodzie skrawku Polski rozgrywał się prawdziwy dramat.

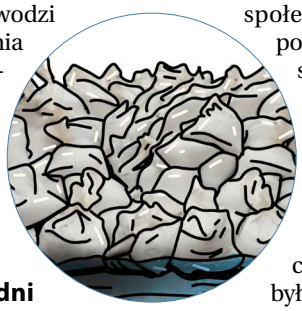

Propagandowy ostrzał przez pierwsze dwa dni był zmasowany. Poczynając od obsesyjnie powtarzanej i rozgrzebywanej na wiele sposobów uspokajającej wypowiedzi Tuska z piątku, który powołując się na aktualne prognozy meteorologiczne, bagatelizował stopień powodziowego zagrożenia. Z góry piętnowano każdy – realny lub domniemany – przejaw zaniechania bądź niefrasobliwości władzy w niesieniu pomocy. Podważano oficjalne doniesienia o liczbie ofiar i skali strat materialnych, nie gardząc kolportowaniem krążących po sieci wrzutek, nierzadko szytych grubymi nićmi fejków.

Zazwyczaj towarzyszyło temu rytualne „za naszych rządów coś takiego nie miałoby prawa się wydarzyć". Chociaż to PiS formalnie przecież zniosło obronę cywilną oraz gruntownie przemeblowało administrację wodną, biorąc polityczną odpowiedzialność za funkcjonalność Wód Polskich. Również poprzednią władzę w pierwszej kolejności należałoby rozliczać za obecny stan infrastruktury antypowodziowej. Być może z tego powodu wyszukiwano rozmaite incydenty z przeszłości z udziałem opozycyjnych wówczas aktywistów – najczęściej motywowane ekologicznie lokalne protesty przeciwko budowie zbiorników retencyjnych – które miały dowodzić, że to jednak antypisowska opozycja blokowała niezbędne inwestycje. Przynajmniej zwolennikom prawicy nietrudno było pewnie kupić opowieść o ekologicznych szaleńcach na niemieckiej kroplówce.

Dopiero trzeciego dnia powodzi chwilowo doszła do głosu refleksja, że radykalny przekaz koliduje z dominującym społecznym nastrojem. W trudnych chwilach konflikt polityczny w sposób naturalny ulega przecież osłabieniu, górę zaś biorą empatia i solidarność z ofiarami. PiS nigdy jednak nie było środowiskiem przesadnie empatycznym, chyba że był to środek do zdobywania poparcia. Teraz poprzestano na zorganizowaniu zbiórki darów, swoją drogą niezbyt imponującej, po czym górę znów wzięła krytyka eskalowana poza granice przyzwoitości. Przed czym akurat poprzednia opozycja, ta rzekomo „totalna" najczęściej się wzbraniała.

Chociaż niewykluczone, że jednym z powodów takiej właśnie reakcji była aktualna słabość PiS. Minęły czasy, kiedy partia dysponowała rozwiniętym aparatem badawczym, pozwalającym na bieżąco diagnozować nastroje, żeby adekwatnie później reagować. Teraz jakby z góry założono, że ekipa Tuska sobie z powodzią nie poradzi, nieuchronnie zderzając się z powszechnym niezadowoleniem, które należało jedynie dodatkowo podsycić. Pytanie, czy więcej w tym było resentymentu, zawierzenia własnej propagandzie o nieudolnych rządach Tuska czy też może pojawiła się trzeźwa refleksja o realnym stanie pozostawionego po sobie państwa.

Bo nagłe katastrofy i klęski żywiołowe zazwyczaj są przecież wymagającym testem dla władzy publicznej nawet w dobrze zorganizowanych państwach. Destrukcyjne oddziaływanie sił natury w najlepszym razie można starać się ograniczać, ale już poddanie ich całkowitej kontroli znajduje się poza zasięgiem naszych cywilizacyjnych możliwości. A cóż dopiero w Polsce, z jej chaotycznym ładem prawnym, wydrążonymi w trakcie kolejnych politycznych czystek instytucjami, żenująco niskim kapitałem społecznym? Zdrowy rozsądek faktycznie mógł zatem podpowiadać, że w krytycznym momencie nasze „państwo z kartonu" jest wręcz skazane na to, żeby się rozsypać, ujawniając ukryte na co dzień słabości.

Za rządów PiS do pewnego stopnia próbowano je rekompensować konsolidowaniem wszystkich dostępnych narzędzi władzy. W sytuacjach kryzysowych angażowano więc nie tylko powołane do tego celu służby, ale też – wbrew statutowemu przeznaczeniu – wielkie państwowe spółki. Powszechne też były dokonywane ad hoc manipulacje prawne. Przede wszystkim jednak starano się maskować strategiczne deficyty i nierzadko własną niekompetencję nachalnym marketingiem politycznym, w czym przez lata przodował Mateusz Morawiecki. Co dzisiaj nie przeszkadza w odmienionych realiach politycznych czynić z tego kolejnej z głównych osi zarzutu wobec Donalda Tuska, który rzekomo – jak chórem dowodzili politycy PiS – miał wykorzystać powódź do osobistego lansu kosztem skuteczności działania podległych mu organów państwa.

Zaordynowane przez premiera otwarte posiedzenia sztabów kryzysowych na zagrożonych obszarach bez wątpienia stanowiły innowację. Czy orientując się na tak widowiskową metodę, Tusk kierował się względami politycznymi? Bez wątpienia tak, chociaż trudno czynić z tego poważny zarzut, dopóki logika spektaklu nie koliduje z efektywnością. A wbrew temu, co w kółko podkreślali krytycy Tuska, w tych naradach wcale nie chodziło o to, żeby „car" tarmosił za brody swoich „bojarów". Nawet jeśli premierowi kilka razy zdarzyło się okazać zniecierpliwienie bądź spojrzeć bardziej krytycznym okiem. To jednak bardziej były incydenty niż reguła, skądinąd za zamkniętymi drzwiami szef rządu z pewnością byłby dosadniejszy.

Tusk oczywiście miał świadomość, że od skuteczności walki z żywiołem mogą zależeć jego dalsze polityczne losy. Zarazem jako realista znający na wylot słabości państwa nie mógł mieć złudzeń, że jego zdolności zarządzania kryzysem pozostaną ograniczone. Bo nawet najsprawniejsza koordynacja niewiele pomoże, kiedy w zaangażowanych ogniwach ujawnią się deficyty kadrowe bądź proceduralne, zaszwankuje współpraca pomiędzy służbami, zatkają się kanały komunikacyjne.

To wszystko dało zresztą o sobie znać w pierwszych dniach powodzi, kiedy zalane miasteczka na południu faktycznie zbyt często zdane były jedynie na siebie. Ale czy to efekt zaniechania ze strony samego Tuska, o czym rzekomo miała świadczyć jego słynna wypowiedź z piątku 13 września o braku powodów do paniki? Z perspektywy późniejszych wydarzeń faktycznie nieszczęśliwa, chociaż przypisywanie jej aż takiego znaczenia jest nadużyciem. W sytuacji zmieniających się prognoz nie było sensu podsycać nastrojów paniki, chociaż tak wrażliwy przekaz zapewne powinien być bardziej zniuansowany. Ale już oskarżanie Tuska, że celowo sfalsyfikował rzeczywistość, żeby osiągnąć domniemane cele polityczne, mija się z elementarną logiką. Po cóż miałby to robić, mając świadomość rychłej weryfikacji fałszywej diagnozy? To nie był casus Morawieckiego, który latem 2020 r. ogłaszał zwycięstwo nad koronawirusem, chociaż nie było ku temu żadnych podstaw, a chodziło wyłącznie o wyciągnięcie do urn wyborczych starszych wyborców, stanowiących potencjalny elektorat PiS.

Tak samo nie należy czynić Tuskowi zarzutu, że w walce z żywiołem wybrał ręczne sterowanie. W obliczu instytucjonalnych niedomagań państwa to była zapewne jedyna sensowna droga, z której korzystali też ochoczo poprzednicy. Ale już sama jawność posiedzeń sztabu kryzysowego oczywiście miała polityczny podtekst. Tusk zresztą już wiele razy w swojej karierze używał jawności jako instrumentu do osiągania politycznych celów. Poczynając bodajże od toczonych przed kamerami negocjacji koalicyjnych z PiS w 2005 r., które wcześniej już sobie odpuścił i po prostu szukał uzasadnień do ogłoszenia takiej decyzji. Tym razem chodziło jednak o coś zupełnie innego. Premier musiał wysłać opinii publicznej czytelny sygnał, że panuje nad sytuacją. I nawet jeśli sporo w tym było marketingowej kreacji, wcale nie chodziło wyłącznie o lans próżnego władcy.

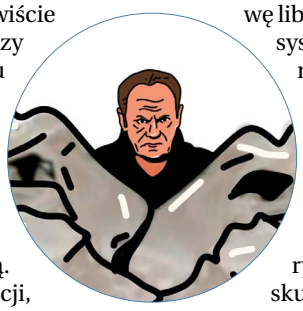

Nie sposób zbagatelizować argumentacji samego Tuska, który w sejmowej debacie tak wiele mówił o konieczności odbudowy zaufania w obliczu kryzysu. W kraju targanym głębokim konfliktem państwo faktycznie jawi się ogromnym grupom obywateli jako struktura wroga, opresyjna, realizująca koteryjne interesy. Publiczne narady sztabu kryzysowego miały pomóc zedrzeć lodowatą zasłonę. Pokazać, że za państwową fasadą znajdują się konkretni ludzie, którzy reprezentując różne służby i szczeble władzy, potrafią zgodnie współpracować w imię realizacji wspólnotowych interesów. Ten spektakl na swój sposób miał zatem wymiar również terapeutyczny. Chodziło o uczłowieczenie relacji obywatela z państwem, podkreślenie funkcji opiekuńczych.

Wcześniej to władza PiS odwoływała się zresztą do podobnych pragnień, co było wszakże elementem szerszego antyliberalnego pakietu. Przeważała postawa paternalistyczna, nikt poważnie nie zabiegał o budowanie partnerskich relacji. Przede wszystkim jednak pisowska opiekuńczość nigdy nie była bezinteresowna. Nawet nie ukrywano, że mile widziana będzie wdzięczność w postaci wyborczego poparcia. Tusk jest w swoich strategiach dużo subtelniejszy; nieprzypadkowo w pierwszej fazie kryzysu właściwie teraz porzucił polityczny dyskurs, wchodząc w otwartą polemikę z nieustannie atakującą go opozycją dopiero w sejmowym wystąpieniu, kiedy bezpośrednie zagrożenie powodziowe już minęło.

Ale czy nie za bardzo wypełnił swoją osobą niemal cały kadr? Tak jakby nieustannie dawał w tych dniach do zrozumienia, że „państwo to ja". W przypadku tego akurat polityka to jednak nic nowego, kreację „samotnego szeryfa" konsekwentnie rozwija od wielu lat. Przynajmniej od czasu afery hazardowej w 2009 r., którą wykorzystał do przebudowy swojego politycznego zaplecza. Stając ponad całą formacją, otoczył się wtedy hermetycznym gronem zaufanych współpracowników, którzy odtąd pracowali już tylko na niego.

Jest zatem politycznym samotnikiem z wyboru, co ma swoje konsekwencje. Im wyżej wznosi się ponad układ polityczny, w ramach którego funkcjonuje, tym bardziej sam staje się wobec niego nieufny. Widać to było doskonale w czasach opozycji wobec rządów PiS i tak samo widać teraz, kiedy sprawuje niemal osobiste rządy, nie pozostawiając partnerom wiele autonomii, a nierzadko używając ich do pokazowego rozstawiania po kątach, choćby publicznych „spowiedzi" z popełnionych grzechów. Z tego punktu widzenia w niedawnych deklaracjach Tuska o potrzebie odbudowania społecznego zaufania jest coś przewrotnego i nie do końca chyba szczerego.

Tyle że trudno mimo wszystko rozpatrywać ten zarzut poza kontekstem wielkiej konfrontacji z PiS. Bo Tusk jest, jaki jest (i pewnie już się nie zmieni), ale kiedy go nie było, obóz demokratyczny zawsze znajdował się w defensywie. Chybiona jest zatem niedawna analogia Jacka Żakowskiego z putinowskim modelem sprawowania władzy, gdyż – pomijając już bardziej niż wątpliwą konotację ze zbrodniczym reżimem – koncentracja władzy w rękach Tuska ukierunkowana jest przecież na odbudowę liberalnego charakteru państwa, a nie utrwalanie cech systemu autorytarnego. Nawet jeżeli z autorytarnych narzędzi zdarza się teraz Tuskowi nieraz korzystać, co faktycznie może kolidować z demokratyczną wrażliwością, chociaż wybór ścieżek na skróty też najczęściej wynika z braku sensownych alternatyw. Trudno bowiem praktykować wzorcową demokrację, kiedy brakuje demokratycznych instytucji, a wyborcy bynajmniej nie oczekują od rządzących rygorystycznego legalizmu, lecz po prostu doraźnej skuteczności. Przede wszystkim jednak metoda premiera pozostaje skuteczna, co raz jeszcze potwierdziło się przy okazji powodzi.

Bo przynajmniej z tej pierwszej fazy kryzysu Tusk wyszedł obronną ręką, co już zresztą zdają się pokazywać pierwsze badania opinii. W trudnych chwilach zdołał potwierdzić swoje przywództwo, demonstrując osobistą determinację, tak bardzo oczekiwaną przez wyborców „sprawczość", również empatię. Miał przy tym oczywiście sporo szczęścia, bo całe to widowiskowe zarządzanie sztabem kryzysowym na niewiele by się zdało, gdyby wielka fala pochłonęła więcej ofiar, szczególnie zalewając któreś z wielkich miast i odnawiając traumę „wielkiej wody" z 1997 r. Wtedy pisowska opowieść o nieudolnym i skupionym wyłącznie na własnej promocji Tusku z pewnością padłaby na dużo bardziej podatny grunt.

Tyle że metoda Tuska wciąż najlepiej się sprawdza, kiedy trzeba wygrać polityczne starcie. Z zarządzaniem procesami radzi już sobie gorzej, bo tutaj już nie wystarczy sprawne manewrowanie ani nawet podążanie za słuchem społecznym. Odbudowa terenów zniszczonych powodzią to poważny projekt, który wymagać będzie długofalowej koordynacji poszczególnych polityk rządowych oraz wygospodarowania na ten cel ogromnych pieniędzy. Dla obozu rządzącego, który chyba ma już świadomość, że niezależnie od rozliczeń z PiS warto byłoby poszukać alternatywnych źródeł legitymizacji, to bez wątpienia ogromna szansa, ale też wyzwanie, z jakim koalicja jeszcze nie miała do czynienia. Premier na razie więc swoje zrobił, ale teraz czas na państwo.

RAFAŁ KALUKIN

Człowiek z misją

MICHAŁ TOMASIK

Marcin Kierwiński opuścił Brukselę, aby koordynować odbudowę terenów po powodzi, ale tak naprawdę myśli o wpływach w Warszawie i w partii. Najpierw musi jednak zrealizować specjalne zadanie od premiera.

Kariera Marcina Kierwińskiego w ostatnim czasie zawiera niespodziewane zwroty akcji. Sekretarz generalny Platformy Obywatelskiej ledwie co zrezygnował z funkcji ministra spraw wewnętrznych i administracji, aby z pierwszego miejsca warszawskiej listy zasilić szeregi Europejskiej Partii Ludowej w europarlamencie. Nie minęły cztery miesiące od wyborów, kiedy 20 września podczas posiedzenia sztabu kryzysowego w Nowej Soli premier Donald Tusk ogłosił powrót byłego ministra. „Szukałem kogoś, kto ma wykształcenie techniczne i ma doświadczenie w zarządzaniu sytuacjami kryzysowymi. I przyszedł mi do głowy Marcin Kierwiński. Przyjechał i powiedział, że jest do dyspozycji" – tłumaczył szef rządu. Kilka dni później podczas zaprzysiężenia nowego członka rządu dodał, że to „Marcin zadzwonił do mnie".

Rządowego pełnomocnika ds. odbudowy po powodzi, w randze ministra, czeka trudne zadanie. Usuwanie skutków zniszczeń może potrwać wiele miesięcy, a nawet lat. Realizacja planu nazwanego „odbudowa plus" będzie wymagała koordynacji pracy służb podległych m.in. ministerstwom obrony, spraw wewnętrznych, infrastruktury, ale przede wszystkim wyznaczenia wizji, planu i kierunku modernizacji. Zdając w Sejmie sprawozdanie o sytuacji powodziowej, Donald Tusk podkreślił, że priorytetem będzie, aby „to, co było zniszczone, odbudować jako lepsze". Pełnomocnik rządu będzie zderzakiem dla trudnych i niepopularnych decyzji, jak budowa kolejnych zbiorników retencyjnych, w przeszłości oprotestowanych przez mieszkańców, często ze wsparciem lokalnych polityków. Nie jest znana jeszcze skala kosztów powodzi. Rząd zapowiedział do tej pory przeznaczenie na wsparcie 23 mld zł. Kwota może okazać się o wiele większa i zmusić ministra finansów do kolejnych przesunięć w budżecie. Czas i kolejne ekspertyzy pokażą, czy obecnych środków wystarczy na posprzątanie, modernizację i pokrycie strat poniesionych przez co najmniej 57 tys. osób.

Wsparcie dla Marcina Kierwińskiego zadeklarował prezydent Andrzej Duda. „Mogę pana zapewnić, że ja – jako prezydent RP i także ja jako po prostu człowiek – będę ze swojej strony dokładał wszelkich sił, żeby panu pomóc, jeżeli będą jakieś potrzeby, kiedy pan uzna, że moje, nasze wsparcie (…) jest potrzebne, to proszę o sygnał, proszę o informacje" – przekonywał podczas wręczenia nominacji w Pałacu Prezydenckim. Deklaracja prezydenta wzbudziła mieszane odczucia na prawicy, bo tam nadal żywa jest silna niechęć do Kierwińskiego za sprawę Kamińskiego i Wąsika. Zresztą urazę do nowego pełnomocnika ma sam Duda, za wejście policji do prezydenckiego pałacu i zatrzymanie dwóch byłych posłów. Ale prezydentowi Dudzie trudno było mówić podczas wręczania nominacji co innego, zważając na atmosferę po powodzi i fakt, że to Kierwiński ma być głównym organizatorem pomocy. Mimo to w PiS widać było irytację i opinie, że prezydent mógł być mniej wylewny.

Festiwal niespodzianek

Marcin Kierwiński ma 48 lat, jest urodzonym warszawiakiem, synem oficera wojska. Przeszłość partyjną ma, jak na polskie standardy, umiarkowanie zmienną. Działał w Ruchu Społecznym AWS, potem krótko w Stronnictwie Konserwatywno-Ludowym, a w 2001 r. już był w nowo powstałej Platformie. Prywatnie związany z Agnieszką Gierzyńską-Kierwińską, działaczką samorządową w Warszawie, od 2024 r. stołeczną radną, z którą wychowuje syna i dwie córki.

Wsparcie dla Marcina Kierwińskiego zadeklarował prezydent Andrzej Duda. „Mogę pana zapewnić, że ja – jako prezydent RP i także ja jako po prostu człowiek – będę ze swojej strony dokładał wszelkich sił, żeby panu pomóc".

Objęcie nowej funkcji – niepewnej i ryzykownej – odbyło się kosztem mandatu europarlamentarzysty. Legenda głosi, że sam premier Donald Tusk był zaskoczony prośbą ówczesnego szefa MSWiA o miejsce na liście do Parlamentu Europejskiego. Jednak Marcin Kierwiński zaskoczył wszystkich podwójnie. Sekretarz generalny PO uchodzi za konesera polityki krajowej, partyjnych układanek i, jak dodają koledzy z ugrupowania, nie przejawiał dotychczas zainteresowania Brukselą. Wokół decyzji o wyjeździe krążą plotki. Ich wspólny mianownik brzmi: Kierwiński chciał jechać. Dla polityków PO taka decyzja była szokiem, bo od lat budował swoją pozycję w formacji, a wyjazd do europarlamentu był prostą drogą do jej utraty.

Absolwent dwóch kierunków Politechniki Warszawskiej (elektronika i inżynieria produkcji) – co podkreślał premier Donald Tusk – pełni mandat posła nieprzerwanie od 2011 r. Zanim trafił do Sejmu, przeszedł większość szczebli samorządowych – szef partyjnego koła dzielnicy Wilanów, wiceszef warszawskich struktur, radny warszawski, radny sejmiku województwa, wicemarszałek. Od 2016 r. pełni funkcję szefa stołecznych struktur, a od 2020 r. sekretarza generalnego partii. Pozycję w Platformie i Warszawie budował latami. – *Chyba się zorientował, że Bruksela to nie miejsce dla niego, bo traci wpływy* – mówi poseł PO. Kolega z innej frakcji dodaje: – *Nawet nie zdążył łączyć mandatu europosła z sekretarzowaniem. Tusk się zorientował, że Kierwiński i tak większość czasu siedzi w Warszawie, i podjął decyzję o jego powrocie.*

Dowodem na, być może chwilowe, osłabienie pozycji ministra w stolicy jest niedawna dymisja jednego z wiceprezydentów Warszawy. Tomasz Bratek, uważany za człowieka Kierwińskiego, pożegnał się 10 września z fotelem zastępcy Rafała Trzaskowskiego. Jego miejsce zajął Tomasz Mencina, urzędnik od lat związany z ratuszem, którego prezydent darzy zaufaniem – w czasie kampanii przejmował obowiązki szefowej gabinetu Wioletty Paprockiej-Ślusarskiej. Tym samym całe kierownictwo ratusza – z wyjątkiem Adrianny Porowskiej z Polski 2050, która została powołana w zamian za poparcie Trzaskowskiego – wywodzi się z grona zaufanych współpracowników prezydenta stolicy.

Wielki powrót

Chęć powrotu do kraju miał sygnalizować Kierwiński, ale zdaniem posłów PO była to decyzja premiera. – *Raz chciał jechać, raz chciał wrócić, to dostał propozycję: chcesz wracać? Proszę, oto twoje nowe zadanie* – przekonuje poseł jednej z frakcji PO. Wyjazd do Parlamentu Europejskiego z reguły wiąże się z utratą ekspozycji medialnej, z odcięciem od bieżących krajowych spraw i rozgrywek. Zdaniem innego przedstawiciela PO premier próbuje upiec kilka pieczeni na jednym ogniu. – *Podobne zadanie dostał w zeszłym roku Sławomir Nitras. Miał zorganizować Obywatelską Kontrolę Wyborów. Premier lubi dawać nieoczywiste misje, które są ryzykowne, ale można się wykazać* – tłumaczy parlamentarzystka PO. Wówczas Tusk przedwyborczym wyzwaniem obarczył bliskiego współpracownika Rafała Trzaskowskiego, który zdaniem centrali zaczynał tworzyć zbyt oddzielną wewnątrzpartyjną politykę. Dzisiaj zdaniem rozmówców POLITYKI Tusk chce dać inny sygnał. ▶

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

▶ – *Premier pokazuje, że nie ma tłustych kotów. Nie jesteśmy rządem Obajtków. Nie wystarczy być biernym, miernym, ale wiernym. Poza knuciem trzeba również pracować i dowozić.*

Praca nad „odbudową plus" ma pokazać partii, że nawet sekretarz generalny, nawet europoseł nie jest święty i jak trzeba się ubrudzić, to należy szukać kaloszy. – *To misja straceńcza* – przekonuje polityk z frakcji Trzaskowskiego. Stawka jest wysoka, zwłaszcza gdy na szali leży autorytet premiera, który przyjął na siebie pierwszą falę medialnej i politycznej odpowiedzialności za powódź. W razie porażki – lub braku sukcesu – to na Kierwińskiego spadnie obowiązek sypania głowy popiołem i kajania się przed opinią publiczną. Premier Tusk, minister Tomasz Siemoniak i wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz będą mogli przekierować uwagę za opóźnienia, niepowodzenia lub sytuacje losowe (zapewne nieuniknione przy tak skomplikowanym i trudnym projekcie, a na których będzie żerować opozycja) na pełnomocnika, któremu powierzyli zadanie. Ministrowi odpowiedzialności dołożył swoim „błogosławieństwem" również prezydent.

Na plac Bankowy

Nakłaniając ministra Kierwińskiego do rezygnacji z mandatu europosła, premier również uzależnia polityka od siebie. – *Marcin cenił sobie budowanie pozycji poprzez hierarchię w partii, ale również przez mandat wyborczy* – tłumaczy jeden z rozmówców. Finansowy zjazd z bardzo wysokiej pensji europarlamentarzysty na wciąż dobrą pensję ministra zapewne zmobilizuje polityka do dołożenia starań, aby szef rządu nie rozmyślił się i nie powierzył funkcji komuś innemu, bo to poza wszystkim byłaby także prestiżowa porażka. Brukselski mandat po szefie warszawskich struktur przypadnie byłej prezydent stolicy Hannie Gronkiewicz-Waltz, która mimo drugiego miejsca na liście nie poradziła sobie z młodymi politykami PO – Michałem Szczerbą i Kamilą Gasiuk-Pihowicz.

Nowe stanowisko ma ponadto odwrócić uwagę sekretarza generalnego od partyjnych gier i układanek, a przekierować siły na obszary poszkodowane powodzią, czyli z dala od Warszawy. Choć rozmówcy uważają, że utrzymanie partyjnej funkcji było ważnym argumentem za powrotem. Pozostanie w Brukseli doprowadziłoby zapewne do utraty znaczenia tutaj, w Polsce. – *Sukces będzie miał wielu ojców, ale porażkę poniesie w samotności* – wróży polityk z nieprzychylnej Kierwińskiemu grupy.

Nowa funkcja to nie tylko „kij". Prezydent miasta stołecznego Warszawy Marcin Kierwiński – taki smak miałaby mieć „marchewka", o którą ubiega się nowy pełnomocnik. Scenariusz, w którym o kandydaturę na prezydenta Warszawy po Rafale Trzaskowskim (jeśli ten zostanie prezydentem RP) ma się ubiegać Kierwiński, jest znany i komentowany w Platformie. – *Jak coś w Warszawie dzieje się nie po myśli Trzaskowskiego, to stoi za tym Kierwiński* – przekonuje polityk PO. – *Ma wpływy w samorządzie miejskim: w radach, dzielnicach, urzędzie miasta. Poparcie oddolne nie będzie problemem.*

Lokalni politycy niezwiązani z ministrem wyobrażają sobie innych kandydatów – kobietę (Aleksandra Gajewska) lub mężczyznę z młodszego pokolenia (Michał Szczerba), ewentualnie wspomniana Paprocka-Ślusarska, ale zgodnie przyznają,

> Nakłaniając Kierwińskiego do rezygnacji z mandatu europosła, premier uzależnia polityka od siebie. Nowe stanowisko ma też odwrócić jego uwagę od partyjnych gier, a przekierować siły na obszary poszkodowane powodzią, czyli z dala od Warszawy.

że to Kierwiński szanse ma największe. Końcową decyzję podejmie premier. Pytanie, czy jednoosobowo. Zanim dojdzie do przedwczesnych wyborów samorządowych w stolicy, Trzaskowski musi wygrać wybory w 2025 r. – *Wtedy jego pozycja urośnie, stanie się gwiazdą* – tłumaczy senator PO. – *Bez jego poparcia nikt nie zostanie prezydentem Warszawy. Będzie miał decydujący głos, o ile zechce go zabrać.*

Im bliżej ratusza, tym rozmówcy są bardziej przekonani, że Trzaskowski nie będzie spierał się z premierem o nominację na prezydenta stolicy. – *On się nie bawi w takie gierki partyjne* – przekonuje współpracownik ratusza. Członkowie partii obserwujący spór Kierwińskiego z Trzaskowskim o wpływy w Warszawie są jednak zdania, że prezydent nie zgodzi się na jego nominację. Ministrowi pozostaje zatem wykorzystać polityczne korzyści płynące z nowej funkcji. Pewność przyniesie jedynie wizerunkowy sukces, na który muszą się złożyć dobrze opowiedziana wizja odbudowy, przejrzyście i atrakcyjnie komunikowana (co było problemem rządu na początku katastrofy), a także umiejętność pogodzenia różnych i sprzecznych interesów. W tym akurat sekretarz generalny PO ma doświadczenie. – *Jeszcze niech założy T-shirt i przestanie się golić* – żartuje jeden z parlamentarzystów.

Wybory w cieniu powodzi

Reorganizacji rządu towarzyszy jeszcze jeden aspekt. Premier na stanowisku nowego ministra potrzebuje osoby zaufanej i obrotnej, która nie doprowadzi do katastrofy, ale dobrze wykona zadanie. Powodzenie Kierwińskiego jest tożsame z sukcesem Tuska, zwłaszcza u progu kampanii prezydenckiej, która odgrzeje emocje i spory między obozem rządowym a opozycją. Walka o Pałac Prezydencki jest fundamentalna z perspektywy obecnej większości rządzącej i mimo prawie pewnej kandydatury Trzaskowskiego zwycięstwo nie jest przesądzone. Prezydent stolicy jest bezsprzecznym faworytem – inne partie nie mają jeszcze pomysłu na kandydata – jednak w pokrętnej politycznej logice przeciwnicy będą przypisywać mu wszystkie porażki w odbudowie terenów powodziowych, jakie pojawią się na horyzoncie.

W obliczu nadchodzącej kampanii wyborczej funkcja pełnomocnika rządu na tak newralgicznym polu staje się więc kluczowa dla powodzenia kroczącego po prezydenturę Trzaskowskiego lub innego kandydata PO. Powódź nawiedziła tereny zamieszkane przez ponad 2 mln ludzi. W 2020 r. prezydent stolicy w województwach dolnośląskim, lubuskim, śląskim i opolskim wygrał z Andrzejem Dudą. Polityczny bilans zarządzania kryzysem na zalanych terenach również nie jest znany – czy większość mieszkańców zapamięta zatopione Głuchołazy, Lądek-Zdrój i Kłodzko, czy uratowane Wrocław i Opole.

Najwidoczniej premier wciąż nie darzy zaufaniem niektórych polityków własnego obozu. Do zadania wymagającego dobrej znajomości regionu mógłby oddelegować samorządowców lub polityków z lokalnych struktur, którzy mogliby się ze sobą pokłócić (dolnośląska Platforma jest znana z frakcyjnych walk). Kierwiński pozostanie lojalny wobec przewodniczącego partii. Udowadniał to, współpracując kolejno z Ewą Kopacz, Grzegorzem Schetyną i Borysem Budką – dostosowując się do zmian szefostwa. Jednak nie lojalność, a zaangażowanie i efekty pracy ministra będzie oceniał premier i osobiście podejmował decyzję: czy Kierwiński ostatecznie rozpakuje walizki w stołecznym ratuszu, czy pożegna się z funkcją sekretarza generalnego partii.

MICHAŁ TOMASIK

Zrzutka po zarzutach

ANNA DĄBROWSKA

Skarbnik PiS Henryk Kowalczyk mówi, że może już spać spokojnie, bo pieniądze na spłatę 35 mln zł kredytów zaciągniętych w PKO na kampanię parlamentarną zdołał zebrać. – *Dotacja z budżetu państwa, czyli zwrot kosztów kampanii wyborczej, i wpłaty od naszych sympatyków pozwolą nam spłacić resztę zadłużenia* – mówi Kowalczyk. Z długu pozostało już tylko 3 mln zł. Kilka dni po tym, jak 29 sierpnia PKW po burzliwych dyskusjach podjęła decyzję o odrzuceniu sprawozdania wyborczego komitetu PiS, minister finansów przelał na partyjne konto 27 mln 908 tys. zł dotacji. To o 10 mln 864 tys. mniej niż przysługiwało PiS-owi. Przypomnijmy, że to kara za nielegalne wydanie w kampanii 3,6 mln zł. Na szczycie listy takich wydatków był spot Zbigniewa Ziobry za 2,6 mln zł, który PKW uznała za promocję ministra, czego partia w sprawozdaniu wyborczym i limicie kampanijnych wydatków nie uwzględniła, a powinna.

Finał jest taki, że PiS musi zwrócić Skarbowi Państwa 3,6 mln zł, dodatkowo o trzykrotność tej kwoty została pomniejszona dotacja. Także coroczna subwencja, która ma być wpłacana do końca kadencji Sejmu, będzie pomniejszona każdego roku o 10,8 mln. W przypadku sprawozdania z kampanii minister finansów nie czeka na wyrok Sądu Najwyższego w sprawie odwołania PiS od decyzji PKW i przelewa pomniejszone kwoty. Jeśli okaże się, że SN uzna skargę PiS, to minister finansów teoretycznie będzie musiał wypłacić niesłusznie odebrane pieniądze. Chyba że zarówno PKW, jak i minister Domański nie uznają wyroku jako wydanego przez tzw. neoizbę SN.

Jak idzie zbiórka pieniędzy na PiS, czy wystarczy na kampanię prezydencką i potrzeby partii? Wpłacają wyborcy i politycy ugrupowania, ale w rejestrze darczyńców nie ma prezesa Kaczyńskiego.

Gdyby sprawozdanie komitetu wyborczego PiS zostało przyjęte, partia otrzymałaby łącznie (dotacja i subwencja) 141,4 mln zł do końca kadencji (do 2027 r.), a dostanie 83,8 mln. Po decyzji PKW straci łącznie 57,6 mln zł. To sporo, a zbliżają się wybory prezydenckie, więc prośby o wpłaty nie ustaną. Teraz trochę przycichły, bo jak przyznaje ważny polityk PiS, piarowo źle by wyglądało proszenie o pieniądze na partię, w momencie gdy ludzie zrzucają się na pomoc powodzianom. Jarosław Kaczyński ogłosił, że partia przekazała poszkodowanym za pośrednictwem Caritas 250 tys. zł.

„Nikt, kto jest Polakiem, nawet takim letnim patriotą, na to nie może się zgodzić i my będziemy walczyli, ale potrzebujemy w tej chwili pomocy ze strony społeczeństwa, pomocy finansowej" – apelował prezes zaraz po decyzji PKW. Mobilizacja sympatyków PiS okazała się duża. Od 29 sierpnia przez niespełna miesiąc na konto partii wpłynęło 7,8 mln zł od 60 tys. osób. – *Jestem bardzo pozytywnie zaskoczony. Dominująca wysokość wpłat to 100 zł i codziennie wpływają nowe* – mówi Henryk Kowalczyk. Tylko te powyżej 10 tys. zł muszą być ujawniane na bieżąco (najpóźniej dwa tygodnie od wpłaty) w oficjalnym rejestrze na stronach partii. Na razie prezes sam nie dał przykładu, bo nie ma go w rejestrze ani w tym, ani w ubiegłym roku. Cała lista drobniejszych ofiarodawców będzie ujawniona w rocznym sprawozdaniu partii dopiero na koniec marca 2025 r. ▶

ILUSTRACJE **MAX SKORWIDER**

▶ Po apelu Kaczyńskiego najwięcej wpłacił najbogatszy parlamentarzysta PiS Grzegorz Bierecki, senator i twórca SKOK – 64,5 tys. zł. To maksimum, jakie osoba fizyczna może przelać na konto partii politycznej w 2024 r. Były premier Mateusz Morawiecki 30 sierpnia przelał 50 tys. zł. Ale to wcale nie oznacza, że Bierecki jest bardziej szczodry. W rejestrze pojawia się nazwisko darczyńcy, kiedy suma jego rocznych wpłat przekroczy 10 tys. zł. Morawiecki wcześniej wpłacił 10 tysięcy, których ujawniać w wykazie nie trzeba było, i teraz mógł dopłacić jedynie 54, aby nie przekroczyć ustawowych limitów.

Zamieszanie z PESEL-ami

Wpłacać na partię może każdy obywatel polski, mający stałe miejsce zamieszkania na terenie Polski. W danym roku może przelać 15-krotność płacy minimalnej (dziś to 4,3 tys. zł brutto, czyli maksymalnie 64,5 tys. zł w ciągu roku). Dodatkowo może tyle samo przelać co roku na Fundusz Wyborczy partii, ale limit ten wzrasta do 25-krotności minimalnej pensji w roku, w którym są podwójne wybory (25 x 4,3 tys. zł brutto to daje 107,5 tys. zł). Ale to nie wszystko, bo członkowie płacą jeszcze składki, a ich suma roczna nie może przekroczyć pensji minimalnej, czyli 4,3 tys. zł. Zliczając to wszystko w 2024 r., w którym odbyły się podwójne wybory (samorządowe i do PE), członek PiS może wpłacić 176,3 tys. zł, a ktoś bez partyjnej legitymacji – 172 tys. zł. W przyszłym roku łączny limit wpłat na partyjne konta (wyborcze i bieżące) wyniesie 129 tys. zł.

Kiedy Kaczyński zaczął mówić o wielkiej zrzutce na PiS, instruował, aby w tytule przelewu podawać numer PESEL. Wielu zachodziło w głowę po co, bo przecież i cudzoziemcy przebywający w Polsce, którzy na partie wpłacać nie mogą, PESEL mogą posiadać. Eksperci od ochrony danych osobowych oburzali się, że to może naruszać RODO. – *Ten numer był nam potrzebny, aby sprawdzać, czy suma wszystkich wpłat od danej osoby nie przekroczyła 10 tys. zł, bo wtedy musimy wpisać ją do publicznego rejestru wpłat. Zmieniliśmy instrukcję, już go nie wymagamy* – wyjaśnia skarbnik partyjny Henryk Kowalczyk. Zresztą okazało się, że ludzie wpłacają o wiele drobniejsze kwoty, więc tym bardziej PESEL nie jest potrzebny.

Na akcję groszówkową zdeterminowanych zwolenników PO „Silnych Razem" też znalazło się już rozwiązanie. Zachęcali oni do wpłacania groszy na konto PiS z nieprawidłowo opisanymi tytułami przelewów, co miało zmusić PiS do dokonywania zwrotów do nadawców i paraliżowało obsługę zrzutki. W pierwszym tygodniu po decyzji PKW te groszowe przelewy od fałszywych sympatyków stanowiły nawet 15 proc. wszystkich. Ustawa każe takie błędne czy niekompletne wpłaty zwracać, ale jest furtka, z której PiS zamierza skorzystać. Istotne jest to, aby partia nie wydała tych pieniędzy, bo to świadczy o przyjęciu błędnej wpłaty. – *PiS może odłożyć te grosze na subkonto i jednym przelewem przekazać skarbówce jako przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa i to będzie zgodne z prawem* – mówi osoba z PKW.

Jarosław Kaczyński zapowiedział, że parlamentarzyści PiS od września mają łożyć na partię po minimum tysiąc złotych miesięcznie, a posłowie do Parlamentu Europejskiego po 5 tys. zł. Zaraz po tym publicznym wezwaniu prezesa po tysiącu wpłacili już m.in. posłowie Joanna Lichocka, Bolesław Piecha, Anna Krupka, Radosław Fogiel, Elżbieta Witek, a z europosłów dokładnie tyle, ile zażądał Kaczyński, przelała Marlena Maląg. 3 września w rozmowie z „Super Expressem" Daniel Obajtek, obecnie europoseł PiS, zadeklarował: „W tym roku wpłaciłem na PiS już 100 tys. zł, to było w połowie maja. Jak będzie trzeba, to wpłacę więcej jeszcze w tym roku niż te 5 tys. zł wymaganego, żeby prezes nie musiał płacić. Trzeba być solidarnym, więc jeśli będzie trzeba, to i za pana prezesa zapłacę. Zawsze poczuwałem się w obowiązku, aby płacić na PiS i tak też będzie i teraz".

Jarosław Kaczyński raczej do biednych nie należy (z ostatniego oświadczenia majątkowego wynika, że ma prawie 340 tys. zł oszczędności; prawie 8 tys. zł emerytury i uposażenie poselskie), więc sam ma z czego zapłacić. Z rejestru wynika, że Obajtek jeszcze swojej zapowiedzi nie spełnił, a uwzględniając limity, może do końca roku dopłacić 76,3 tys. zł. W przyszłym roku faktycznie może – na partię i na fundusz wyborczy – wpłacić więcej niż te 5 tys. zł miesięcznie, bo łączny limit wynosi 129, więc także za prezesa.

Tłuste koty zwlekają

Ale nie wszyscy posłowie są zadowoleni, że muszą oddawać część pensji. Zarabiają niespełna 13 tys. brutto i do tego 4 tys. nieopodatkowanej diety. – *Wielu posłów przyznaje kuluarowo, że nie chcą płacić. Twierdzą, i mają rację, że to milionerzy opisywani przez media, którzy dorobili się przez ostatnie osiem lat w państwowych spółkach, powinni płacić* – mówi poseł Jan Krzysztof Ardanowski (do niedawna w PiS). Ale mało który z milionerów poczuwa się do pomocy partii, która ustawiła ich finansowo, często na całe życie. Latem 2022 r. w Ministerstwie Aktywów Państwowych Jacka Sasina odbyła się rozmowa z niektórymi szefami państwowych spółek i zostało czytelnie wyrażone oczekiwanie, że mają wpłacać pieniądze na konto partii. Zaraz potem, jak to ujawniliśmy w POLITYCE, pięć osób z zarządu PZU w ciągu zaledwie tygodnia wpłaciło na konto PiS łącznie 225 tys. 750 zł, a byli to: prezeska Beata Kozłowska-Chyła, Małgorzata Sadurska, Andrzej Jaworski, Piotr Nowak, Ernest Bejda. Z tej piątki tylko ten ostatni, były szef CBA i współpracownik Mariusza Kamińskiego, w tym roku wpłacił 48 tys. zł. Po wpłatach prezesów innych spółek też nie ma śladu, co mocno irytuje posłów PiS.

Ktoś mówi o spadochroniarzach, którzy po przegranych wyborach wylądowali w NBP u Adama Glapińskiego. Chodzi m.in. o Annę Plakwicz (od słynnej spółki Solvere i kampanii Sprawiedliwe Sądy oraz kampanii PiS), która sporo zarabia dziś w banku, a za rządów PiS została milionerką. Też nic nie wpłaciła.

Nieoficjalnie w obecnej koalicji rządowej osoby, które wchodzą do zarządów i rad państwowych spółek, mają zakaz wpłacania na partie. I z rejestrów wynika, że nie przelewają. W projekcie ustawy przygotowanej przez Polskę 2050 o naprawie ładu korporacyjnego w spółkach z udziałem państwa zapisano zakaz przyjmowania przez partie i komitety wyborcze wpłat od ludzi z rad i zarządów spółek państwowych. Jak słyszymy w PiS, po VIP-owskie składki prezes PiS zgłosi się nie tylko do parlamentarzystów krajowych i unijnych, ale też do innych działaczy, którzy dzięki poparciu partii sprawują jeszcze jakieś ważne funkcje, np. w samorządach, w których rządzi PiS. Takie VIP-darowizny to dość powszechna praktyka także w wielu europejskich krajach, na przykład we Francji czy w Niemczech.

Także w Polsce. 20 lat temu PSL podjął nawet specjalną uchwałę, że każdy, kto zasiada gdziekolwiek na płatnym stanowisku, musi oddać partii 3 proc. z pensji. Również w PO w 2007 r. powstała instrukcja nakazująca wpłatę 10 proc. uposażenia, ale już dziś formalnie nie obowiązuje, choć wiadomo, że funkcyjni odpalają jakiś procent do wspólnej kasy. Niektórzy eksperci od finansowania polityki mocno krytykują VIP-składki i uważają, że powinny być zakazane. Nie wydaje się, aby była na to jakaś szansa, bo partie parlamentarne nie są takim zakazem zainteresowane. Te „haracze" wymykają się prawu, bo dopóki ktoś nie powie, że został do płacenia zmuszany pod groźbą utraty pracy, jest to legalne.

30 września minął termin na rozpatrzenie rocznych sprawozdań partii za 2023 r. To jednak termin instrukcyjny, już wiadomo, że sprawa opóźni się przynajmniej o kilka tygodni. W ubiegłym tygodniu komisja zebrała się i znów burzliwie dyskutowała o tym, co zrobić ze sprawozdaniem finansowym, tym razem rocznym, PiS. Jeśli PKW je odrzuci, to partia traci prawo do otrzymania całej (!) subwencji przez kolejne trzy lata. Sprawa wydaje się oczywista, bo odrzucenie sprawozdania z wyborów z powodu przyjęcia przez komitet partyjny niedozwolonych wartości pieniężnych zwiastuje odrzucenie z tego samego powodu sprawozdania rocznego partii. Jak przyznał szef PKW Sylwester Marciniak w rozmowie z Money.pl: „przepis jest jednoznaczny, to jest właściwie automat". Niektórzy konstytucjonaliści mają wątpliwości co do legalności podwójnego karania za to samo naruszenie prawa. Co ważne, w przypadku odrzucenia sprawozdania rocznego, inaczej niż w tym z kampanii, minister finansów musi poczekać z wstrzymaniem subwencji do uprawomocnienia się wyroku neoizby SN, jeśli będzie ją uznawał. A na to można długo poczekać.

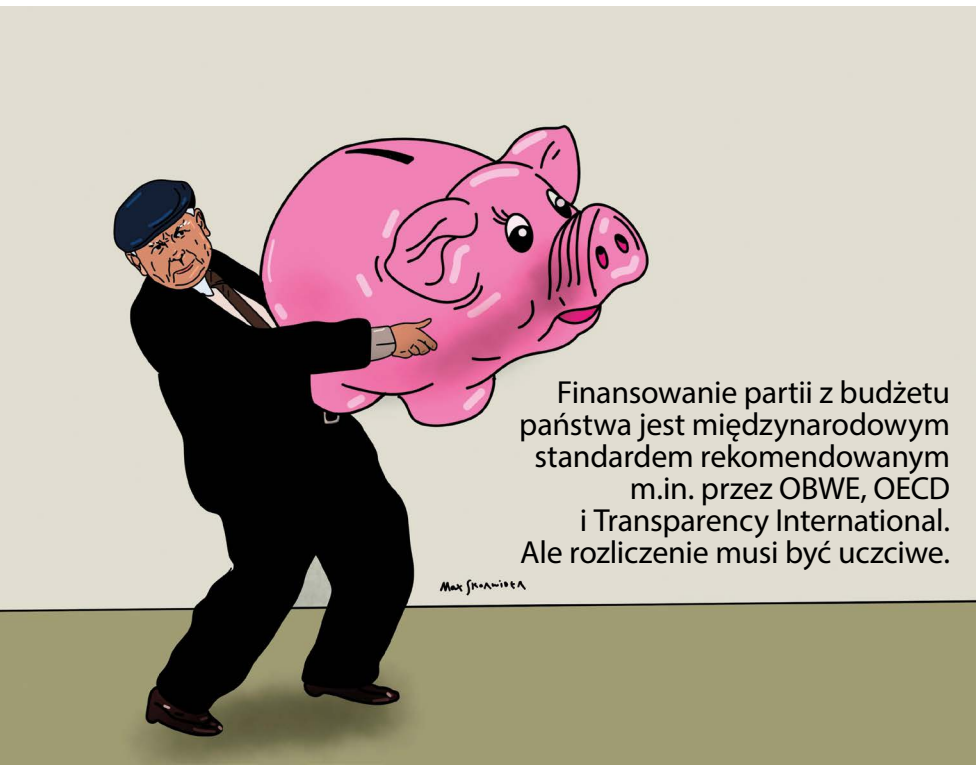

PiS jeszcze zyska?

Co więcej, z naszych informacji wynika, że PKW w ogóle nie zamierza zajmować się teraz sprawozdaniem rocznym PiS, bo chce poczekać na orzeczenie w sprawie odrzucenia tego z kampanii. 24 września PKW wysłała do SN odpowiedź na skargę PiS, do której dotarliśmy. Powtórzono w niej argumenty z uzasadnienia sierpniowej uchwały i na koniec stwierdzono, że skarga pełnomocnika finansowego komitetu wyborczego PiS jest w całości niezasadna i wnoszą o jej oddalenie. – *Przepisy tego nie regulują, ale logika podpowiada rozwiązanie. PiS odwołał się od naszej decyzji do SN, a PKW bez ostatecznego rozstrzygnięcia w tamtej sprawie trudno jest podjąć decyzję co do sprawozdania rocznego za 2023 r., kiedy na podstawie tego samego uchybienia powinniśmy je odrzucić* – mówi jeden z członków PKW.

Krzysztof Izdebski, specjalista w zakresie praworządności z Fundacji Batorego, rozumie logikę, która nakazuje poczekać na ostateczność uchwały PKW w sprawie odrzucenia wyborczego sprawozdania PiS: – *I jednocześnie mamy wielki problem prawny, biorąc pod uwagę kwestionowanie legalności Izby SN, która ma rozstrzygać w tej sprawie. W normalnej sytuacji można czekać na orzeczenie organu, który jest traktowany jako sąd, ale ten nie jest.* Sytuacja jest bezprecedensowa, bo może się okazać, że SN będzie przyglądać się sprawie przez długie miesiące, jego decyzja nie będzie uznawana przez rząd, a sprawozdanie roczne partii nie będzie prawomocnie ocenione. Wszystko może się ciągnąć nawet do końca kadencji Sejmu, PiS nie straci reszty subwencji, ale będzie grał ofiarę na którą będą łożyć lojalni sympatycy, a więc na całej sprawie może jeszcze finansowo zyskać.

W kasie partii nie jest źle

O większych oszczędnościach w PiS jakoś nie słychać. W likwidacji jest 100 biur okręgowych partii, ale tu chodzi bardziej o to, że prezes zrezygnował z pomysłu podziału struktur na tyle okręgów, bo okazały się nieskuteczne w zarządzaniu. Mówi się, że europosłowie za euro z Brukseli mają pootwierać więcej biur i pozatrudniać na euroetatach działaczy, aby odciążyć partyjny budżet. Na razie o zwolnieniach przy Nowogrodzkiej nie ma mowy. Jest tam ok. 30 etatów, a nawet podobno zatrudnienie znaleźli tu bliscy współpracownicy Morawieckiego, którzy musieli odejść z KPRM. W 2023 r. PiS wydał na partyjne wynagrodzenia 7,9 mln zł. Jeśli chodzi o pieniądze na kampanię prezydencką, to w PiS panuje przekonanie, że nie ma co pompować wielkich pieniędzy w przegraną. Kampania będzie skromniejsza i taki też ma być przełożony z ostatniego weekendu na 12 października partyjny kongres. Ten poza roszadami personalnymi i reorganizacją partii ma Kaczyńskiemu przynieść jakieś finansowe korzyści. Fuzja z Suwerenną Polską to dodatkowo ok. 350 tys. zł przypływu od jej członków, bo tyle średnio w ostatnim czasie byli w stanie rocznie uciułać.

Minęło już ponad 20 lat, od kiedy Sejm w 2001 r. uchwalił rewolucyjne, jak na tamte czasy, przepisy o finansowaniu partii politycznych. Ustawa uzdrawiała patologie z lat 90., kiedy partie zbierały kasę, nie spowiadając się od kogo. W nieważnym referendum z 2015 r. ogłoszonym przez prezydenta Bronisława Komorowskiego prawie 80 proc. głosujących było przeciw finansowaniu partii z budżetu. Jednak finansowanie partii z budżetu państwa jest międzynarodowym standardem rekomendowanym m.in. przez OBWE, OECD i Transparency International (w UE jedynie Malta nie finansuje partii z państwowej kasy). Ale rozliczenie musi być uczciwe. Z perspektywy czasu widać, że regulacje są dziurawe i można sporo naprawić. Jest np. duża łatwość wpłacania na słupy, by omijać limity wpłat. Może się tym zająć KAS, ale ma teraz pełne ręce roboty. Już nie mówiąc o tym, jak PiS przez 8 lat rządów angażował publiczne pieniądze do partyjnej promocji, co też trzeba raz na zawsze ukrócić.

ANNA DĄBROWSKA

Telefon alarmowy

Smartfon w rękach ucznia staje się coraz groźniejszą zabawką. Ale czy zakazywać tych urządzeń w szkołach? Pojawiły się ciekawsze pomysły.

JOANNA CIEŚLA

Gehenna Julii trwała pięć lat. Zaczęło się w pandemii, na lekcjach zdalnych w piątej klasie. Nauczyciele próbowali prowadzić zajęcia, a dzieciaki na czacie przerzucały się obelgami. Wyśmiewanie, wyzwiska – rodzice dziewczyny nie chcą przytaczać szczegółów. Po powrocie do stacjonarnej szkoły nienawiść sączyła się dalej. Nawet gdy Julia poszła do technikum, hejtu w mediach społecznościowych nie zatrzymały mury. Sprawą zajęła się policja i sąd rodzinny. Umorzył. Rodzice Julii słyszeli, że są przewrażliwieni – i oni, i córka. Po raz kolejny zmieniła szkołę. Bała się, pisała, że zakończy życie. Hejterzy mieli nowy temat: domaga się uwagi.

Julia zmarła w połowie września. Odebrała sobie życie we własnym pokoju. W niedzielę w Lubinie, gdzie wszystko się działo, zorganizowano milczący marsz.

Prokuratura zabezpieczyła telefon i laptop nastolatki. Ustala, czy ktoś namawiał ją do samobójstwa, czy w ścisłym rozumieniu przepisów znęcano się nad nią psychicznie. Pracuje też nad drugą sprawą, z zawiadomienia rodziców innej nastolatki. Filmik, na którym szokującym, wulgarnym językiem „przeprasza" Julię i jej rodzinę, wklejany jest w mediach społecznościowych jako dowód, że to ona była sprawczynią. Teraz na nią niesie się hejt, została pobita.

W zeszłorocznym raporcie Państwowego Instytutu Badawczego NASK „Nastolatki 3.0" (na podstawie badania prawie 5 tys. nastolatków i 1,2 tys. rodziców) prawie 40 proc. uczniów powiedziało, że w internecie doświadczyło wyzywania, jedna czwarta – ośmieszania, jedna piąta – poniżania. Jeszcze więcej było świadkami podobnych aktów. Można więc powiedzieć, że za pośrednictwem mediów społecznościowych cierpienie i krzywda są transmitowane co najmniej równie skutecznie jak informacje i potrzebne umiejętności (20–30 proc. pytanych używa internetu do odrabiania lekcji lub poszerzania wiedzy). Pora sobie uświadomić, że to żywioł. Piąty żywioł, wykreowany przez człowieka.

Według NASK nastolatki spędzają w cyberprzestrzeni ponad 5,5 godz. w dni powszednie i 6 godz. i 16 min w weekendy. Uporządkowanie tej rzeczywistości, opanowanie technologiczno-komunikacyjnego żywiołu to zadanie dorosłych. Tylko co to właściwie znaczy i których konkretnie dorosłych?

Pani od Tindera

Odpowiedź, że chodzi o dorosłych pracujących w szkołach, nasuwa się trochę naturalnie, chociaż nauczyciele z sarkazmem dodają, że rodzice chętnie przerzucą na nich zmagania z problemami dzieci. W połowie września „Super Express" opublikował wyniki sondażu Instytut Badań Pollster: 67 proc. pytanych oceniło, że należy zakazać używania smartfonów w szkołach. 24 proc. uznało, że nie, a 9 proc. nie miało zdania. Kilkanaście dni wcześniej, pod koniec wakacji, ministra edukacji Barbara Nowacka zapowiedziała, że obecnie nie ma mowy o wprowadzaniu powszechnego zakazu używania telefonów komórkowych w placówkach oświatowych. Podkreśliła, że „nie jesteśmy na to gotowi" i że autonomia szkoły oraz prawa rodziców są po to, żeby podobne sprawy regulować w wewnątrzszkolnych dokumentach.

Tyle że w wielu szkołach, które faktycznie od 2017 r. mogą w statutach określać warunki korzystania z urządzeń elektronicznych, trudno się na cokolwiek wiążąco umówić. W cytowanym badaniu NASK co trzeci uczeń powiedział, że w jego szkole nie jest możliwe korzystanie z urządzeń mobilnych z dostępem do sieci. Jednocześnie 28 proc. wyznało, że jest online również w szkole. A wedle Urzędu Komunikacji Elektronicznej prawie połowa dzieci między 9. a 12. rokiem życia ma podczas lekcji włączony smartfon.

– *Ja bym chciał, żeby były jasne zasady* – wyznaje Michał, 13-latek z warszawskiej podstawówki. W jego szkole oficjalny zakaz używania smartfonów wprowadzono dwa lata temu. – *Ale na przerwach prawie zawsze ktoś w coś gra i tylko czasem dostaje ochrzan.* W zeszłym tygodniu „ochrzan" dostały dwie koleżanki, które spóźniły się na biologię, bo przeniesiono ją do innej sali. – *Pan powiedział, że „trzeba było sprawdzić w internecie". Nauczyciele też siedzą w telefonach, nawet na lekcjach. Pani od angielskiego wczoraj przeglądała Tindera.*

Krzysztof Puścian, dyrektor małej podstawówki w Zachodniopomorskiem: – *Kilka lat temu przeprowadziłem ankietę wśród rodziców, jakich chcą zasad korzystania z telefonów. 80 proc. wybrało zakaz w szkole – i na lekcjach, i na przerwach. A potem nadal te smartfony dawali swoim dzieciom.* Dyrektor dwa razy poprosił uczniów używających telefonów o oddanie ich do depozytu. – *I dwa razy była awantura z ojcem i matką, że zabieram własność prywatną. Pytałem, dlaczego poparli zakaz w ankiecie. Odpowiadali, że nie przemyśleli i że w przypadku ich dziecka zachodzi wyjątkowa okoliczność.* Podobne doświadczenia mają odpytani nauczyciele i dyrektorzy kilku innych szkół.

Świat się odłącza

W skali świata wiatr zmian w podejściu do technologii i cyfryzacji w życiu dzieci i nastolatków wieje od kilku lat. Kluczowa była oczywiście pandemia i globalny zwrot ku edukacji zdalnej. W wydanym ponad rok temu raporcie „Technologia w edukacji" eksperci UNESCO wezwali do rozwagi w korzystaniu z nowych technologii w szkołach. Przywołano m.in. wyniki badań z kilkunastu krajów, w których stwierdzono, że sama fizyczna bliskość smartfonów rozprasza uczniów. Jak podkreślają autorzy, korzyści z sięgania po urządzenia cyfrowe w szkołach znikają, jeśli uczniowie używają ich w nadmiarze lub bez wskazówek nauczyciela. UNESCO zwraca również uwagę na zagrożenia prywatności oraz ryzyko cyberprzemocy.

Ograniczenia lub centralne zakazy używania telefonów w szkołach w czasie opracowywania raportu obowiązywały w jednej czwartej krajów świata. Najczęściej w Azji Środkowej i Południowej (np. w Chinach). W Europie na zasadzie eksperymentalnej wprowadzały je m.in. Belgia, Hiszpania czy Wielka Brytania. Jak relacjonują eksperci, uczniowie szkół z zakazami zaczęli osiągać lepsze wyniki w nauce – zwłaszcza jeśli wcześniej radzili sobie z nią bardzo słabo.

W Norwegii, gdzie ograniczenia pozostawały w gestii szkół, w placówkach, w których wprowadzono zakazy, pojawiły się korzystne efekty. W badaniu uczniów w wieku 12–15 lat ze szkół, gdzie telefony były zakazane od przynajmniej trzech lat, dzieci o 30 proc. rzadziej korzystały z konsultacji specjalistów zdrowia psychicznego, o prawie połowę rzadsze stały się przypadki nękania i zastraszania. – *Poprawiły się również wyniki w nauce, szczególnie dziewcząt. Prawdopodobnie dlatego, że to dziewczęta więcej korzystają z mediów społecznościowych, a zatem jeśli używają smartfonów w szkole, są bardziej rozproszone* – relacjonowała autorka badania dr Sara Abrahamsson z Norweskiego ▶

ILUSTRACJA KATARZYNA KOSTECKA

▶ Instytutu Zdrowia Publicznego w trakcie zorganizowanej w Warszawie 18. Międzynarodowej Konferencji „Bezpieczeństwo dzieci i młodzieży w internecie". Jeszcze przed pandemią używania telefonów w szkołach zakazano w Grecji i we Francji, gdzie cyberprzemoc była powszechna.

Wygląda jednak na to, że dopiero wrzesień 2024 r. niesie prawdziwy przełom. Wprowadzenie regulacji, rozszerzenie lub ich zaostrzenie zapowiedziały niemal wszystkie kraje Europy Zachodniej i nie tylko. We włoskich podstawówkach i gimnazjach nie wolno korzystać z komórek nawet w celach dydaktycznych. W Holandii całkowity zakaz objął szkoły podstawowe, wcześniej dotyczył średnich. Uczniowie na Węgrzech mogą przynosić telefony, ale przed lekcjami muszą je oddać. Regulacje obejmują też część szkół w Chorwacji. W Stanach Zjednoczonych gubernator Kalifornii nakazał wszystkim okręgom szkolnym wprowadzenie ograniczeń używania smartfonów. Na ustalenie zasad mają dwa lata, ale w kilku innych stanach – Indianie, Luizjanie, Karolinie Południowej i na Florydzie ograniczenia obowiązują od dawna, w innych szkoły zobowiązano do przygotowania regulacji.

Pokolenie niepokoju

Dr hab. Joanna Mytnik z Centrum Nowoczesnej Edukacji Politechniki Gdańskiej, biolożka, popularyzatorka edukacji i – jak podkreśla – zwolenniczka całkowitej eliminacji smartfonów z życia dzieci, zaleca, by na razie zachować ostrożność w wyciąganiu wniosków z eksperymentów podejmowanych w różnych krajach. – *Ważne jest nie tylko to, jakie rozwiązania są wprowadzane, ale również to, kiedy sprawdza się ich skutki. Po wyeliminowaniu smartfonów z codziennych rytuałów dzieci potrzebują długiego czasu na przejście etapu odstawienia związanego z buntem i na naukę funkcjonowania bez tych urządzeń, bez dostępu do mediów społecznościowych. Jakiekolwiek wnioski można wyciągać po upływie lat, nie tygodni.* Jedna prawidłowość natomiast rysuje się dość wyraźnie: jeśli chcielibyśmy wprowadzić zakaz smartfonów w szkole, cała społeczność musi w tym uczestniczyć. Znów, jak z żywiołem: nie da się wygrać w pojedynkę.

Podobnie, jeśli korzystać z telefonu można tylko na potrzeby lekcji, matki i ojcowie nie powinni dzwonić w czasie zajęć. Jeśli nie wolno przynosić urządzeń, rodzice nie mogą w nie dzieci wyposażać. Taka spójność to warunek konieczny.

Gwiazdą narracji o problemach młodych pokoleń stał się Jon Haidt, amerykański psycholog społeczny i pisarz. Jego wydana wiosną książka „Anxious Generation" (Pokolenie niepokoju) nie schodzi z listy bestsellerów „New York Timesa", mimo metodologicznych zastrzeżeń do stawianych w niej tez. Haidt prowadzi także wykłady online dla pracowników szkół ze Stanów. Opowiada nie bez uproszczeń, ale z pasją: – *Dzieciństwo oparte na zabawie wbrew wpisanej w młody mózg potrzebie ruchu, rywalizacji, przygody, zastąpiliśmy dzieciństwem opartym na telefonie.* Do którego podpięte są media społecznościowe z arsenałem upiększonych cudzych zdjęć, bezkarnych bluzgów i niedających odetchnąć powiadomień.

– *Ale skoro dorośli dali dzieciom telefony, można też je zabrać* – zauważa Haidt. Przypomina, że do łączności z dzieckiem wystarczy starego typu komórka z klawiszami, ewentualnie smartwatch bez rozbudowanych aplikacji. I przekonuje, że przynajmniej w podstawówce (w USA do 12. roku życia) uczniom niepotrzebne jest osobiste urządzenie umożliwiające nawiązywanie znajomości z obcymi ludźmi i udział w grach wideo między lekcjami. – *Do szukania informacji i nauki krytycznego myślenia komputer w kieszeni też nie jest niezbędny. Wystarczy dostęp do technologii i wyszukiwarek na szkolnych urządzeniach, pod okiem pedagogów.* Psycholog zauważa też, że możliwość korzystania z mediów społecznościowych przed 16. rokiem życia jest wbrew zasadom obowiązującym w innych obszarach. – *Przecież w tych serwisach jest wszystko, co sprawia, że ustanawiamy ograniczenia wiekowe.* Zaleca przy tym stopniowe przechodzenie szkół do rezygnacji z telefonów – nie w perspektywie trzech miesięcy, lecz np. od przyszłego września.

Jeśli nie zakaz, to co?

Prof. Jacek Pyżalski z Wydziału Studiów Edukacyjnych UAM w Poznaniu, jeden z najbardziej doświadczonych badaczy z obszaru edukacji medialnej, również jest zdania, że twarde centralne zakazy korzystania z urządzeń w szkołach nie przyniosą dobrych rezultatów. – *Jest duże ryzyko, że w polskich warunkach takie rozwiązanie okazałoby się fikcyjne. Regulacje na poziomie szkół, wypracowane wewnętrznie, miałyby znacznie większy sens. Pod warunkiem że będą traktowane serio.* Z drugiej strony daje do myślenia, że miliarderzy z branży nowoczesnych technologii, wśród nich dyrektorzy zarządzający Snapchata i Google, radykalnie ograniczają własnym dzieciom dostęp do komórek i ekranów (na poziomie dwóch godzin tygodniowo!) i chętnie wysyłają je np. do szkół waldorfskich, gdzie stroni się od wszelkich mediów.

Autorzy wspomnianego raportu UNESCO zwracają uwagę, że kwestii wykorzystania nowych technologii w szkołach nie rozwiążą radykalne zakazy. Bardziej pożądane są wytyczne dotyczące odpowiedzialnego korzystania z nich, ale też jasne granice określające, co jest dozwolone, a co nie. Zapowiadając, że zakazu nie będzie, ministra Nowacka dodała, że „resort planuje przeprowadzenie pogłębionych badań dotyczących wpływu używania smartfonów na wyniki edukacyjne". Po co, skoro inni je już zrobili?

Żywioły można opanować. W ostatnich tygodniach głośno jest o wprowadzających autentyczne, a nie teoretyczne ograniczenia dla smartfonów w niepublicznych placówkach. Ale rejonowe szkoły też sobie radzą: – *Początkowo testowaliśmy zasadę, że telefonów można używać na dwóch długich przerwach, ale nie sprawdziło się to dobrze* – relacjonuje Anna Kowalczyk, polonistka ze Szkoły Podstawowej nr 1 w podwarszawskim Piastowie. – *Lepszy efekt przyniosło wprowadzenie tzw. aktywnych przerw, czyli otwarcie sal gimnastycznych, w których pod okiem wuefistów dzieciaki mogą np. pograć w koszykówkę.* Rada rodziców sugerowała jednak, żeby pójść dalej. Z początkiem roku szkolnego ustalono, że telefony są wykorzystywane wyłącznie na lekcjach: – *Szukamy haseł w Słowniku Języka Polskiego, sprawdzamy informacje w Wikipedii, nauczyciele języków obcych robią quizy.* Na przerwach telefonów nie można wyjmować, ale też jest co robić. Na szkolnym korytarzu uruchomiono strefę gier. Wstawiono piłkarzyki, cymbergaje, zestawy yengi, szachy – zrobiło się gwarno i kolorowo. Nauczycielka nie może wykluczyć, że ktoś potajemnie zagląda na TikToka w toalecie, ale na pewno nie jest to masowy ruch protestu. Kadra sama się dziwi, że zmiana przeszła dość gładko, choć przecież wymagała korekt, współpracy i wysiłku.

Fundamentalnym wyzwaniem jest więc to, żeby tematem relacji z urządzeniami – i młodych, i starszych – wspólnie się przejąć. I zgodzić się, że wymaga opanowania bez konieczności kolejnych tragicznych dowodów. Jako argument z poziomu centralnego dobrze mogą się sprawdzać zachęty – dofinansowania na stoły do ping-ponga, wycieczki do wygrania dla najmądrzej współżyjących z technologią szkół. Skuteczne są też kampanie medialne i edukacyjne z udziałem gwiazd. Choć tu akurat kłopotliwy jest fakt, że największym autorytetem w Polsce ostatnio cieszą się tiktokowi influencerzy.

JOANNA CIEŚLA

Już co 11. student w Polsce jest cudzoziemcem. Wielu nie chce stąd wyjeżdżać. Niektórzy będą musieli.

Przystanek Polska

NOBERT FRĄTCZAK

Arghya studiuje na ostatnim roku stosunków międzynarodowych na UW

© LESZEK ZYCH

Arghya, lat 28, to student z doświadczeniem. Nauki przyjmował w Indiach, skąd pochodzi, i w Izraelu. Magisterkę planował zrobić we Francji albo w Wielkiej Brytanii. Wyszło inaczej i ostatecznie wylądował w Warszawie. – *Pomyślałem, że pochodzę na zajęcia przez rok, a później pojadę dalej, na Zachód. Ale w Polsce poznałem przyjaciół, dostałem dobrą pracę w banku, spodobało mi się i postanowiłem jeszcze trochę zostać. Przyznam szczerze, że z biegiem czasu mam coraz mniejszą ochotę się stąd ruszać* – opowiada.

Obecnie jest na ostatnim roku stosunków międzynarodowych na UW. Pracuje w firmie zajmującej się technologiami finansowymi – na płacę nie narzeka, na Zachodzie na pewno zarobiłby więcej, ale w Indiach zdecydowanie mniej. Szczególnie że dopóki studiuje, ma prawo mieszkać w akademiku, więc miesięcznie nie wydaje więcej niż 2,5 tys. zł. Resztę pieniędzy odkłada albo wysyła rodzinie.

W Polsce najbardziej podobają mu się szerokie możliwości pracy, festiwale muzyczne i… kobiety. Ceny też go nie przerażają; biorąc pod uwagę zarobki, naprawdę nie są takie wysokie, twierdzi. Gdyby tylko było trochę cieplej i słoneczniej, mógłby tu zostać na stałe.

Już blisko co 11. student w Polsce jest cudzoziemcem. Przybywa ich z roku na rok: pięć lat temu statystyki mówiły o 82 tys., w 2022 r. liczba ta przebiła 100 tys., a dziś w naszym kraju kształci się już 107 tys. studentów z zagranicy. Uwaga większości z nas, szczególnie w ostatnich latach, zwrócona była w kierunku Ukraińców, którzy stanowią już ponad 40 proc. wszystkich studentów zagranicznych (na drugim miejscu są Białorusini). Ale przybywa też studentów z dalszych zakątków globu – Azji i Afryki – którzy uczą się na polskich uczelniach, tyle że po angielsku.

Przed nimi także stoją liczne wyzwania, z czego pierwszym i nierzadko największym jest zdobycie wizy (pisaliśmy o tym w POLITYCE 40). Do jej otrzymania potrzebne jest potwierdzenie, że ma się gdzie mieszkać. Przy obecnych cenach wynajmu w grę wchodzą niemal jedynie akademiki, a miejsca w nich uczelnie przyznają zazwyczaj dopiero we wrześniu. – *Zdarza się, że student, który kolejny rok studiuje w Polsce, jest zmuszony na jakiś czas wrócić do siebie, bo wiza skończy mu się, zanim uczelnia przyzna mu miejsce w akademiku. Jeżeli dodamy do tego, że przez brak ważnej wizy uczelnia nie może dopełnić wszystkich* ▶

▶ *formalności, pojawia się błędne koło* – wyjaśnia Urszula Lis, członkini rady wykonawczej Parlamentu Studentów Rzeczypospolitej Polskiej ds. współpracy zagranicznej.

Niemniej większości studentów zdaje się to nie zrażać. Co ich przyciąga do Polski? Co się im podoba, a co nie? I czy zamierzają u nas zostać?

Życie z oszczędności

Göktuğ, lat 29, w Warszawie jest od ponad roku. Wyjechał z Turcji, bo – jak uważa – jakość nauczania w jego rodzinnym kraju spada z roku na rok. Wie, co mówi, ma za sobą licencjat z nauczania języka angielskiego w Stambule. Poza tym w Europie zwykle zarabia się więcej.

Polska nie była jego pierwszym wyborem. – *Najbardziej chciałem studiować w Europie Zachodniej albo Irlandii, ale nie było mnie na to stać* – tłumaczy. – *Europa Wschodnia, wiadomo, jest tańsza, ale i uczelnie znacznie mniej prestiżowe. Ostatecznie wybrałem trzy kraje, niedrogie, za to z lepszymi uniwersytetami, i złożyłem podania.*

Priorytetem były Czechy, ale proces wizowy był dokuczliwy. – *Dla obywateli Turcji ubieganie się o wizę jakiegokolwiek kraju Unii Europejskiej jest wyzwaniem, przede wszystkim przez politykę prezydenta Erdoğana. Czechy utrudniły to jeszcze bardziej, prosząc o przetłumaczenie każdego dokumentu na ich język. Polska np. nie miała takich wymagań* – wyjaśnia.

Drugim wyborem były Włochy, ale tam znowu sprawa rozbiła się o wizę, a konkretnie brak terminów na rozmowę kwalifikacyjną. – *W Polsce w tym roku jest już zresztą podobnie, jak mówią mi tureccy znajomi, którzy w tym roku zaczynają tu studia* – zauważa Göktuğ.

Na Uniwersytecie Warszawskim studiuje lingwistykę, ostatni rok magisterki. Przyznaje, że nie spodziewał się tu spotkać tylu studentów z zagranicy. Utrzymują ścisły kontakt, mają swoje grupy w mediach społecznościowych, umawiają się na spotkania – quizy w pubach, wieczory z planszówkami. Poza tym pomagają sobie w tym, co większości cudzoziemców spędza sen z powiek – zakwaterowaniu, wizach, pozwoleniach na pobyt.

Göktuğ złego słowa nie powie też na tutejszą kadrę akademicką. – *Profesorowie komunikują się w bardzo bezpośredni sposób, ale moim zdaniem konstruktywnie. Osobiście to doceniam, ale sporo studentów zagranicznych uważa to za niegrzeczne, a niektórzy twierdzą nawet, że profesorowie ich nienawidzą. Jeden Hindus, widząc opinię profesora na temat swojej pracy, posądził go o rasizm. Były to warsztaty poświęcone polskim tradycjom akademickim.*

Joydeep kończy fizykę na UW, później chciałby rozpocząć w Polsce doktorat

Sama Warszawa jego zdaniem jest nowoczesna, czysta i bezpieczna. Do tego nie jest jakaś bardzo droga. Choć Göktuğ wie, że może sobie pozwolić na taką opinię, bo nie musi wynajmować mieszkania ani pokoju. – *Miesięcznie wydaję ok. 1,5 tys. zł. Wszystko mam dokładnie wyliczone: 530 zł na akademik, 400 na jedzenie (gotuję sam). Wyjścia na miasto – 300 zł. Komunikacja miejska – 50 zł. Do tego siłownia – 170. I 100–200 zł na nieprzewidziane wydatki.*

Utrzymuje się, zresztą jak większość zagranicznych studentów, z oszczędności. Ubiegając się o wizę, musiał udowodnić, że stać go na pobyt w Polsce. W Turcji pracował jako nauczyciel i założył konto oszczędnościowe. Czasami rodzice wyślą mu parę groszy. – *Jak długo mieszkam w akademiku, tak długo nie muszę się martwić o pieniądze* – deklaruje przyszły lingwista. W akademiku nie jest źle – przeważnie czysto, choć głośno, a internet działa wolno, ale można się do tego przyzwyczaić. Niektórzy pracownicy nie znają angielskiego, ale komunikują się tłumaczami w telefonach.

Zmartwienia zaczną się, gdy dachu nad głową trzeba będzie szukać na rynku. Wynajęcie pokoju w Warszawie kosztuje więcej, niż Göktuğ ma teraz na cały miesiąc życia. Chciałby zostać w Polsce, ale wszystko zależy od tego, czy znajdzie pracę. – *Odpowiedziałem już na kilka ogłoszeń, głównie w obsłudze klienta, ale na razie bez skutku. W sumie będę zadowolony z jakiejkolwiek pracy, gdzie będą płacić i gdzie nie będą wymagać ode mnie płynnej znajomości polskiego.*

Bo Göktuğ mimo starań ma problemy z przyswojeniem naszego języka. Co prócz znalezienia tu pracy utrudnia mu też znalezienie partnerki. – *To oraz różnice kulturowe* – dodaje. – *Randkowanie jest dla mnie wyzwaniem, w Turcji na wcześniejszym etapie relacji wchodzi się w związek i szybko staje się on poważny. Dlatego zmieniłem strategię i od jakiegoś czasu umawiam się głównie z innymi cudzoziemkami* – przyznaje.

Na minus Polsce można jeszcze zaliczyć jedzenie (niesmaczne) i zimy (za zimne i za ciemne). I niektórych Polaków. – *Ludzie w większości są mili, ale jak dla Turka zbyt zdystansowani i niezbyt rozmowni. U nas ludzie mnóstwo rozmawiają, łatwo tworzą więzi i dotykają się. W Polsce czasami lepiej sobie to odpuścić.*

Bez języka, bez pracy

Kate jest w Polsce dopiero od kilku miesięcy, ale już może powiedzieć, że czuje się tu dobrze. – *Jest stosunkowo niedrogo, spokojnie i bezpiecznie. Mogę wyjść z domu o dowolnej porze i nie bać się, że zostanę napadnięta czy molestowana. Uwielbiam polską kulturę i to, że jest w niej tyle chrześcijaństwa, bo kocham chrześcijaństwo* – mówi 28-letnia Nigeryjka.

Tym bardziej jej szkoda, że po studiach będzie musiała wyjechać z Polski. Uczy się pielęgniarstwa na prywatnej uczelni w Bydgoszczy. W Nigerii skończyła geografię i nauki o środowisku, ale pracowała jako opiekunka medyczna. – *Lubię swoją pracę, jestem w niej spełniona, dlatego chciałam pomagać także w Polsce. Niestety, w domu opieki odmówiono mi pracy ze względu na barierę językową* – tłumaczy Kate.

Miesięcznie wydaje ok. 3 tys. zł. Czesne – jedną trzecią tej kwoty – płaci rodzina, resztę pokrywa z oszczędności. Nie stać jej na brak pracy. – *Tymczasem znalezienie pracy przez cudzoziemkę w Bydgoszczy graniczy z cudem. Chciałam nawet sprzątać, ale powiedziano mi, że muszę znać język polski. Przez trzy dni pracowałam w fabryce, ale mnie zwolniono bez zapłaty. Nie mam wyjścia, po studiach będę musiała wyjechać do jakiegoś anglojęzycznego kraju.*

Kate przyznaje to z żalem, bo zdążyła się już nieco zżyć z Polską. Ludzie są pomocni i nie patrzą dziwnie na jej kolor skóry. Sam przyjazd tutaj nie był łatwy – przez prawie rok starała się o wizę z pozwoleniem na pracę. Cały czas ma nadzieję, że będzie mogła ją w pełni wykorzystać.

Teatr emocji

Dla Joydeepa uniwersytet to nie tylko przepustka do lepszego życia, to sposób na życie. Niebawem skończy pracę magisterską z fizyki na UW, później chciałby rozpocząć doktorat, także w Warszawie. Jeszcze później chciałby dostać etat na uczelni.

A pomyśleć, że początkowo w ogóle nie rozważał Polski jako miejsca do dalszej nauki. Pierwsze lata studiów zaliczył w Indiach, później dostał się na staż do Tajwanu. Po kilku miesiącach zaproponowano mu tam miejsce na studiach magisterskich. Wrócił do Indii, żeby wyrobić nową wizę. I wtedy wybuchła pandemia.

– *Wyjazd za granicę nie wchodził w grę. Siedząc w domu, zrobiłem kilka kursów online, a nawet zacząłem przygotowywać się do pracy, myśląc, że moje perspektywy na dalszą naukę są ponure. I wtedy poznałem studentów z Uniwersytetu Warszawskiego* – opowiada Joydeep, który gdy tylko pandemia zelżała, zapisał się na studia w Warszawie. Procedura wizowa poszła zaskakująco gładko i sprawnie. Przynajmniej wtedy, bo przedłużenie na kolejny rok było dużo bardziej czasochłonne.

– *Myślę, że każdy wyjazd do kraju innego niż ten, w którym się wychowano, wiąże się z wieloma mieszanymi doświadczeniami* – uważa Joydeep. – *Najbardziej ekscytujące dla mnie było odkrywanie mimiki Polaków, którzy nie uśmiechają się zbyt często. Nie uważam tego za coś złego, po prostu mówię, że na początku byłem mocno zdezorientowany, zastanawiając się, czy nie rozczarowałem mojego rozmówcy albo czy mu nie przeszkadzam. Ale zdążyłem do tego przywyknąć i zauważyć też, że Polacy bardzo lubią swoje towarzystwo, szczególnie w obrębie rodzin.*

Joydeep nie potrzebuje wiele. Łóżko w akademiku, jedzenie, ubrania, książki, czasem wycieczka do innego miasta (najbardziej podobał mu się Gdańsk) – miesięcznie wydaje ok. 1,2 tys. zł (oczywiście z oszczędności). Polska wydaje mu się niedroga, może z wyjątkiem mieszkań, ale to na razie nie jest jego zmartwienie.

W Warszawie podoba mu się w zasadzie wszystko, nawet pogoda zimą. Napisał nawet o niej wiersz. „Jaki jest twój portret Warszawy? Jesienna eksplozja kolorów. Wietrzne wydymy zimą. Jasne i gorące lato. Lato, zima, wiosna, jesień – teatr emocji”.

NOBERT FRĄTCZAK

© LESZEK ZYCH

REKLAMA

PODKASTY
POLITYKA O HISTORII

Agnieszka Krzemińska, archeolożka,
i **Marcin Zaremba**, historyk,
wraz z gośćmi – badaczami przeszłości –
podróżują po różnych epokach
i miejscach na globie.

Zapraszamy na **polityka.pl/podkasty** oraz na Spotify.com i Apple Podcasts

Nocna straż

Rozmowa z Jackiem Jordanem, nocnym burmistrzem Krakowa, o tym, jak pogodzić interesy biznesu turystycznego z codziennym życiem miasta.

JOANNA PODGÓRSKA: **– Nocny burmistrz – co to za funkcja?**

JACEK JORDAN: – Idea wywodzi się z Holandii. Dziś na świecie funkcjonuje kilkudziesięciu nocnych burmistrzów; głównie w Europie i Stanach Zjednoczonych. W Polsce nie jestem pierwszy. Pierwszego nocnego burmistrza powołał Sosnowiec, z tym że w Sosnowcu ta funkcja powstała po to, by ożywiać nocne życie miasta.

A w Krakowie, wręcz przeciwnie…

Nie chodzi o to, by całkowicie je wyeliminować, ale wyciszenie to jeden z ważniejszych kierunków. W ujęciu krakowskim burmistrz nocny to funkcja koordynatora. Jednocześnie jestem przewodniczącym Komisji Zrównoważonej Gospodarki Nocy, która wpisuje się w program rozwoju miejskiej turystyki. Powstał on w 2018 r. i był wdrażany, ale wkrótce wszystko zostało zabite przez pandemię. A kiedy zaczęło odżywać, wybuchła wojna w Ukrainie. Potem nastąpiła seria wyborów: parlamentarnych, europejskich, samorządowych. I wreszcie kiedy wszystko się uspokoiło, Kraków mógł powrócić do idei nocnego burmistrza.

Skąd się taki burmistrz bierze? Bo chyba nie z wyborów powszechnych.

Nie, powołały mnie władze miasta. Zanim jeszcze zacząłem urzędować 1 sierpnia tego roku, byłem traktowany przez mieszkańców trochę jak szeryf, który wyjdzie w nocy w kowbojskim kapeluszu i pogoni pijaną hałastrę. Nie o to chodzi, chociaż w weekendy biorę udział w patrolach straży miejskiej i policji, które pilnują przestrzegania przepisów porządku publicznego w nocy.

Generalnie chodzi o to, by rozwój funkcjonowania miasta i jego potrzeb – nie tylko turystyki – był z jednej strony korzystny dla przedsiębiorców, którzy nocne życie miasta organizują i zarabiają na tym

Jacek Jordan – historyk kultury, pedagog, przedsiębiorca, pilot wycieczek po Europie, przewodnik miejski z wieloletnim stażem, koordynator zespołów City Helpers pomagających turystom na ulicach Krakowa.

pieniądze, a z drugiej strony – by nie cierpieli na tym mieszkańcy. I żeby Kraków odzyskał swój wizerunek. W ostatnich latach zachłysnęliśmy się popularnością miasta wśród turystów zagranicznych. Byliśmy dumni, że w 2019 r. Kraków odwiedziło 14 mln turystów. Tyle co w Pradze, Berlinie, Amsterdamie, Barcelonie!

Tylko że Barcelona ma już chyba tego dosyć.

Wszyscy mają dosyć. Zjawisko overtourismu spowodowało, że miasta przestały być wydolne logistycznie. Mamy do czynienia nie tylko z nawałem turystów, ale też odwiedzających Kraków mieszkańców „obwarzanka", którzy nakręcają turystykę imprezową.

Spotkałam się z określeniem, że ścisłe centrum Krakowa to „największa melina w okolicy".

„Melina" to chyba za mocne słowo. Choć nie da się ukryć, że wizerunek Krakowa został mocno zszargany. Zrobiło się tutaj mało ciekawie.

Potwierdza to pozew złożony przez mieszkańców, w którym czytamy: „Ulica Szewska w Krakowie w każdym dniu tygodnia, w godzinach wieczornych aż do godziny szóstej rano, zamienia się w miejsce hałaśliwych zgromadzeń. Tłum bez żadnych ograniczeń i skutecznej reakcji ze strony władz miasta, śpiewa do muzyki wydobywającej się z lokali, krzyczy, bije się, wymiotuje, a hałas emitowany przez pijaną hałastrę przekracza dopuszczone przepisami normy". Chcą, by miasto zaprzestało naruszania ich dóbr osobistych, i żądają odszkodowań.

Trudno odmówić im racji, ale nie chcę tego komentować, bo nie ja zostałem pozwany. Pozew został złożony, zanim zacząłem urzędowanie. Rolą moją i komisji, której przewodniczę, będzie zmiana tego, co się dzieje. Chodzi nam o to, by poprawić dolę mieszkańców centrum – i to m.in. oni wchodzą w skład komisji. Liczy on 30 członków i oprócz mieszkańców zasiadają w niej przedstawiciele przedsiębiorców, organizacji turystycznych i jednostek miejskich, które będą wdrażały w życie jej postanowienia. Można powiedzieć, że gromadzi wszystkich interesariuszy nocnego życia. Chcemy je ucywilizować, a nie wprowadzić prohibicję, pozamykać lokale i wyłączyć w Krakowie światło o godz. 22.

Prohibicję nocną już macie.

Raczej ograniczenia. Obowiązuje zakaz sprzedaży alkoholu od północy, ale tylko przez detaliczne punkty sprzedaży. Lokali gastronomicznych to nie dotyczy. Przyniosło to wymierne efekty – liczba interwencji straży miejskiej i policji spadła o ok. 30 proc. Jednak wszyscy doskonale wiemy, że prohibicja nie jest wyjściem.

I nie chodzi też o to, by przedsiębiorcy poczuli się jak grupa, która ma być nagle zlikwidowana. Zainwestowali, więc niech zarabiają, ale tak, by mieszkańcy, ich sąsiedzi, mogli spać w nocy, a w dzień normalnie funkcjonować. Hałas to jedno. Druga rzecz to zaśmiecanie miasta. Mamy za mało toalet. A pijany nie będzie długo szukał toalety, za którą musi w dodatku zapłacić parę złotych, skoro może rzecz załatwić za darmo pod murami miejskimi, na Plantach czy w najbliższej bramie.

Problemów jest całe mnóstwo, a trudno na każdym rogu ustawić funkcjonariusza. Ich też zresztą mamy za mało. W sezonie letnim pomagają im członkowie City Helpers (pomocnicy miejscy), których rolą jest nie tylko informowanie turystów, ale też zgłaszanie łamania przepisów. Oprócz działań doraźnych – takich jak patrole, które reagują na spożywanie alkoholu w miejscach publicznych, zbytnie hałasowanie czy zachowania gorszące – musimy przemyśleć zmianę pewnych zasad. Ogródki kawiarniane moim zdaniem są otwarte zbyt długo, bo do 1.00 w nocy. Nie chodzi tylko o to, że wydzierają się tam pijani ludzie, ale też o większe grupy, które po prostu prowadzą głośne rozmowy. W ciągu dnia tłumi je hałas uliczny, ale w nocy są bardzo słyszalne. Na razie punktowo uderzamy w te miejsca, skąd płyną skargi, uczulając na nie patrole. A rozeznanie mam bardzo dobre, choćby z tego, co przez cztery lata obserwowałem jako dowódca City Helpers. Doskonale wiem, które punkty wywołują największe zamieszanie.

W Warszawie biczem na kluby i kawiarniane ogródki są wspólnoty mieszkaniowe. Ich protesty bywają bardzo skuteczne. Trafiłam jednak na informację, która brzmi aż niewiarygodnie – w ścisłym centrum Krakowa pozostało 400 stałych mieszkańców.

Niestety, to jest prawda, więc nie ma u nas wspólnot mieszkaniowych. Ci ludzie są bezbronni.

Jak to się stało?

Przekształcanie się centrum miasta w centrum stricte turystyczne i imprezowe trwa od wielu lat. Oprócz instytucji miejskich i instytucji kultury, takich jak muzea czy galerie, mamy tu całe mnóstwo hoteli, hosteli, różnego rodzaju lokali od najbardziej eleganckich restauracji po pijalnie piwa i wódki, punkty gastronomiczne. W samym centrum są aż trzy McDonaldy. Przestrzeni dla mieszkańców jest coraz mniej. Z jednej strony wypędziła ich wysokość czynszów, która rosła gwałtownie w ostatnich latach – część mieszkańców nie wytrzymała tego finansowo. W miejscach, z których się wyprowadzili, zaczęły powstawać punkty usługowe, m.in. mieszkania na wynajem krótkoterminowy, generujące hałas. A to powodowało, że uciekali kolejni mieszkańcy. Powstał samonapędzający się mechanizm. To kolejny dylemat – co zrobić, by z centrum miasta nie stworzyć skansenu, ale też nie wracać do sytuacji, gdy była to sypialnia. Trzeba połączyć różne funkcje.

Czy to się gdziekolwiek udało?

Z pozoru wydaje się to niemożliwe, ale po pierwszym posiedzeniu Komisji ▶

© BEATA ZAWRZEL

▶ Zrównoważonej Gospodarki Nocy i dwóch posiedzeniach grup tematycznych jestem dobrej myśli. Uświadomiła mi to strona społeczna. Mówili: „Proszę pana, nie spodziewaliśmy się, że tak szybko i sprawnie będziemy obradować". Byliśmy przygotowani na najgorsze; na kłótnie, przekrzykiwanie się. W końcu zebrali się ludzie, którzy reprezentują przeciwne interesy. Tymczasem wszyscy świetnie współpracują, bo wszystkim zależy na tym samym – na dobru miasta. To szansa, by praca tej komisji przyniosła realne efekty. Choć mam świadomość, jak obszernej tematyki dotykamy. Jakiekolwiek zagadnienie ruszymy, okazuje się, że ono się zazębia z kolejnym i następnym. Nie wszystko da się rozwiązać na poziomie miasta. Wiele spraw wymaga prac legislacyjnych na poziomie centralnym. Np. straż miejska może interweniować w przypadku kolizji między rowerzystą i pieszym, ale widząc auto wjeżdżające pod prąd, nie może nic zrobić.

A co może zrobić, widząc obrazek, który stał się niegdyś symbolem krakowskiej patoturystyki, czyli faceta w przebraniu wielkiego białego penisa spacerującego pod Sukiennicami?

De facto niewiele. Żeby interweniować skutecznie, zatrzymując taką osobę, musiałaby znaleźć kogoś, kto złoży skargę i wystąpi w sądzie.

Postulatem mieszkańców, którzy złożyli pozew przeciwko miastu, oprócz likwidacji niektórych imprezowni jest ograniczenie najmu krótkoterminowego. Czy w świetle prawa własności jest to w ogóle możliwe?

Oczywiście, że nie. Jedyne, co możemy zrobić i robimy, to ukrócenie szarej strefy. Jeśli ktoś prowadzi taką działalność bez rejestracji, może się spodziewać surowej kary; szczególnie ze strony urzędu skarbowego. Inne przypadki musimy rozstrzygać poprzez negocjacje, które już prowadzimy i będziemy je rozszerzać.

Już przed pandemią 155 podmiotów gospodarczych w centrum Krakowa podjęło się wypracowania kodeksu dobrych praktyk. Właściciele lokali gastronomicznych, hosteli czy apartamentów zadeklarowali, że będą zwracać uwagę na zachowanie swoich gości. Wziąć odpowiedzialność za ludzi, którzy do nich przyjeżdżają i z których czerpią dochody. Jeśli ktoś wrzeszczy w ogródku kawiarnianym, właściciel prosi, by się uciszył. Albo ktoś ściąga koszulkę i siedzi w samych gaciach, podchodzi i zwraca mu uwagę, że łamie przepisy. Pana w stroju penisa może po prostu nie wpuścić. Spora część przedsiębiorców, która przed pandemią podjęła takie zobowiązania, nadal świetnie funkcjonuje i chcemy wrócić do tych dobrych praktyk. Druga rzecz to edukacja o zasadach zachowania się w nocy. I to już od poziomu szkół podstawowych. Może uruchomić w ogólnopolskich mediach kampanię społeczną, bo przecież problem dotyczy nie tylko Krakowa.

Ale problemem Krakowa nie są chyba uczniowie czy studenci, lecz przeważnie turyści zagraniczni.

I tu się pani myli. Według statystyk nawet w sezonie letnim, mandaty i upomnienia dla turystów zagranicznych to tylko 25 proc. Reszta to turyści krajowi i mieszkańcy miasta.

Podobne problemy co Kraków ma czeska Praga i jej nocny burmistrz. Jak to się stało, że tak nobliwe i szacowne miasta przyciągają imprezowiczów pośledniego sortu?

Cena. Po prostu. Nie czarujmy się, Kraków należy do najtańszych miast turystycznych na świecie; a już na pewno w Europie. Praga też nie jest specjalnie droga dla zachodnich turystów. A z drugiej strony sprzyjają temu tanie loty. Zaczęło się to, jeśli dobrze pamiętam, ok. 20 lat temu, gdy do Krakowa zaczęli przyjeżdżać na imprezowanie młodzi Anglicy, zainteresowani nie „Damą z gronostajem" czy wawelskimi krużgankami, ale przede wszystkim cenami alkoholi. Turystyka imprezowa narastała lawinowo do 2019 r., w którym nastąpiło apogeum. W sposób naturalny przerwała to pandemia. Półtora roku zamknięcia miasta spowodowało, że ci – nieliczni, bo nieliczni – stali mieszkańcy centrum przypomnieli sobie, czym jest cisza. Dano im tę ciszę na chwilę i zabrano sprzed nosa z powrotem. W tej chwili już się zbliżamy do rekordu frekwencji. W zeszłym roku Kraków odwiedziło 12 mln turystów. Zatem przed nami gigantyczna robota.

Pojawiały się zarzuty, że stworzenie funkcji nocnego burmistrza to ze strony władz miasta głównie ruch wizerunkowy.

Absolutnie. Nam chodzi o konkrety. Pierwszym zagadnieniem, na którym chce się skupić komisja, a konkretnie jedna z jej grup tematycznych „Bezpieczeństwo i porządek publiczny", to zjawisko *pub crawl*. To organizowane przez różne agencje rajdy po pubach i klubach. Prowadzi je tzw. przewodnik, który z prawdziwym przewodnikiem miejskim nie ma nic wspólnego. Takie grupy przemieszczają się nocą przez miasto od jednej knajpy do drugiej; w cenie biletu mają sporo darmowych drinków. Oczywiście są zatem pod wpływem alkoholu i zaobserwowaliśmy, że ci „przewodnicy" wręcz namawiają ich do głośnych krzyków, skandowania, śpiewów. Dla mieszkańców to bardzo uciążliwe. Wielokrotnie, jeszcze w ramach City Helpers, próbowałem w takich sytuacjach interweniować. Ale gdy ma się naprzeciwko siebie agresywnego „przewodnika" i setkę mocno nietrzeźwych ludzi, to nawet duży patrol policji czy straży miejskiej może mieć problemy. Chcemy do tego zjawiska podejść legislacyjnie. Żeby nie skończyło się na jałowych rozważaniach, ale konkretnych opracowaniach i rekomendacjach. Ten problem musi być wyeliminowany, bo nie może być tak, że o 2.00 w nocy po mieście chodzą stuosobowe grupy – pijane i wrzeszczące bez opamiętania.

Mieszkańcy skarżą się, że rano muszą na chodnikach omijać wymiociny czy ekskrementy. Muszą znosić widok pijanych, rozebranych do naga ludzi. Pan zna nocny Kraków od podszewki. Jest pana w stanie coś jeszcze zdziwić?

Po tylu latach trudno, żeby mnie jeszcze coś zaskakiwało, ale pewna scenka zrobiła na mnie niedawno wrażenie. Dwóch panów, jeden w wieku średnim, drugi późnomłodzieżowym, wyjątkowo elegancko ubranych, acz pod wyraźnym wpływem, wychodzi z ul. Siennej na Rynek i długimi parasolami, zakończonymi szpikulcem, zaczynają bawić się w muszkieterów, atakując słup ogłoszeniowy. Gdy próbowałem ich uspokoić, potraktowali mnie jak ten słup. Na szczęście udało mi się ich rozbroić z parasoli i wezwać straż miejską.

Walka z patoturystyką to jedno. A czy ma pan jakieś pomysły, jak odbudować nadszarpnięty wizerunek Krakowa?

Podnieść nocną ofertę o piętro wyżej. Związać ją także z kulturą i dziedzictwem narodowym. Przecież Kraków ma w tej dziedzinie gigantyczną bazę. Już od 1978 r. jest na światowej liście dziedzictwa UNESCO. Życie nocne można skierować na nowe tory. Jedna z grup tematycznych naszej komisji będzie pracować właśnie nad ofertą nocną dla mieszkańców i turystów. W grę wchodzi na przykład przedłużenie czasu pracy muzeów czy innych instytucji kultury. Dziś nocą ludzie mogą pójść albo do drogiej restauracji, gdzie będzie elegancko i w miarę cicho, albo do klubu czy pubu, gdzie będzie tanio, ale głośno i prześnie. I nic więcej. Trzeba stworzyć alternatywę.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

Aleksandra i Michał Żebrowscy są małżeństwem od 15 lat. Tyle również wynosi różnica wieku pomiędzy nimi. W dniu ślubu Aleksandra miała 22 lata. I początkowo w mediach plotkarskich przedstawiana była jako żona swojego męża. Dziś dyrektora Teatru 6. piętro obserwuje na Instagramie 235 tys. osób, a Aleksandra Żebrowska ma 406 tys. followersów. Razem mają czwórkę dzieci w wieku od 14 do 2 lat i, jak twierdzą, to jest w ich życiu najważniejsze.

Żebrowscy z filtrem i bez

Rozmowa z Aleksandrą i Michałem Żebrowskimi o tym, jak się robi internety i jak samemu się w tym wszystkim nie rozmienić na drobne.

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Na Instagramie śledzi panią 406 tys. osób, a prezydenta Dudę po dziewięciu latach urzędowania 123 tys.**

MICHAŁ ŻEBROWSKI: – Serio? Andrzeja Dudę śledzi aż tyle osób?

Serio pytam, dlaczego jednych obserwują setki tysiące, a innych nie?

ALEKSANDRA ŻEBROWSKA: – Prowadzenie profilu głowy państwa wydaje mi się śmiertelnie nudne i z góry spisane na straty. Nie jestem ekspertką od mediów społecznościowych, ale lubię je i prowadzę własne sociale w zgodzie ze sobą. Co przede wszystkim sprowadza się do tego, że robię to sama, nie zawsze będąc politycznie poprawną. Nie wiem, jak długo to, co wrzucam, będzie wystarczająco ciekawe, ale na razie sprawia mi to frajdę i ludziom, którzy to czytają, chyba też.

M.Ż.: – W odróżnieniu od Oli nie urodziłem się ze smartfonem w ręku. I rzeczywiście nie bardzo byłem w stanie zrozumieć, o co w tym chodzi. Na początku obserwowałem konto Zośki Zborowskiej i pytałem siebie, dlaczego ludzie lajkują historie z jej prywatnego życia, opowiadane w samochodzie, sklepie, na spacerze, wszędzie? Ponieważ nie byłem w stanie się na to zdobyć, traktowałem to jako czyste szaleństwo. Z pomocą przyszła żona.

Jesteście dużym kołem zamachowym tego szaleństwa.

A.Ż.: – Dla mnie media społecznościowe to narzędzie do komunikacji jak każde inne. Było Grono, Nasza Klasa, później Facebook, Instagram, Tik-Tok. Każde z nich może stać się niebezpieczne, potrafi być toksyczne, ale może też służyć do czegoś dobrego – od zabawy memami po normalizowanie trudnych tematów.

M.Ż.: – Pamiętam dzień, w którym Ola zapytała mnie, czy to będzie dla mnie OK, jeśli opublikuje wpis o swoich poronieniach. Przeczytałem i się pobeczałem. Zacząłem się zastanawiać, czy poruszyło mnie to tak, bo napisała to moja żona? A może napisała to, czego ja nie odważałem się powiedzieć? Zastanawiałem się też, czy jest to w ogóle tekst do publikacji. U mnie takie komunikowanie się nie jest naturalne. Jednocześnie czułem, że ten wpis był obiektywnie dobry, poruszający i ważny. Jak się okazało, dotarł do tysięcy kobiet w Polsce.

I ja mam różne myśli, czasem sprzeczne, bo w socialach rzeczy wzniosłe i mądre płynnie łączycie z banalnymi i niskimi.

M.Ż.: – Życie nie składa się wyłącznie ze wzniosłych chwil, a człowiek na szczęście nie składa się tylko z mądrości. Kiedy patrzę na Olę, to widzę, że ona Instagram uprawia trochę jak ogród. To jest takie medium, które łatwo lekceważyć, ale kiedy zaczynam się mu przyglądać, przypomina mi ono trochę telewizję czy teatr.

W waszym rodzinnym teatrze grają i tragedie, i komedie.

A.Ż.: – Tak jak w większości rodzinnych teatrów. Oczywiście to, czym się dzielimy, to nie są Żebrowscy jeden do jednego, ale chyba też nikogo nie gramy i nie udajemy. Zresztą, jak się ma takie liczne i czujne rodzeństwo, to nie da się niczego udawać, bo rodzina potrafi człowieka ▶

© BARTŁOMIEJ PAWLIKOWSKI

▶ szybko sprowadzić na ziemię. Większość tego, co wrzucamy, wynika z jakiejś wewnętrznej potrzeby. Sama zresztą dużo czerpię z Instagrama. Sama się tam czymś wzruszam, inspiruję, czasem na coś wkurzam, poznaję nowych ludzi, ich poglądy, wymieniamy się doświadczeniami. To jest w pewnym sensie język mojego pokolenia.

M.Ż.: – To, co mnie przekonało do Instagrama, to fakt, że jest to medium dużo bardziej wpływowe niż niejedna stacja telewizyjna. Nie mając wielkiego medialnego zaplecza, pieniędzy koncernu czy aparatu państwa, możesz docierać do większej liczby ludzi niż najważniejsza osoba w kraju.

Jak Duda rapował o „ostrym cieniu mgły", to oglądała to cała Polska.

M.Ż.: – Sztuka łączy ludzi. Ale może powinienem być mniej krytyczny. Zdarza się, że przychodzę do Oli i pytam: „Zobacz, może wrzucę coś takiego?". A moja żona dostaje ataku śmiechu, twierdząc, że to byłby straszny suchar.

A.Ż.: – Już od jakiegoś czasu myślimy o tym, żeby zrobić oddzielne konto na twoje suchary.

M.Ż.: – Mnie się wydaje, że proponuję coś zabawnego, a okazuje się, że to jest zwyczajny boomerski obciach.

Śmichy-chichy, ale mnie ciągle nie może wyjść z głowy, że raz czytam głęboki wpis o poronieniach, a któryś kolejny o tym, jak domestos głęboko penetruje brud.

A.Ż.: – Poroniłam cztery razy i za każdym razem bolało tak samo, bo nie można się do tego przyzwyczaić ani o tym zapomnieć. Ale można to z siebie wyrzucić i poczuć ulgę, jednocześnie przynosząc ulgę innym, którzy z różnych względów nie mówią o tym głośno. Bo to nie jest tak, że ten temat dotyczy garstki ludzi. Po fali komentarzy i wiadomości, jakie dostawałam od setek kobiet, do których ten post trafił, widać było, jak bardzo rozmowa na ten temat jest potrzebna. A jednak nadal za mało się o tym mówi i za wiele kobiet przeżywa to samotnie i w poczuciu winy i nieuzasadnionego wstydu.

A ten domestos?

A.Ż.: – Internet potrafi być również okrutny. Po tym, jak wrzuciłam zdjęcie, kiedy po porodzie karmię dziecko na toalecie, wylała się na mnie fala hejtu. Ludzie pisali, że od dziś będę im się kojarzyła tylko z kiblem. No więc kiedy dostałam propozycję reklamy środka do czyszczenia kibla, nie mogłam odmówić. To zdjęcie było o tym, jakim wyzwaniem dla kobiety potrafi być ten poporodowy czas. Wiem, jak wielu innym mamom dodało otuchy, że w tym wariactwie nie są same. Wiem też, że nie do wszystkich trafił ten przekaz, za to benefity nowej piany do muszli klozetowej już tak.

Wpuściliście Polaków do swojego domu. Jedni przyjdą i zdejmą buty, a drudzy wejdą z butami.

M.Ż.: – Nigdy nie zachęcamy naszych gości do zdejmowania butów.

A.Ż.: – Poza tym wbrew pozorom bardzo chronimy naszą prywatność. Zwłaszcza dzieci. Na zdjęciach nie ma ich twarzy. Nie piszemy o ich kłopotach czy słabościach. Jeśli jest jakiś problem, który chcemy poruszyć, to robiąc o tym wpis, mówimy o nim ogólnikowo.

Na świecie są już pierwsze pozwy dzieci wobec rodziców za wpisy na ich temat.

M.Ż.: – Uff… no to nasze dzieci nas nie pozwą. Przynajmniej nie za to.

Na jakie wpisy ludzie są szczególnie wrażliwi?

A.Ż.: – Mam wrażenie, że ludzi chyba szczególnie porusza to, o czym się nie wspomina. Nadal za mało mówi się np. o tym, jakim wyzwaniem jest macierzyństwo. Sama zupełnie inaczej sobie to wyobrażałam. Można nawet powiedzieć, że na swój sposób byłam nim rozczarowana. Tymczasem nadal oficjalna narracja jest taka, że początki macierzyństwa to cudowny etap w życiu kobiety. Co jest cudownego w tym, że po porodzie ledwo żyjesz, na nic nie masz siły, czujesz się brzydka, nieatrakcyjna i wykończona?

To po co sobie zrobiliście czwórkę dzieci?

M.Ż.: – Podobno po czwartym jest już z górki.

A.Ż.: – Rzeczywiście przy pierwszym dziecku poziom stresu jest dużo wyższy, z każdym kolejnym te początki są już spokojniejsze. Mamy też coraz więcej sposobów na wszelkiego rodzaju dziecięce dramy. Już wiemy, że wieczorem po kąpieli, zamiast w piżamę, najlepiej jest ubierać dziecko w ubranie, w którym rano będzie szło do przedszkola – dzięki temu mamy o jedną poranną awanturę mniej.

M.Ż.: – Niedawno zaliczyliśmy kolejny ciężki początek roku szkolnego. Ola rysowała sobie i dziecku na przegubach rąk serduszka i mówiła mu, że kiedy w przedszkolu naciśnie na serduszko, to ona to od razu poczuje u siebie. Trochę pomaga. Później, przy wyjściu z przedszkola, dziecko od razu pyta: mamo, czułaś, jak naciskałem?

Obydwoje jesteście z bardzo katolickich rodzin i obydwoje odeszliście od Kościoła. Dlaczego?

M.Ż.: – Dla mnie to właściwie jest temat zamknięty. Jeśli mam jakiś żal, to do samego siebie, że tak późno się zorientowałem, że to bujda, że jeżeli nie zrobię czegoś po myśli księdza proboszcza, to rozstąpi się niebo i głos z nieba powie: bardzo mnie rozczarowałeś, Michale. Wychowywanie w wiecznym poczuciu winy jest według mnie niemoralne. Ale mnie Kościół nie przeszkadza. Przeciwnie – przyglądam mu się jak dawnej sympatii.

A.Ż.: – To nie jest tak, że ludzie odchodzą od Kościoła; to Kościół odchodzi od ludzi i chyba to jest dramat tej instytucji. Hierarchowie nieustannie rozczarowują, zwłaszcza w tematach związanych z aborcją, in vitro, czyli tematach dotyczących wielu polskich rodzin, również tych, dla których wiara i religia to nadal sprawy naprawdę ważne. Kościół w Polsce dostał wiele szans, żeby wyciągnąć lekcje, żeby się zmienić, żeby pokazać ludziom, jak może wyglądać prawdziwe chrześcijaństwo. Z mojej perspektywy z żadnej nie skorzystał. Ale ja nie jestem ekspertką od Kościoła i chyba też nie mam już ochoty o nim mówić.

Prof. Hartman żalił się ostatnio, że krytyka Kościoła już mało kogo porusza.

M.Ż.: – To może zmieńmy temat.

Trzymajmy się jeszcze chwilę tego, jak dobre idee zmieniają się w swoją karykaturę, np. internet, który uzależnia i robi ludziom kisiel z mózgów, bo im się myli rzeczywistość z nierzeczywistością.

M.Ż.: – To chyba też nie jest pytanie do nas. O to trzeba się pytać socjologów, psychologów lub psychiatrów, bo inaczej to zaraz my staniemy się jakąś karykaturą. Oczywiście mocno doskwiera mi fakt, jak bardzo smartfon przeniknął do mojego życia. Łapię się na tym, że nawet podczas zabawy z dzieckiem zdarza mi się pisać esemesy. Ale nie wiem, co z tym zrobić. Kiedyś ludzie chodzili do toalety z książką. Teraz się chodzi z telefonem. Na szczęście czytam też książki. Podejmuję nawet próby pisania… i czytania tych moich wypocin. Niedawno wyszedł mój audiobook „żebrowski z małej litery", niedługo kolejna edycja.

Rozumiem, że to przerwa na reklamę.

A.Ż.: – Jeśli tak, to oprócz książki mamy jeszcze do zareklamowania wino bezalkoholowe, które właśnie wprowadziliśmy na rynek. Jak się ma czwórkę dzieci, to albo się jest w ciąży, albo się karmi, albo znowu się jest w ciąży. Kilka lat abstynencji to dużo czasu na wypróbowanie wielu zamienników prawdziwego wina i dojście do wniosku, że powinna istnieć lepsza alternatywa niż powszechnie dostępne ulepy. Chcieliśmy stworzyć coś, co swoim smakiem przekona ludzi do przerzucenia się na bezalkoholowe toasty, niezależnie

© INSTAGRAM.COM/OLAZEBROWSKA, INSTAGRAM.COM/ZEBROWSKI.MICHAL, STANISŁAW BONIECKI

od tego, czy jesteś w ciąży, czy nie. No i tak powstało F'ALKO, które smakuje jak alko, ale nim nie jest.

M.Ż.: – Przy okazji mieliśmy różne przemyślenia na temat picia. Polska to kraj, w którym zarówno picie, jak i niepicie alkoholu to trudny temat.

A.Ż.: – Jak mówisz, że nie pijesz, to od razu wzbudzasz podejrzenie, że jesteś w ciąży albo jesteś alkoholikiem, ewentualnie jesteś chory. Nikogo nie obchodzi, że nie pijesz wody, ale jak powiesz, że nie pijesz alkoholu, musisz się z tego za każdym razem tłumaczyć. Stąd nasz pomysł i nadzieja, że uda się odczarować niepicie.

Z tematów trudnych jest jeszcze ciało. Mówi się o nim wstydliwie, upiększa się je po cichu, wy się swoimi ciałami na swój sposób publicznie bawicie.

A.Ż.: – To jest chyba ciągle ten sam temat – wstyd. Ciągły, upokarzający wstyd. Ten z zewnątrz, ale i z wewnątrz, bo sami też sobie potrafimy wytwarzać ciśnienie. Zmaganie się z ciałem ma też różne odsłony. Kiedy napisałam o swoich rozstępach, to nagle się okazało, że to jest superważne, bo większość kobiet je ma i wiele z nich się ich wstydzi. Tak to jest, że z wiekiem, po ciąży, po karmieniu, zwisa ci brzuch, biust, przestajesz się mieścić w ulubione spodnie. Jak nie przesypiasz nocy, to jeszcze dochodzą wory pod oczami. Nie jesteś idealna. Nie będziesz. Nie musisz. Staram się unikać lekko nawiedzonego języka w stylu: świat jest piękny, kochajmy się, złapmy się za ręce i celebrujmy swój cellulit i obwisłe cycki. Ale wychodzę z założenia, że lepiej się z tego wspólnie pośmiać, zamiast udawać, że to nie istnieje, a potem dojeżdżać się w internecie, czy stojąc przed lustrem. Czasem zastanawiam się, czy w sumie nie jest to banalne i czy nie szkoda o tym ciągle gadać? Ale z drugiej strony widzę, że żyjemy pod taką presją z powodu własnego wyglądu, że chyba nie zaszkodzi sobie o tym raz na jakiś czas przypominać.

M.Ż.: – Mam 52 lata, ale dzięki Teatrowi 6. piętro osiwiałem już jakieś 10 lat temu. Do serialu się więc farbuję. Wolałbym być w lepszej formie. Mając małe dzieci, lepiej mieć kondycję. Robię, co mogę, biegam, boksuję, staram się nie obżerać. Ale, niestety, z wiekiem tracę siły. Jeszcze parę lat temu szedłem na trening z myślą: o, dzisiaj się wyżyję! Teraz myślę: uff... przeżyłem, jest fajnie.

A praca, zawód aktora, przed czymś chroni, pozwala nabrać dystansu?

M.Ż.: – Mam ze swoim aktorstwem problem, bo wiem, że można lepiej, mądrzej i bardziej umiejętnie. Zawodowo chciałbym być w innym miejscu. Jako 20-latek myślałem, że jestem geniuszem. Dosyć szybko zszedłem na ziemię. A byli tacy polscy aktorzy, np. Łomnicki.

Łomnicki zapłacił za swoją karierę dramatyczną cenę.

M.Ż.: – Kiedy jako student PWST wpadałem zdyszany do domu, opowiadając o swoich mistrzach, moja mama reagowała tak oto na moje zachwyty: „Ależ Michał, ten pan to jest przecież bankrut życiowy". Nie wiem, czy Łomnicki postrzegał siebie jako życiowego bankruta, ale pamiętam, że ja postrzegałem go jako geniusza. Teraz jestem chyba w tym wieku, w którym interesuje mnie głównie to, jak postrzegają mnie moje dzieci. Wiem również, że nie ma bardziej żałosnej figury niż niespełniony artysta, pełen skrywanej bądź nie pretensji do świata. Koszmar. Smutne i nudne. Dlatego lubię się, ale bez wzajemności.

A może to jest klucz do tych 406 tys. followersów, że po was widać, że się lubicie z wzajemnością?

A.Ż.: – Dużo się mówi o tym, jak ważne jest, żeby siebie lubić i akceptować, że to dodaje pewności siebie, spokoju… a mnie się wydaje, że powoli powinniśmy zacząć częściej mówić o tym, że równie ważne jest, by przestać się czepiać innych.

Byłem ostatnio w Czechach i usłyszałem, że Polaków i Czechów różni to, że jedni mają kij w d…, a drudzy też go mają, ale potrafią go sobie zgrabnie wyciągać.

M.Ż.: – Jeśli twierdzi pan, że my zgrabnie wyciągamy kij z d…, to chyba należy to uznać za komplement. Ale również za koniec naszej rozmowy, żeby się nie okazało, że to rozmowa o d… Maryni.

A.Ż.: – O, i jest suchar na zakończenie.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

Zdjęcia ilustrujące rozmowę pochodzą z mediów społecznościowych Aleksandry i Michała Żebrowskich.

W sprawach z aborcją w tle rekomendacje dla prokuratorów dopiero powstają. Państwo nadal płaci za bezprawne dochodzenia. A prolajferzy nadsyłają kolejne donosy.

Zabiegi śledczych

MARTYNA BUNDA

ILUSTRACJA **OBYWATEL JANEK**

Zmieniły się rządy, zapowiedziano zmianę prawa, a potem w Sejmie upadła nowelizacja ustawy znoszącej karalność za pomoc w aborcji, ale wniesiono kolejny projekt. Prokuratura tworzy wytyczne, jak nie nadużywać prawa i nie kierować go przeciw kobietom. Lecz krakowsko-kieleckie śledztwo w głośnej sprawie pani Joanny trwa. Nie dotyczy jednak ani łamania praw pacjentki, ani nadużyć policji. Dotyczy hipotetycznej pomocy w aborcji. Przesłuchiwani są świadkowie, przetrząsa się komputery i telefony, zamawia opinie ekspertów. Biegli za publiczne pieniądze ustalają np., czy pani Joanna naprawdę była w ciąży i jakimi lekami mogła ją usunąć.

W lipcu 2023 r. pani Joanna przerwała ciążę, co w Polsce nie jest czynem zabronionym. Każda kobieta ma prawo zamówić tabletki i je zażyć. Psychicznie czuła się coraz gorzej, zadzwoniła więc po pomoc do swojej psychiatry. Ta poradziła udać się do szpitala, lecz jednocześnie powiadomiła policję. Tam sprawę potraktowano jak zabójstwo. Policjanci wkroczyli do szpitala, pozbawili panią Joannę wolności. Kazali jej się rozbierać do naga i kucać. Na ponad rok zarekwirowano jej służbowy laptop i telefon. W odpowiedzi na zarzuty o bezprawne działanie komendant policji upublicznił wrażliwe dane pacjentki. Byłoby sporo pracy dla prokuratora. Ten jednak szuka osoby, która być może wiedziała o planach pani Joanny i wsparła ją w trudnym momencie. Zanim za następne kilka miesięcy śledztwo zostanie umorzone, jak większość podobnych, państwo polskie zdąży wydać kolejne tysiące złotych.

Podstawą wszczęcia wspomnianych dochodzeń jest art. 152 par. 2 o pomocy w aborcji. Przepis wymyślony przed 30 laty, by ścigać ginekologów, teraz służy do urządzania polowań na czarownice. Przez całe dekady śledztwa z tego paragrafu wszczynano niezwykle rzadko. Notowano kilkanaście, kilkadziesiąt przypadków rocznie. Aż w 2017 r. Prokuratura Krajowa, pod rządami zwyżkującego w sondażach

Prawa i Sprawiedliwości, rozesłała do podrzędnych sobie jednostek pismo, w którym nakazała pilniej ścigać potencjalnych sprawców z art. 152. Załączono dokument autorstwa Ordo Iuris jako „opinię prawną do zapoznania się i wykorzystania". Wielu śledczych potraktowało te wytyczne jako polecenie służbowe, zresztą zgodnie z hierarchiczną strukturą prokuratury. Niektórzy stosują się do nich do dziś. Tak liczba śledztw z art. 152 wystrzeliła do ponad 300, by w 2021 r. sięgnąć liczby 381.

Jednak tylko w nieco ponad 20 przypadkach rocznie papiery trafiały do sądów. Skazywano po kilka osób, jeśli już, to ogłaszając wyrok w zawieszeniu. I trudno się dziwić. Skazano np. kilkoro rodziców 14-latek, które i tak mogłyby usunąć ciążę legalnie w szpitalu, bo pochodziła z czynu zabronionego (każdy kontakt seksualny z osobą młodszą niż 15-letnia jest nielegalny). Orzekano kary więzienia w zawieszeniu dla partnerów, którzy nie zawiedli zaufania; dla przyjaciółek, które trwały u boku bliskiej sobie kobiety, siostry, matki... W wielu sądach w ogóle nie chciano skazywać. Czekano na wynik wyborów i zmianę prawa, ale się nie doczekano.

Miażdżąca większość postępowań kończy się umorzeniem już na etapie prokuratur. Ile pieniędzy i wysiłku pożera ich prowadzenie? Umorzono choćby sprawę pani Aleksandry spod Warszawy. W tle nawet nie było aborcji. Ciężarna po kilku poronieniach, w kolejnej zagrożonej ciąży, straciła ją po szpitalnych próbach podtrzymania. Roniąc, zadzwoniła po pogotowie. Wystarczyło absurdalne zgłoszenie ratowniczki medycznej (popełniającej czyn zabroniony), że „pani dokonała aborcji i utopiła dziecko w toalecie". Wszczęto śledztwo z art. 152. Przeszukano dom, zatrzymano męża, przesłuchiwano świadków, zabezpieczono zakrwawioną odzież i podpaski. Wypompowano zawartość szamba w poszukiwaniu płodu, patykami sprawdzając każdą rurę. Próbowano siłą pobrać od kobiety krew do dodatkowych badań, choć wyniki już znajdowały się w dokumentacji medycznej. By w końcu nie stwierdzić przestępstwa.

– *Bo go nigdy nie było* – mówi mec. Kamila Ferenc, zajmująca się wieloma podobnymi historiami z ramienia fundacji dla kobiet Federa. I dodaje: – *Postępowanie w przypadku pani Joanny też z pewnością zostanie umorzone. Po roku, może kolejnym, prokuratura przyzna to, co od początku jest oczywiste: nie było podstaw do wszczynania tej sprawy. Pytanie, dlaczego spośród wielu aspektów łamania prawa prokuratura uchwyciła się akurat tego, skoro w tej sprawie można wskazać wiele rzeczywistych naruszeń.*

Zdarza się i tak, że wszczynane przez prokuraturę śledztwa przynoszą kolejne sprawy – tym razem przeciw samym prokuratorom. Jak w historii szczecińskiej, która zaczęła się przed ponad rokiem i ciągnie do dziś, wywołując lawinę. W styczniu 2023 r. do gabinetu lekarki Marii Kubisy, pracującej tuż za polską granicą, w Prenzlau (gdzie aborcja jest legalna), i w Szczecinie, weszli policjanci i skonfiskowali akta medyczne z 30 lat pracy. Zabrali 6 tys. kart pacjentek, wszystkie komputery i telefony. Potem miesiącami przesłuchiwali kolejne pacjentki lekarki (które czuły się na komisariatach, jakby siedziały tam w roli oskarżonych). Śledztwo przybrało gigantyczny rozmach, ciągnąc za sobą takież koszty.

Po ponad roku do sądu trafił akt oskarżenia z art. 152, w którym prokurator dowodzi, że lekarka wsparła w aborcji cztery pacjentki. Z kolei pełnomocniczka ponad 20 innych złożyła do prokuratury zawiadomienie w sprawie narażenia ich na ryzyko utraty zdrowia. Odcięcie pacjentek od dostępu do historii medycznej, od wyników wcześniejszych badań, spowodowało stres i realne komplikacje medyczne. A pani doktor wystartowała z listy Koalicji Obywatelskiej w wyborach do sejmiku, mówiąc głośno o tym, że „kobieta w Polsce ma tylko jedno prawo – umrzeć" – zdobyła ponad 11 tys. głosów i mandat.

Polowanie na czarownice z art. 152 to tylko jeden ze sposobów, po jaki sięgano w prokuraturze. W 2021 r., po wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej, śledczy ze szczególnie docenianej przez Zbigniewa Ziobrę Prokuratury Okręgowej w Białymstoku zajęli się legalnymi aborcjami w szpitalach. Chodziło o przypadki wadliwego rozwoju płodu i zabiegi przeprowadzone po wydaniu wyroku Trybunału Przyłębskiej, a przed jego urzędową publikacją. Wnioski i dane pacjentek wraz z pełną dokumentacją medyczną rozesłano do szpitali z dopiskiem: „sprawa wyjątkowo pilna!!!". A wielu dyrektorów placówek odczytało to jako zapowiedź możliwych kłopotów i powód, by odsyłać pod byle pretekstem osoby, które będą zgłaszały się do przerwania ciąży.

Co ciekawe, rzekomym powodem wszczęcia tego śledztwa było zawiadomienie od fundacji Pro-Prawo do Życia o możliwości popełnienia bliżej nieokreślonego przestępstwa. Sprawą na wniosek pacjentek zajął się ówczesny rzecznik praw pacjenta, dziś minister sprawiedliwości Adam Bodnar, zwracając uwagę, że należałoby raczej pochylić się nad przypadkami, w których szpitale odmówiły przeprowadzenia zabiegu z racji na wydany, ale nieopublikowany wyrok Trybunału. Ówczesny szef Prokuratury Okręgowej w Białymstoku nie odpowiedział ówczesnemu rzecznikowi.

Role się zmieniły. Adam Bodnar, już w funkcji prokuratora generalnego, powołał zespół, który przeanalizował akta ponad 600 spraw dotyczących aborcji prowadzonych po wydaniu wyroku. Kwerenda nie wypadła źle. Mimo lawiny zawiadomień składanych w prokuraturach przez aktywistów prolajferskich w wyraźnej większości przypadków albo odmawiano wszczęcia postępowania, albo też szybko umarzano sprawę. Odmówiono poprowadzenia tysięcy postępowań wobec osób informujących w sieciach społecznościowych, jak i gdzie przeprowadzić legalną i bezpieczną aborcję – bo pomoc w rozumieniu art. 152 musi dotyczyć konkretnej osoby.

Zespół analizujący przypadki prawne stworzył też zbiór rekomendacji dla prokuratorów, wskazując, którymi przypadkami powinni się zająć zgodnie z prawem. A są wśród nich sytuacje, gdy personel medyczny odmówił aborcji dyktowanej np. stanem psychicznym kobiety. Odkąd posłowie głosami PSL i Romana Giertycha odrzucili poprawkę do ustawy likwidującą art. 152, zapis wciąż będzie obowiązywać. Jednak nie ma podstaw do poszukiwania przestępstwa w sytuacji, gdy kobieta oświadcza, że przeprowadziła aborcję sama.

Zalecenia trafiły do dalszych prac z Prokuratury Krajowej do Krajowej Rady Prokuratorów. Bo skoro nie udaje się zmienić prawa, co było wyborczą obietnicą Koalicji Obywatelskiej, trzeba skrupulatnie przestrzegać tego, które jest. Zawracając prokuraturę z wypracowanych przez lata przyzwyczajeń.

To ważne. Nie mniej niż równie skrupulatne pilnowanie, by prawa nie zmienić na jeszcze gorsze. Giertych, odwołany przez Donalda Tuska z funkcji wiceprzewodniczącego klubu po niesławnym głosowaniu, w którym nie podniósł ręki (a do uchylenia art. 152 zabrakło tylko trzech głosów), zaproponował swój projekt pod hasłem „zaufajmy kobietom": żeby skazywanie za pomoc w aborcji ograniczyć do przypadków, gdy ktoś próbował wymóc przerwanie ciąży. Prawniczki z organizacji kobiecych ostrzegają, że nietrudno jest napisać do prokuratury: „Byłam w ciąży, usunęłam, ścigajcie tego i tamtego". Na przymuszanie do aborcji są już inne paragrafy. A skala wieloletniego zaangażowania prokuratury w ściganie przestępców, których nie było, to pokłosie fali donosów od prolajferów. To jedno pewnie jeszcze długo się nie zmieni. ■

Polak przed szkodą i po szkodzie

Zniszczone przez powódź Stronie Śląskie

JOANNA SOLSKA: **– Osób poszkodowanych przez obecną powódź doliczono się na razie 57 tys., siedem straciło życie. Czy da się już oszacować straty materialne?**

RAFAŁ MAŃKOWSKI: – Można to będzie zrobić dopiero wtedy, gdy powódź definitywnie się skończy. Na razie jest za wcześnie, w jednych miejscach woda jeszcze nie opadła, w innych dopiero może się pojawić.

Na razie więcej wiemy, ile prawdopodobnie będziemy mieć pieniędzy na pokrycie strat po kataklizmie. Najwięcej, bo aż 5 mld euro, dostaniemy z Funduszu Spójności. To wprawdzie pieniądze, które przewidziane były dla nas wcześniej, ale za rządu PiS nie mogliśmy z nich skorzystać, były obawy, że już nie zdążymy ich wydać. O 2 mld zł z naszego budżetu mówił minister

finansów, ale skala potrzeb wydaje się większa. Ekonomiści uważają, że państwa nie stać na taką pomoc, którą oferuje rząd, zapewniając ją każdemu poszkodowanemu.

Po powodzi w 2010 r., spowodowanej również przez niż genueński, straty bezpośrednie wyniosły 12,8 mld zł, co stanowiło równowartość 1 proc. PKB. Policzono zarówno majątek publiczny, jak i prywatny, a także straty w rolnictwie. Suma odszkodowań wypłaconych przez ubezpieczycieli wyniosła 1,7 mld zł. To stanowiło zaledwie 13 proc. wszystkich strat. Teraz mogą być one wielokrotnie większe, Polska bardzo się przez ostatnie 15 lat rozwijała. Ogromne pieniądze zainwestowaliśmy w infrastrukturę: drogi, mosty, modernizację kolei, tu szkody są największe. Żeby przywrócić je do stanu poprzedniego, trzeba będzie sporo wydać. Mimo że obecna powódź, choć ogromna, jest jednak lokalna. Na razie szkód oszacować nie sposób.

Pomówmy o odszkodowaniach dla ludzi. Ile trzeba będzie wydać?

Nie chcę się wypowiadać na temat, ile wyda rząd. To będzie decyzja polityczna. Ja mogę mówić o ubezpieczycielach.

Nawet prawie 300-mld dziura budżetowa może się okazać mniej ważna niż nadchodzące wybory prezydenckie, nowelizacja budżetu ją powiększy.

Ubezpieczenia to biznes, do którego państwo nie dopłaca. Wielkość odszkodowań, które wypłacimy za szkody spowodowane przez powódź, będzie zależała nie tylko od poniesionych przez naszych klientów strat, ale także od tego, czy się dobrze ubezpieczyli.

To znaczy?

Cieszymy się, że świadomość ubezpieczeniowa Polaków rośnie, już ponad 60 proc. domów jednorodzinnych jest ubezpieczonych od ryzyka powodzi. Ale wiele osób zaniża wartość swojego majątku, nieruchomości, bo wysokość składki zależy od sumy ubezpieczenia, którą wskażemy, a ta powinna odpowiadać wartości domu czy mieszkania. Ubezpieczyciel odpowiada bowiem tylko do wysokości sumy ubezpieczenia. Jeśli podamy, że nasz dom jest wart 500 tys. zł, to od tej sumy zależy cena polisy, składka będzie niższa niż od 800 tys., ile naprawdę jest wart, ale w razie katastrofy…

…nawet gdy nasz dom spłynął z wodą, odszkodowanie nie będzie wyższe niż 500 tys. zł, bo tak określiliśmy jego wartość. Za taką sumę nie da się wybudować nowego. Wykupując polisę, powinniśmy myśleć nie o tym, że dom już jest dość stary, ale ile będzie nas kosztować usunięcie ewentualnych strat.

Więc dobrze byłoby, żeby ubezpieczało się od katastrof naturalnych jak najwięcej Polaków, ale jeszcze lepiej, gdyby ubezpieczali się z głową. Dziś myślimy o powodzi, ale nie zapominajmy też, że nagła wichura może nam zerwać dach. Szkód związanych ze skutkami gwałtownego ocieplenia klimatu będzie coraz więcej.

Nie tylko podczas powodzi, ale także nawalnych deszczów zalewane są coraz częściej samochody. Na jakie odszkodowanie możemy liczyć w takich przypadkach?

Pierwszy warunek: musimy się dobrze ubezpieczyć, czyli mieć wykupione pełne autocasco, zdarza się bowiem, że niektórzy wykupują tylko ubezpieczenie np. na wypadek uszkodzenia szyb. Jeśli koszty naprawy zalanego auta przekraczają 70 proc. jego aktualnej wartości rynkowej, szkoda uznawana jest za całkowitą i odszkodowanie powinno być równe aktualnej wartości rynkowej auta pomniejszonej o wartość wraku. Ubezpieczyciel zwykle deklaruje pomoc przy jego sprzedaży.

Rafał Mańkowski, ekspert od oceniania ryzyka katastrof naturalnych Polskiej Izby Ubezpieczeń, o tym, jak zminimalizować straty po powodzi, która… znów nadejdzie.

Jak oblicza się wartość wraku?

Ona wcale nie musi być mała. Zalany samochód może być bezwartościowy, ale jego poszczególne części nie tracą na wartości.

Jak ubezpieczyciele przygotowali się do obecnej powodzi?

Zanim nadeszła wielka woda, ale prognozy już o niej ostrzegały, towarzystwa ubezpieczeniowe wzięły się za przygotowanie pomocy dla tych, którzy będą jej potrzebowali najszybciej. Mają w swoich systemach informatycznych adresy klientów, więc wytypowały tych mieszkających na terenach zagrożonych. Uruchomiły procedury zarządzania kryzysowego. Wzmocniły komórki zajmujące się przyjmowaniem i likwidacją zgłoszeń na terenach zagrożonych. Skierowano tam ludzi z Podlasia, Lubelszczyzny i innych niezagrożonych miejsc.

Przenieśli się na tereny powodziowe?

Nie. Jak woda podchodziła bliżej, wyszukiwali z bazy zagrożone adresy i w pierwszym kroku wysyłali esemesa z informacją, jak się pilnie skontaktować z ubezpieczycielem, gdy zdarzy się szkoda powodziowa. Uruchomiliśmy uproszczone ścieżki likwidacji szkód. Likwidacja opiera się tylko na zdjęciach przysłanych przez klientów, potrzeba mniej dokumentów. Ubezpieczyciele szybko likwidują najprostsze zgłoszenia albo wypłacają zaliczki np. do 10 tys. zł na osuszenie ścian czy zakup niezbędnych do życia przedmiotów.

Taką samą sumę poszkodowani mogą uzyskać od rządu. Ubezpieczeni prywatnie też ją dostaną?

Polisy prywatne i wsparcie od rządu albo gminy to są niezależne od siebie kanały pomocy. Wykup ubezpieczenia nie pozbawia środków z innych źródeł, to byłby absurd. Obywatele, którzy sami zadbali o własne bezpieczeństwo, nie mogą być za to finansowo karani przez państwo. Prywatna polisa to bezpieczeństwo zwiększa, w kraju obecnie ubezpieczonych jest już 49 proc. właścicieli nieruchomości. I nawet 80 proc. gospodarstw rolnych. Banki, udzielając kredytu na zakup mieszkania czy budowę domu, domagają się wykupienia ubezpieczenia, m.in. na wypadek powodzi. Chcą uniknąć sytuacji, że dom zostanie zalany, a kredytobiorca nie będzie w stanie spłacać rat.

Rząd również tym ubezpieczonym deklaruje wsparcie nawet do 200 tys. zł na odbudowę domu czy mieszkania. Jeśli woda zniszczyła także pomieszczenia gospodarcze, mogą się ubiegać o kolejne bezzwrotne 100 tys. zł. Pomoc państwa jest bezwarunkowa, uprawnia do niej sama szkoda.

Ubezpieczyciele nie mogą z powodu wsparcia rządu ograniczać pomocy dla takich rodzin. Limitem wysokości odszkodowania jest tylko suma ubezpieczenia... W takich sytuacjach jak właśnie powódź ludzie boleśnie się przekonują, że ustalając sumę odszkodowania, powinni myśleć nie o jak najniższej składce, ale o takiej, za którą będą w stanie wyremontować dom czy mieszkanie lub zbudować nowe w razie katastrofy.

A jeśli ta suma odszkodowania jest dużo niższa niż wyrządzona szkoda i nie da się za nią usunąć jej skutków?

Wtedy mamy problem niedoubezpieczenia. Agenci sprzedający taką polisę powinni uczciwie informować ▶

© NATALIA DOBRYSZYCKA, MP

▶ o skutkach. Nie zawsze klient jest świadomy konsekwencji niskiej składki – albo celowo do takiej dąży.

Ale takich niedoubezpieczonych polis jest najwięcej, bo agent, jeśli widzi, że klient zdecydowanie nie chce zapłacić więcej, woli mu sprzedać polisę z niższą składką niż żadną. Może dlatego rząd ruszył z tak hojną pomocą, a PiS krzyczy, że powinien na odbudowę dać jeszcze więcej.

Towarzystwa ubezpieczeniowe na wypadek powodzi czy innej szkody, uniemożliwiającej przez jakiś czas korzystanie z domu, sprzedają także polisy assistance, w ramach których oferują mieszkanie czy dom zastępczy. To droższy produkt.

Towarzystwa muszą walczyć o klienta, więc ich likwidatorzy w mobilnych biurach spotykają się we wszystkich zalanych miejscach. Pomagać starają się też politycy, samorządowcy. Dużo was przy tej powodzi, czy jakoś ze sobą współpracujecie?

Nie, każdy wykonuje to, co do niego należy. Według własnych procedur i kryteriów.

Ubezpieczyciele nie boją się prób oszustwa przy uproszczonej likwidacji? Mogą się znaleźć klienci, których skusi możliwość otrzymania 10 tys. zł na telefon.

Klient nie tylko informuje, co zostało zniszczone, ale także dokumentuje szkodę i przesyła nam zdjęcia. Likwidator ma aktualne cenniki, więc takie próby miały małe szanse.

Miały?

Tak, bo w tej chwili wiele drobnych szkód już zostało zlikwidowanych. Uproszczona procedura obejmuje szkody drobne, typu: woda wlała się do środka, ale już spłynęła. Nie została zniszczona konstrukcja budynku, jego kluczowe wyposażenie. To, co trzeba szybko zrobić, to dokonać drobnych napraw, odmalować. Wartość szkody nie jest wysoka. Takich jest przy powodzi najwięcej, więc uporanie się z nimi poważnie skraca kolejkę poszkodowanych. Likwidatorzy mają czas, by zająć się sprawami najtrudniejszymi.

Wielu szkód długo nie można było zlikwidować, woda ciągle stała. Strat nie można oszacować bez pewności, że szkoda już nie urośnie.

Jeśli klient potrzebuje, może dostać zaliczkę. Ale też raczej w sytuacjach, gdy już da się ustalić wysokość szkody i można mieć pewność, że ona nie będzie większa. W miastach, które powódź nawiedziła najpóźniej, mieszkańcy takiej pewności nie mają. Dlatego za wcześnie na szacowanie strat. Można jednak powiedzieć, że gdyby nie obroniły się Wrocław, Opole czy Kędzierzyn-Koźle, byłyby one wielokrotnie większe. Uratował je zbiornik w Raciborzu, Wrocławski Węzeł Wodny, po powodzi w 2010 r. zainwestowano w poldery. To dowód, że rządzący uświadomili sobie, że powodzie tysiąclecia będą zdarzać się częściej.

PiS chwali się, że to jego zasługa.

Plany budowy zbiornika powstały wcześniej, jeszcze za rządu PO-PSL. Wyrazem wielkiej odwagi, wyobraźni politycznej i społecznej była decyzja o rozpoczęciu inwestycji za 2 mld zł, która będzie zakończona po latach. Ważne, że po zmianie władzy inwestycję kontynuowano i ukończono, częściowo za pieniądze unijne. Budowa infrastruktury przeciwpowodziowej na nadchodzące czasy to także nie są projekty na jedną kadencję.

Powodzie tysiąclecia zdarzają się coraz częściej. Czy można się przygotować na te, które dopiero nadejdą? Bo że nadejdą szybciej, niż nam się wydaje, jest raczej pewne.

To będzie wymagało dużych pieniędzy i mądrej polityki przestrzennej. Jak tylko spłynie woda, trzeba dokonać przeglądu i naprawy wałów „zmęczonych" powodzią. Przeanalizować, jakie inwestycje dały wodzie skuteczny odpór, i dokonać napraw, których z pewnością wymagają. Tam, gdzie trzeba, wybudować kolejne zbiorniki.

Ludzie w Kłodzku ich nie chcieli, niektórym groziłoby przesiedlenie.

I tu dochodzimy do sprawy najważniejszej, bez wdrożenia mądrej polityki przestrzennej każda kolejna powódź będzie nas kosztowała coraz więcej, sumy mogą się okazać niewyobrażalne. Najtańszym sposobem uniknięcia strat popowodziowych jest niezabudowywanie terenów zalewowych. Pod Płockiem jest skansen, rekonstrukcja wioski wybudowanej na tym terenie przed wiekami, w pobliżu Wisły. Jej mieszkańcy wiedzieli, że wioska stoi na terenie zalewowym, ale domy zbudowali tak, żeby powódź uczyniła im jak najmniejsze szkody. Były lekkie, pomieszczenia na najniższych kondygnacjach były gospodarcze, pomyślane tak, żeby woda, która wtargnie do środka, mogła jak najszybciej wypłynąć drugimi wrotami. Ludzie mieszkali wyżej.

Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej od lat sporządza mapy, na których widać, które tereny są zalewowe, najbardziej zagrożone powodzią. Każde towarzystwo z nich korzysta, ma też swoje. Jeślibyśmy na te mapy nałożyli inne, terenów zniszczonych przez największe powodzie, to one się w zasadzie pokrywają. Sami prosimy się o powódź. Jeśli powodzianie za pieniądze, jakie otrzymają na pokrycie strat po obecnym kataklizmie, odbudują swoje domy i małe biznesy w tych samych miejscach, gdzie były, za kilka, kilkanaście lat znów je stracą.

Politykę przestrzenną kreują przede wszystkim gminy, to one sporządzają plany zagospodarowania. Wróćmy do Wrocławia. Rządy po powodzi w 2010 r. zdecydowały o zabezpieczeniu miasta dzięki budowie potężnej infrastruktury antypowodziowej. Ale jednocześnie najbardziej zalana w 1997 r. dzielnica Kozanów jest ciągle rozbudowywana. A to jest właśnie teren zalewowy. Samorząd uległ naciskom deweloperów, ludzie potrzebują mieszkań. W Warszawie jest podobnie. Nowe wielotysięczne osiedla mieszkaniowe powstały w Zawadach, w sąsiedztwie Wilanowa, to także czarny punkt na mapach IMiGW, rosną bloki wielorodzinne po drugiej stronie Wisły, w Miedzeszynie, tuż przy wale antypowodziowym. Jeśli chcesz uniknąć powodzi, to masz dwa wyjścia: albo wodę odsuniesz od ludzi, albo ludzi od wody. Strażacy, którzy ratują nas z opresji, gdy nadejdzie wielka fala, od lat to powtarzają. Tego pierwszego nie jesteśmy w stanie zrobić, przyroda jest silniejsza. Tego drugiego też nie robimy.

Ale towarzystwa sprzedają potem właścicielom tych domów i fabryk polisy ubezpieczeniowe.

Tak, ale dajemy im sygnał, że w tych miejscach ryzyko powodzi jest większe, więc polisa dla nich będzie droższa.

PiS w pierwszej kadencji powołał centralną instytucję Wody Polskie, która miała nas chronić przed powodziami. Raport Najwyższej Izby Kontroli pokazuje, że Wody Polskie zupełnie zlekceważyły ten obowiązek, aż 90 proc. obiektów przemysłowych, które powstały na terenach zalewowych, miało ich akceptację!

Ryzyko coraz częstszych powodzi lekceważyliśmy wszyscy: rządy, samorządy, przedsiębiorcy, urzędnicy. Może tym razem w końcu wyciągniemy wnioski.

ROZMAWIAŁA JOANNA SOLSKA

© KRISZTIAN BOCSI/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Volkswagen do naprawy

Koncern Volkswagen, symbol potęgi niemieckiej gospodarki, zaciska pasa. Zapowiada redukcję zatrudnienia, a nawet zamknięcie niektórych fabryk. VW w Polsce ma ich 9 i blisko 17 tys. pracowników. Czy mają powody, by się niepokoić?

ADAM GRZESZAK

Niemcy są w szoku. Wiedzą wprawdzie, że gospodarka ma się nie najlepiej, a szczególnie branża samochodowa. Ale żeby tak drastyczne decyzje podejmował drugi (po Toyocie) koncern samochodowy świata, w którym państwo ma sporo do powiedzenia? Na dodatek ten plan oszczędnościowy ma dotyczyć najważniejszej marki w grupie i objąć główne centrum produkcyjne oraz najważniejszy rynek zbytu, czyli Niemcy. To przecież wbrew dogmatowi, który lubią powtarzać także niektórzy polscy ekonomiści, że każdy koncern w pierwszej kolejności zamyka zakłady zagraniczne, by chronić miejsca pracy i zakłady w kraju macierzystym. Volkswagen wprawdzie zamyka też fabrykę w Chinach, ale nie po to, by ratować niemieckie zakłady. Dziś Chiny są dla niemieckich koncernów niemal tak ważne jak same Niemcy, no ale i tam rynek siadł, są przerosty mocy produkcyjnych, więc wspólnie z chińskim partnerem podjęli taką decyzję.

W Niemczech zaciskanie pasa dotyka też producentów samochodowych komponentów. Continental do 2027 r. zamknie fabrykę opon w Gifhorn w Dolnej Saksonii, Goodyear szykuje się do podobnego ruchu w Fuldzie i Fürstenwalde, Michelin w Karlsruhe i Trewirze. Bosch redukuje 1,5 tys. pracowników działu automotive, a koncern ZF (jeden z największych wytwórców podzespołów na świecie) zamyka zakład w Gelsenkirchen i ogłosił właśnie, że do 2028 r. zwolni 14 tys. niemieckich pracowników. Skala jest potężna, ale dziś każde auto montowane jest w większości z podzespołów wytwarzanych przez firmy z branży OEM (*original equipment manufacturer*), czyli zewnętrznych kooperantów.

Złota akcja

Na redukcje i zamykanie niemieckich fabryk zdecydował się też Ford, a wcześniej Opel, kiedy ich zagraniczni właściciele doszli do wniosku, że przestały być rentowne. Jednak zakłady należące do niemieckiej wielkiej trójki – Volkswagen, BMW, Daimler – uznawane były za wyłączone z brutalnych reguł ekonomii. W przypadku Volkswagena było to dodatkowo poparte układami zbiorowymi z gwarancjami zatrudnienia do 2029 r. zawartymi z potężnym ▶

Demonstracja przeciwko zamknięciu fabryki Audi w Brukseli

Wszystkie marki Grupy Volkswagen

• Volkswagen Samochody Osobowe • Volkswagen Samochody Dostawcze • Škoda • SEAT • Cupra • Audi • Lamborghini • Bentley • Ducati • Porsche

▶ związkiem zawodowym IG Metall. A także ustawą VW-Gesetz zapewniającą rządowi Dolnej Saksonii „złotą akcję" z prawem weta we wszystkich ważnych decyzjach.

Ustawa została wprawdzie sądownie podważona przez Komisję Europejską, co znacznie ograniczyło przywileje Dolnej Saksonii. Jednak pakiet ponad 20 proc. akcji wciąż pozwala jej blokować to, co chce. Ma też w dwudziestoosobowej radzie nadzorczej VW zagwarantowane dwa miejsca. Co zresztą jest przedmiotem krytyki ekspertów gospodarczych. Pytają, jaki pożytek rada koncernu motoryzacyjnego może mieć na przykład z Julii Willie Hamburg, polityczki Zielonych z wykształceniem niepełnym wyższym, bez samochodu, ale za to z rowerem?

Na kogo padnie?

Pierwsze zapowiedzi redukcji zatrudnienia dyrektor generalny Grupy Volkswagen Oliver Blume ogłosił w marcu. Wtedy też koncern rozpoczął program dobrowolnych odejść, gotów odchodzących sowicie wynagrodzić. Najniższa odprawa dla pracujących krócej niż 5 lat wyniosła 17,7 tys. euro, a w przypadku osób z ponad 20-letnim stażem 117,7 tys. euro. Pracownikom najwyższego szczebla zaoferowano od 60,7 tys. do 404,7 tys. euro. Każdy, kto w ciągu pierwszych dwóch tygodni zgodził się na rozwiązanie umowy, a przepracował dłużej niż 5 lat, otrzymał tzw. premię turbo 50 tys. euro. Zarząd wypowiedział obowiązującą od 1994 r. w Volkswagenie umowę z gwarancjami zatrudnienia. Gdy 10 września formalnie wygasła, napięcie wzrosło, bo ogłoszono, że polityka oszczędnościowa zostanie zaostrzona. Szczegółów nie podano.

Zarząd ocenia, że w Niemczech co najmniej jedna fabryka aut i jedna podzespołów są do zamknięcia. We wszystkich niemieckich zakładach zapanował niepokój, bo nie wiadomo, na kogo padnie. Eksperci mają kilka typów. Pierwszy to fabryka produkująca komponenty do modeli elektrycznych w Salzgitter, gdzie pracuje ok. 7,5 tys. osób. Sprzedaż modeli elektrycznych wciąż jest słaba, a fabryka leży blisko głównego zakładu w Wolfsburgu, który może przejąć produkcję.

Drugi na liście jest zakład w Chemnitz (1,8 tys. pracowników) wytwarzający silniki i zespoły silników TSI, których znaczenie będzie malało. Trzeci potencjalny kandydat to zakład w Zwickau, największa fabryka samochodów elektrycznych w Europie, zatrudniająca 9,4 tys. pracowników. Została wprawdzie niedawno przystosowana do produkcji elektryków kosztem 1,2 mld euro jako ważny dla strategii eksportowej grupy, ale dubluje fabrykę w Emden.

We wszystkich zakładach VW trwa pospieszny rachunek sumienia – ile produkujemy, ile sprzedajemy, jaką mamy wydajność, ile niewykorzystanych mocy? I właściwie tylko największa fabryka koncernu w Wolfsburgu, historycznym mieście Volkswagena, gdzie siedzibę ma centrala koncernu, uchodzi za nietykalną.

Te oszczędności to jedna z głównych pozycji w dziesięciopunktowym programie naprawy VW Olivera Blume, który od dwóch lat jako szef koncernu stara się realizować. Jest technokratą, doktorem inżynierem technologii produkcji samochodowej, więc „tuninguje" VW, by osiągnąć więcej mocy i by marka zabłysła – jak mawia – nowym blaskiem. Z Volkswagenem związał całe swoje zawodowe życie, od końca lat 90., kiedy zaczynał jako młody inżynier w Audi. Potem przechodził kolejne etapy kariery w koncernie, aż do stanowiska dyrektora generalnego marki Porsche, które zresztą łączy dziś z zarządzaniem Grupą VW.

E-problemy

Blume i Thomas Schäfer, członek zarządu i dyrektor generalny marki Volkswagen Samochody Osobowe, napisali w wewnętrznym komunikacie do pracowników: „Obecnie korzystamy z okazji, aby przyjrzeć się wszystkim projektom i inwestycjom i sprawdzić ich opłacalność". Prezes chce ograniczyć zbędne prace rozwojowe i lepiej wykorzystać moce produkcyjne. Nadzieje wiąże z nową wersją małego samochodu elektrycznego ID.2, który ma być produkowany przez fabrykę Seata w Hiszpanii, pod różnymi koncernowymi markami. Blume jednak się nie spieszy, masowa produkcja tego małego i w miarę taniego (25 tys. euro) e-auta ma ruszyć w maju 2026 r.

Także konkurenci przygotowują swoje budżetowe modele e-aut, ale dość niepewnie, bo elektromobilność to dziś równanie z bardzo wieloma niewiadomymi.

© SIMON WOHLFAHRT/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Można utknąć z tysiącami niesprzedanych aut i fabryką, która wykorzystuje ułamek mocy produkcyjnych, tak jak dziś, gdy sprzedaż e-aut w Niemczech spadła nagle o blisko 70 proc. Powód: zakończenie rządowego programu dopłat do zakupów e-aut.

Elektromobilność to jedna z przyczyn kłopotów giganta z Wolfsburga. I nie chodzi o to, że Volkswagen przespał e-rewolucję. Przeciwnie, robi w tej dziedzinie wiele. Tylko w drugim kwartale 2024 r. koncern sprzedał łącznie ok. 180,8 tys. aut bateryjnych (BEV) wszystkich marek grupy. E-modele VW oznaczone są znakiem ID. (skrót od inteligentny design) i kolejnymi numerami od 3 do 7. Wszystkie są budowane na stworzonej przez koncern modularnej platformie MEB. Swoją elektrogorliwością VW stara się tuszować skutki afery spalinowej *dieselgate*, największej plamy na powojennej historii firmy, która przyniosła olbrzymie straty finansowe i wizerunkowe. A to nie koniec, bo właśnie rusza proces sądowy byłego prezesa VW Martina Winterkorna. Znów więc będzie wałkowane to, jak doszło do stworzenia oprogramowania samochodowych komputerów fałszującego wyniki testów spalin.

Mordercze normy

Problem z elektromobilnością ma dziś cała europejska branża samochodowa, bo Komisja Europejska chce przesadzić Europejczyków do aut elektrycznych tak szybko, jak się da. A oni się ociągają i chętniej kupują spalinowe, póki to jeszcze możliwe. Bo za 10 lat UE planuje zakazać sprzedaży nowych spalinówek.

Bruksela dociska też producentów coraz ostrzejszymi normami emisyjnymi, grożąc wysokimi karami za ich niespełnienie. Właśnie nadchodzi przełomowy 2025 r., kiedy zaczną obowiązywać nowe normy emisji CO_2 na poziomie średnio 95 g/km. Średnio, bo każdy koncern dostał nieco inną wielkość w zależności od typu produkowanych aut. Zadanie dla Volkswagena to 96,6 g/km. Tak niska emisja jest właściwie nieosiągalna dla auta spalinowego, może tylko dla niektórych hybryd.

Gdy jednak w latach 2015–16 przyjmowano normę, pomysł był taki, że to zdopinguje koncerny i nakręci rynek e-aut. Bo średnią emisję liczy się dla całej floty sprzedanych aut, więc im więcej wprowadzą na rynek zeroemisyjnych elektryków, tym większe będą mieli możliwości sprzedaży wysokomarżowych aut typu SUV. Zakładano, że rynek dojdzie do punktu przełamania i e-auta zatriumfują. Tak się nie stało – *Szacowaliśmy, że cel emisyjny uda się zrealizować, jeśli udział aut elektrycznych w samochodowym rynku UE osiągnie 23–25 proc. Tymczasem on topnieje i wynosi 12,5 proc. A to oznacza, że suma kar za przekroczenie norm może sięgnąć 13–15 mld euro. W ostatecznym rachunku zapłacą je nabywcy aut, średnio 1,3–1,5 tys. euro od samochodu* – wyjaśnia Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego, członek władz Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów ACEA. Dodaje, że dziś wyzwaniem dla europejskiej branży samochodowej jest też inwazja chińskich producentów, którzy zdobywają rynki UE, korzystając ze wsparcia własnego rządu. To wsparcie szacowane jest na 15–17 mld euro rocznie.

Komisja Europejska zareagowała już, wprowadzając cła antydumpingowe, by chronić przemysł, który jest filarem europejskiej gospodarki – przynosi 7 proc. PKB i daje pracę 14 mln obywateli. Nie można dopuścić, by Europejczycy przywykli, że jak elektryk, to najlepiej chiński. A przywyknąć łatwo, bo e-auta z Chin są efektowne i tańsze od europejskich. Z drugiej jednak strony Chińczycy grożą odwetem, a Niemcy szczególnie boją się głośno krzyczeć, bo Chiny to dla ich marek główny rynek eksportowy aut spalinowych; ostatnio także centrum produkcyjne. Szczególnie dla VW, który ma tam niewiele mniej fabryk niż w Niemczech. Chińczycy mają słabość do niemieckich aut z górnej półki, a dziś także mają do zaoferowania technologię i surowce do wspólnej produkcji aut elektrycznych.

Pomożecie?

Verena Hubertz, wiceprzewodnicząca grupy parlamentarnej SPD w Bundestagu, deklaruje: „VW i przemysł motoryzacyjny to silnik Niemiec. Jeśli silnik się zacina, musimy go naprawić". Kryzys VW to wyzwanie dla rządzącej koalicji „sygnalizacji świetlnej" Olafa Scholza, dlatego trwają naciski polityków na koncern, by jednak nie zamykał fabryk. Odpowiedź jest taka, że ten oczekuje „pilnego podjęcia środków zaradczych, zanim w 2025 r. wejdą w życie nowe docelowe poziomy emisji CO_2 dla samochodów osobowych i pojazdów użytkowych". Chodzi o to, by Komisja Europejska odwlekła, a może złagodziła nowe normy emisji CO_2.

– *Problemy Volkswagena są problemami całego europejskiego przemysłu motoryzacyjnego. Także polskiego* – przekonuje prezes Faryś. – *Mam jednak nadzieję, że polityka zaciskania pasa nie obejmie polskich zakładów Grupy VW. Europejski rynek pojazdów użytkowych jest w lepszej kondycji niż aut osobowych, a takie VW u nas produkuje.* W Polsce koncern ma dziewięć zakładów, a niebawem będzie dziesięć, kiedy w Nysie ruszy fabryka materiałów do produkcji akumulatorów. Niemiecka branża motoryzacyjna liczy też, że państwo przywróci program dopłat dla nabywców e-aut, bo jak widać, bez niego elektryfikacja transportu kuleje. Politycy w odpowiedzi upominają się o tanie e-auta (takie ok. 20 tys. euro), bo dziś cena jest poważną barierą hamującą elektromobilność.

W ubiegłym tygodniu odbyły się rozmowy z federalnym ministrem gospodarki i ochrony klimatu, wicekanclerzem Robertem Habeckiem. Planuje on ulgi podatkowe dla e-aut służbowych, co szefów VW nie zachwyciło, bo firmy na ogół już kupiły auta elektryczne. „Czuję się w obowiązku dopilnować, by rynek znów się ożywił" – zapewnił minister, ale podczas wizyty w zakładach VW przekonywał, że „polityka musi utrzymać kurs i nie kwestionować celów w zakresie elektromobilności ani celów klimatycznych". Trudno się dziwić, Habeck jest współprzewodniczącym Zielonych, więc na daleko idące ustępstwa raczej nie pójdzie. W 2022 r. aktywiści Zielonych demonstrowali przed siedzibą Volkswagena z hasłem „Żadnej nowej fabryki samochodów – ani w Wolfsburgu, ani nigdzie indziej".

Także część ekspertów apeluje, by nie ulegać łatwo szantażowi wielkiego i bogatego koncernu, który na razie nie stoi nad przepaścią, bo w 2023 r. zarobił na czysto 17,9 mld euro. Szef kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej (IfW) Moritz Schularick w telewizyjnym wywiadzie tak to podsumował: „państwo nie jest dobre w znajdowaniu jutrzejszych zwycięzców, ale wczorajsi przegrani są bardzo dobrzy w znajdowaniu państwa".

ADAM GRZESZAK

REKLAMA

Płynnie przez granice

Agencje celne to nieoceniona pomoc dla wszystkich firm, które muszą przewieźć towary przez unijną granicę. Dzięki wsparciu specjalistów można oszczędzić sporo czasu, pieniędzy i… nerwów.

Handel z krajami spoza Unii Europejskiej to spore wyzwanie – nie tylko logistyczne, ale i prawne. Przepisy celno-podatkowe są wyjątkowo skomplikowane, a formalności związanych z odprawą towarów nie brakuje. Na szczęście istnieje rozwiązanie pomagające firmom, których partnerzy handlowi znajdują się poza wspólnym europejskim rynkiem. To agencje celne, wspierające przedsiębiorców w przechodzeniu przez procedury celne. Dzięki temu nie tylko poprawia się terminowość dostaw, ale też maleje ryzyko związane z zatrzymywaniem towarów na granicy z powodu niejasności czy błędów. Korzystanie z usług agencji celnej pomaga szybciej załatwiać wszelkie formalności graniczne. To zaś konkretna finansowa korzyść dla każdej firmy.

W praktyce o sensie współpracy z agencją celną decyduje skala importu czy eksportu. – *Firmy, w których przypadku jest ona mała, często próbują dokonać formalności własnymi siłami, co bywa niebezpieczne. Przy większym obrocie korzystanie z agencji staje się naturalnym wyborem. Natomiast najwięksi importerzy i eksporterzy tworzą w swoich strukturach działy pełniące funkcje agencji celnych wewnątrz organizacji* – wyjaśnia Marcin Majewski, ekspert w zakresie procedur i pozwoleń celnych w PwC Polska.

Dlaczego agencje celne lepiej niż zwykły przedsiębiorca radzą sobie w zapewnieniu płynnego przepływu towarów? Zatrudniają osoby dobrze wykwalifikowane, ze specjalistyczną wiedzą na temat wszelkich procedur celnych i aktualnego stanu przepisów, które przecież nieustannie się zmieniają. Wówczas przedsiębiorcy mogą się skupić na swojej głównej działalności, nie martwiąc się kwestiami związanymi z przekraczaniem zewnętrznej granicy unijnej. Agencje celne sprawdzają wszystkie dokumenty i dbają o to, aby były one wolne od błędów. Oczywiście warunkiem powodzenia współpracy jest dokładna wiedza agentów o eksportowanym czy importowanym towarze, aby na granicy nie doszło do żadnych nieporozumień.

A jak szczegółowo wygląda taka współpraca? – *Agencje celne oferują kompleksową obsługę, która obejmuje m.in. składanie zgłoszeń celnych, uzyskiwanie wymaganych dokumentów, takich jak Świadectwa Pochodzenia (EUR.1, A.TR), a także doradztwo w zakresie najbardziej korzystnych rozwiązań prawnych i podatkowych. Co więcej, dzięki automatyzacji procesów, w tym odpraw w ramach Wspólnej Procedury Tranzytu, firmy mogą liczyć na optymalizację czasu i kosztów związanych z przepływem towarów przez granicę. Agencje celne wspierają także swoich klientów w szerokim zakresie usług związanych z obsługą akcyzową, np. poprzez kompleksową pomoc w rejestracji podmiotów w systemie PUESC, który jest kluczowy dla przedsiębiorców działających w obszarze cła i akcyzy. Prowadzą również rejestry i ewidencje wymagane przez przepisy prawa celnego i podatkowego, co gwarantuje klientom zachowanie pełnej zgodności z regulacjami prawa unijnego i krajowego* – tłumaczy Stanisław Purczyński, ekspert ds. procesów celnych w Raben Logistics Polska.

Co robić, aby taka współpraca przebiegała bezproblemowo? – *Firma korzystająca z usług agencji celnej powinna zawrzeć z nią umowę, a nie tylko udzielić pełnomocnictwa. Poprawna umowa musi jasno określić zakres obowiązków agencji celnej. W ten sposób unikniemy ewentualnych problemów, które często wynikają z niezrozumienia, jaką rolę pełni agencja, a jakiej nie pełni, co jest analogiczne do różnicy pomiędzy działaniami biura rachunkowego i doradcy podatkowego* – radzi Marcin Majewski, agent celny, dyrektor PwC Polska.

Czasem, z powodu zbieżności nazw, agencje celne mylone są z urzędami celnymi, a sami agenci celni z celnikami, czyli funkcjonariuszami państwowymi. Warto pamiętać, że agencja celna nie jest nigdy organem państwowym. To pośrednik między przedsiębiorcą handlującym z krajami spoza Unii Europejskiej oraz urzędem celnym. Oznacza to, że agent celny nie jest celnikiem. Jego zadanie to pomoc w kontaktach z celnikami przy załatwianiu wszelkich formalności. Agencje celne w początkowej fazie były właśnie takimi pośrednikami, jednak z czasem ich działalność znacznie się rozwinęła. Od zwykłego wsparcia przeszły do kompleksowej obsługi swoich klientów, obejmującej np. magazynowanie produktów, przeładunek, a nawet transport. Agencje celne służą nie tylko radą i wsparciem, ale też pozwalają oszczędzać czas, bo mogą często korzystać z szybszych procedur odprawy celnej na granicy.

PIOTR CYMERMAN

© CRISPYPORK/SHUTTERSTOCK

Transport międzynarodowy napędza biznes

Dwadzieścia lat temu, z chwilą przystąpienia Polski i dziewięciu innych krajów do Unii Europejskiej, transport międzynarodowy wkroczył w zupełnie nową erę. Zmiany, które zaszły w branży logistycznej były ogromne – wspólny rynek przyniósł nie tylko ułatwienia w wymianie handlowej, ale również liczne inwestycje kapitału zachodniego w Europie Środkowej.

Świat stał się globalną wioską. Firmy śmiało podejmowały współpracę z dostawcami nawet z drugiej półkuli, a ze względu na koncentrację produkcji, wyroby z kilku fabryk na świecie zaczęły trafiać na kilkanaście czy kilkadziesiąt rynków. Odpowiedzią na ten sposób organizacji pracy miały być sprawne łańcuchy dostaw, możliwe dzięki rozbudowanej drobnicowej sieci połączeń międzynarodowych.

W parze z koncentracją produkcji szła konsolidacja magazynów dystrybucyjnych, co również mocno determinowało powstawanie linii międzynarodowych i sposób pracy operatorów. Wiele zachodnich koncernów postanowiło ograniczyć liczbę magazynów dystrybucyjnych w Europie, co poprawiło dostępność asortymentu i pozwoliło ograniczyć całkowite zapasy, ale stało się wyzwaniem dla przewoźników. Odbiorcy życzą sobie bowiem regularnych i często częstszych dostaw. W rezultacie pojawiają się potrzeby sprawnego dostarczania komponentów, często w ilościach niepozwalających na organizację bezpośredniej dostawy oraz gotowych produktów do klientów rozproszonych po całej Europie i adresujących swoje rosnące wymagania. Odległość dystrybucyjna czasem wynosi nawet 1000 km, klient oczekuje dostawy „na jutro", a zamówienie obejmuje tylko kilka europalet. Taki termin jest możliwy tylko przy wykorzystaniu odpowiedniej siatki połączeń międzynarodowych – często z wyjazdami nocnymi.

W ciągu ostatnich dwóch dekad transport i logistyka przeszły znaczącą transformację. Inwestycje w nowoczesne rozwiązania, digitalizację i automatyzację stały się priorytetem. Operatorzy, tacy jak Grupa Raben, wprowadzili zaawansowane systemy IT, które automatycznie przekazują informacje klientom, oferując m.in. szacowany czas dostawy (ETA). Automatyzacja obejmuje również magazyny, gdzie wdrażano technologie takie jak roboty, coboty, autonomiczne wózki widłowe oraz sensory IoT, co pozwala na zwiększenie efektywności procesów magazynowych i transportowych.

Dobrze rozwinięta infrastruktura drogowa oraz sieć połączeń międzynarodowych stanowią solidną podstawę do dalszej ekspansji, ale także zobowiązują do śledzenia najnowszych trendów technologicznych. Międzynarodowy transport drobnicowy, łączący producentów i konsumentów w całej Europie i poza nią, stwarza ogromne możliwości rozwoju, lecz jednocześnie niesie za sobą wyzwania. Klienci, niezależnie od miejsca docelowego przesyłki, oczekują tego samego poziomu obsługi, co wymaga rozbudowanej sieci połączeń. Aby zachować konkurencyjność, firmy transportowe muszą docierać do jak największej liczby miejsc rozładunku w różnych krajach, optymalizując czas dostaw i koszty.

Ważnym elementem strategii Grupy Raben w międzynarodowej dystrybucji są Eurohuby – centralne punkty, które konsolidują ładunki drobnicowe w europejskim ruchu liniowym. Struktura Eurohubów pozwala na elastyczne reagowanie na zmiany wielkości przewozów oraz skracanie czasu realizacji zamówień. To istotne, aby sprostać oczekiwaniom klientów i zapewnić terminowość dostaw.

Firmy transportowe muszą jednak pamiętać o wyzwaniach. Pandemia uwydatniła potrzebę zabezpieczenia europejskich możliwości produkcyjnych i skrócenia łańcuchów dostaw. Problem niedoboru kierowców wymusza rezygnację ze starych modeli dystrybucji, takich jak milkrun, a także większy nacisk na zrównoważony rozwój, w tym efektywne wykorzystanie przestrzeni ładunkowej oraz promowanie transportu intermodalnego.

Warto pamiętać, że transport międzynarodowy to nie tylko wymiana handlowa na terenie Unii Europejskiej, ale również poza nią. Tutaj pojawiają się dodatkowe wyzwania jakimi są skomplikowane przepisy celno-podatkowe oraz formalności związane z odprawą towarów. Niemniej jednak, operatorzy logistyczni, którzy chcą być konkurencyjni i zapewnić wsparcie klientom, którzy dystrybuują swoje towary poza UE, powinni również mieć know-how oraz niezbędne narzędzia, aby efektywnie zarządzać procesami celnymi.

Maciej Zieliński
Dyrektor Dystrybucji Międzynarodowej,
Raben Logistics Polska, Grupa Raben

Drodzy żołnierze

Za śmierć na wojnie w Ukrainie rosyjskie władze płacą 20 razy więcej niż za urodzenie dziecka. Za przeżycie miesiąca – 10-krotność przeciętnej płacy. To dlatego w Rosji wciąż są chętni, aby wstąpić do piechoty jednorazowej.

PAWEŁ RESZKA, EVGENIA TAMARCHENKO

„Putin wyświadczył nam przysługę, uczynił naszych mężczyzn godnymi członkami rodziny. Mój mąż został ciężko ranny, stracił nogę i rękę. Otrzymałam od państwa wypłaty i zarządzam nimi. Mąż stale pije, ale przecież zarobił grosz na życie! Dziś jest bohaterem, a był kretynem i szumowiną" – na platformach internetowych, gdzie komunikują się bliscy walczących w Ukrainie, dużo jest podobnych wpisów potwierdzających, że wojna stała się szansą na poprawę bytu dla całych rodzin.

Tę obserwację potwierdza nam sierżant sztabowy Andriej Juseinow z 39. brygady w Jużno-Sachalińsku: – *Dlaczego idą wojować? Z powodu pieniędzy oczywiście.*

Sierżant Juseinow wie, o czym mówi. W armii służył sześć lat, głównie w sztabie brygady – w komórce odpowiedzialnej za mobilizację i uzupełnienia. Napatrzył się więc na ludzi chcących do wojska, szczególnie po rozpoczęciu inwazji. – *Rzadko spotykałem entuzjastów wojny. Takich, którzy nie mogli doczekać się wyjazdu na front i powtarzali: „Będę zarabiał, zabijał!". Najczęściej zgłaszały się osoby, które miały do wojny stosunek neutralny. Na przykład młodzi, którzy chcieli zarobić na życiowy start.*

Zwerbowani w Petersburgu

© PETROV SERGEY/RUSSIAN LOOK/FORUM

do dyskusji w sieciach społecznościowych i wzywają, by odpłacić sąsiadom za „napaść".

Czy to działa? Oficjalnie, owszem. Władimir Putin oznajmił, że to, co się dzieje pod Kurskiem, spowodowało wzrost liczby ochotników. – *Nawet państwowe reklamy zawsze kończą się zdaniem w stylu: „Podpisz kontrakt, a dostaniesz dwa miliony". Myślę, że Kreml gra w tę grę świadomie, bojąc się klęski mobilizacji opartej na motywach patriotycznych* – mówi socjolog dr Ołeksandr Szulga, dyrektor niezależnego Instytutu Konfliktologii i Analiz Rosji z siedzibą w Kijowie.

Podobne zdanie ma niezależny ekonomista dr Władisław Inoziemcow: – *Napływ ludzi do wojska nie słabnie, przyznają to nawet niezależni badacze. Jednak od dawna nie ma mowy o patriotyzmie. Walczą za pieniądze, a te pieniądze są duże. Za śmierć na wojnie w Rosji płacą 20 razy więcej niż za urodzenie dziecka.*

Pieniądze

Ile konkretnie płacą? Goła pensja szeregowca to 210 tys. rubli miesięcznie, czyli ok. 9 tys. zł. Do tego dodatki za udział w szturmach, „rozłąkowe", wysługa lat. Można wyciągnąć lekko ponad 10 tys. zł. To dużo – niemal trzy razy więcej niż przeciętna pensja w Rosji. Oczywiście ci, którzy mają wyższy stopień albo jakąś specjalność, dostają większą podstawę. Wynagrodzenie strzelca karabinu maszynowego czy mechanika zaczyna się od 216 tys. rubli. Zastępca dowódcy plutonu dostaje 250 tys.

A to nie koniec apanaży. Największe wrażenie robi premia, jaką dostaje się przy podpisaniu kontraktu. Zawarcie rocznej umowy oznacza jednorazowy przelew z ministerstwa obrony w wysokości 400 tys. rubli (blisko 17 tys. zł). Taka kwota obowiązuje od 1 sierpnia 2024 r., wcześniej płacono dwa razy mniej. Do premii dorzucają się jeszcze władze regionalne i miejskie. Na przykład w Republice Sacha (Jakucja) wypłacają 900 tys. rubli, a miasto Jakuck dokłada jeszcze 100 tys. „Znaczy to, że żołnierz po podpisaniu kontraktu dostaje w sumie 1,4 mln rubli (blisko 60 tys. zł)" – wylicza w lokalnym portalu sierżant Stanisław Permiakow z komisji werbunkowej przy ul. Czepałowa 23 w Jakucku.

W ten sposób mieszkaniec Buriacji, jednej z najbiedniejszych republik Federacji, po zgłoszeniu się na wojnę zmienia się w krezusa. Wynagrodzenie za podpisanie kontraktu to mniej więcej 10-krotność miesięcznych zarobków kierowcy. Są też dodatki specjalne, można je dostać m.in. za zdobycie bądź zniszczenie sprzętu przeciwnika. I tak np. za zdobycie czołgu Abrams, ▶

Nie tylko żołd

Rosyjski żołnierz walczący w Ukrainie dostaje:
- **210 tys. rubli (9 tys. zł)** – miesięczny minimalny żołd
- **2,3 mln rubli (95 tys. zł)** – maksymalna, jednorazowa premia za podpisanie kontraktu
- **327 tys. rubli (13,5 tys. zł)** – odszkodowanie za ciężką ranę
- **81 tys. rubli (3,4 tys. zł)** – odszkodowanie za lekką ranę
- **2,4 mln rubli (100 tys. zł)** – jednorazowa wypłata dla inwalidów wojennych I grupy
- **4,5 do 23 tys. rubli (180–944 zł)** – miesięczne dodatki dla inwalidów wojennych
- **do 15 mln rubli (600 tys. zł)** – „trumienne", czyli wypłata dla rodziny poległego żołnierza

[przeliczenia walutowe w przybliżeniu]

Drugim czynnikiem, który powoduje, że ludzie zgłaszają się na ochotnika, jest to, co Juseinow nazywa oszustwem albo dezinformacją: – *Kandydatom wmawia się, że kontrakt szybko się skończy, a na froncie wcale nie jest tak strasznie.* Sam Juseinow wiedział, że na froncie jest jednak strasznie. Dlatego po rozpoczęciu inwazji zaplanował dezercję i ucieczkę z kraju. Udało mu się i dziś przebywa w Europie Zachodniej.

Powinność

Wielu Rosjan postępuje dokładnie odwrotnie – zamiast uciekać, sami zgłaszają się do biur werbunkowych. Kuszeni są na każdym kroku. Billboardy przy drogach krzyczą: „Czas spełnić swój obowiązek. Służba wojskowa to zaszczyt". W internecie działają strony, których autorzy przekonują, że nie pora na kompromisy, gdy ojczyzna jest zagrożona. Są też poradniki z wyliczeniami ulg i przywilejów. Media centralne mówią o powinności. W lokalnych nagłaśniają przykłady tych, którzy się zdecydowali: „Setki mieszkańców co tydzień zgłaszają się do ośrodków selekcji do kontraktowej służby wojskowej. Jednym z nich jest Nikołaj". Akcja propagandowa nasiliła się jeszcze po ataku Ukrainy na obwód kurski. Uczestniczą w niej nawet boty, które włączają się

▶ Leopard bądź Challenger czy wyrzutni HIMARS należy się okrągły milion rubli (40 tys. zł). To dużo więcej niż za zniszczenie zwykłego transportera opancerzonego, za to Rosja płaci równowartość 2 tys. zł.

Wyścig

Dla jednych wojna to sposób na biedę. Dla innych sposób na życie. Ci drudzy podpisują kolejne kontrakty, a zarobione pieniądze inwestują w nieruchomości, biznes albo odkładają na konto. „Oczekiwania? Kupić kolejne mieszkanie. Mam już własny sklep z wyrobami skórzanymi, ale pensje w mieście są niewielkie, a ja mam trzech synów. Muszę im coś po sobie zostawić" – tłumaczy 35-letni Artem Iwanow w portalu Biznes Online. Iwanow pochodzi z Kraju Krasnodarskiego, ale kontrakt podpisał w Kazaniu (Tatarstan). Przejechał w tym celu 1,7 tys. km, bo Tatarstan dopłaca więcej za podpisanie umowy z armią.

Kreml oczekuje, że na front będą się zgłaszali ochotnicy. Dlatego między republikami trwa wyścig – każda chce wysłać jak najwięcej wojaków, a już na pewno nie wlec się w ogonie. Stawka w grze jest wysoka: często chodzi o utrzymanie się na stanowisku mera czy gubernatora.

Moskwa od lipca 2024 r. zaczęła płacić za podpisanie kontraktu 1,9 mln rubli (blisko 80 tys. zł). Dorzuca też do miesięcznego żołdu 50 tys. rubli (2 tys. zł). Jak ktoś popisze kontrakt w Moskwie, przez rok wojaczki może zarobić równowartość 215 tys. zł. Ale Moskwa nie miała wyjścia, bo wlecze się w ogonie. Od początku wojny w ramach mobilizacji i kontraktu wysłała na front zaledwie 1,5 proc. mężczyzn w wieku poborowym. A są obwody (np. sachaliński, primorski, Karelia, Buriacja), które posłały blisko 5 proc.

Stolica i inne bogate regiony kuszą więc pieniędzmi. Biedniejsze części Rosji, chcąc nie chcąc, muszą gonić. Na przykład kaukaska niebogata Kabardo-Bałkaria zwiększyła w lipcu premię dla kontraktowych z 300 do 800 tys. rubli.

Od początku inwazji do I kwartału 2024 r. zgodnie z danymi ministerstwa obrony kontrakt z armią podpisało 640 tys. żołnierzy. Dziennikarze niezależnego portalu Ważnyje Istorii wspólnie z analitykami z Conflict Intelligence Team kwestionują te dane. Z ich wyliczeń wynika, że wojskowi zawyżają tę liczbę o ok. 200 tys. Jednak to i tak sporo, zwłaszcza że nie ma jeszcze danych za II i III kwartał 2024 r., a w tym okresie wypłaty dla kontraktowców znacznie się zwiększyły.

Piechota jednorazowa

Wojna w Ukrainie była obliczona na kilka tygodni i sprawę miały załatwić oddziały regularnej armii. – *Trzeba powiedzieć, że i tamta „regularna" armia, licząca według różnych szacunków 100–150 tys. ludzi, składała się w lwiej części z żołnierzy kontraktowych* – mówi Kirił Michajłow, niezależny publicysta, ekspert ds. wojskowości.

Ta pierwsza „regularna" armia jest dziś już tylko wspomnieniem. Front rozciągał się na setki kilometrów, Ukraińcy byli w stanie kontratakować, zadawali poważne straty. Trzeba było organizować posiłki. Do boju rzucono najemników. Niektórzy – jak ci z Grupy Wagnera – byli skuteczni, ale trudni do kontrolowania i przysparzali kłopotów. Na front słano więc kryminalistów – szli za pieniądze i obietnicę darowania kary. Dołączano jednostki „ochotnicze" (w rzeczywistości przymusowe), rekrutowane w separatystycznych republikach Donbasu.

Próbowano też najbardziej logicznego rozwiązania: sięgnięto po rezerwistów. We wrześniu 2022 r. Putin ogłosił „częściową mobilizację", powołano 300 tys. osób, jednak sam proces był dla Kremla bolesną porażką. Młodzi mężczyźni, zamiast stać w kolejkach do komend uzupełnień, stali w kolejkach na granicach, by jak najszybciej opuścić Rosję. W pierwszym tygodniu wyjechało 200 tys. osób. Wszystkiemu towarzyszyły protesty rodzin mobilizowanych i skandale związane z tym, że poborowi – bez przeszkolenia i sprzętu – trafiali na front.

Od tej pory mobilizacja jest tematem tabu, a front zasilają głównie żołnierze kontraktowi. – *W przeciwieństwie do zmobilizowanych idą na front dobrowolnie. To sposób na wyeliminowanie źródła napięć społecznych* – mówi Kirił Michajłow. Dodaje, że kontrakt to po prostu alternatywna metoda rekrutacji, tyle że dość droga. – *Żołnierzy kontraktowych często wykorzystuje się jako tzw. piechotę jednorazową. Przechodzą tygodniowe szkolenie i giną podczas pierwszego ataku. To oczywiście kosztowne, ale najwyraźniej rosyjscy przywódcy nie mają innego wyjścia.*

Budżet

Dr Władisław Inoziemcow ocenia, że wypłaty dla wojujących w Ukrainie to ok. 3 bln rubli rocznie, tj. 124 mld zł. Tyle są warte zgromadzone przez Narodowy Bank Polski zapasy złota. Zakładając, że walczy 500–600 tys., na pensje i jednorazowe premie idzie 1,4 bln rubli (ok. 60 mld zł; tyle polski rząd chce wydać z budżetu na budowę elektrowni atomowej). Do tej kwoty trzeba doliczyć wypłaty za śmierć. Przy szacunku, że ginie ok. 80 tys. rosyjskich żołnierzy rocznie, daje to kolejny bilion rubli. A jeszcze odszkodowania dla rannych.

Wiaczesław Szirajew, znany ekonomista i przedsiębiorca, uważa, że przestawiona w ten sposób na wojenne tory gospodarka pędzi ku przepaści: – *Marnowanie jednej trzeciej budżetu na przegrzanie gospodarki wygląda samobójczo. Nie można po tym oczekiwać niczego innego niż inflacja i spowolnienie gospodarcze.* Krawędź przepaści ma wyznaczać wyczerpanie się pieniędzy gromadzonych przez lata – m.in. z nadwyżek ze sprzedaży ropy i gazu ziemnego – w Funduszu Dobrobytu Narodowego. – *Te środki skończą się pod koniec tego lub na początku przyszłego roku* – ocenia Szirajew.

Inoziemcow sądzi inaczej. – *Nie widzę powodu, aby w latach 2025–26 spodziewać się poważnego kryzysu w Rosji. Problem to 9-proc. inflacja. Jednak po 2000 r. wynosiła ona średnio 13 proc., a gospodarka rosła jak na drożdżach. Na potrzeby planowania wojny zachodni decydenci powinni założyć, że potencjał*

Wybrane przywileje dla uczestników wojny w Ukrainie:

- bezpłatne lekarstwa
- zawieszenie toczących się wobec nich postępowań sądowych i egzekucyjnych
- wstrzymanie kontroli podatkowych

Wybrane przywileje dla weteranów:

- dłuższy termin zapłaty podatku dochodowego
- ułatwiony dostęp do studiów wyższych (również dla dzieci)
- bezpłatna działka (w niektórych regionach)
- urlop na żądanie i dodatkowy urlop bezpłatny (35 dni kalendarzowych w roku)
- zwolnienie z opłat administracyjnych za wyrobienie paszportu, prawa jazdy, dowodu itd.

„Nasza profesja – obrona ojczyzny" – punkt werbunkowy na stacji w Moskwie

rosyjskiej gospodarki jest nieograniczony, i nie wierzyć tym, którzy mówią o kryzysie – radzi ekspert.

Nie ma wątpliwości, że wojna będzie kosztowała Rosję coraz drożej. Widać to po rosnących wypłatach dla żołnierzy – cena życia poszła w górę, gdy Kreml uświadomił sobie, że patriotyczna retoryka nie działa. W dodatku inwazja na Ukrainę jest zupełnie inna od poprzednich dużych wojen. W Afganistanie i dwóch wojnach czeczeńskich walczyło biedne społeczeństwo. Przed 2022 r. Rosjanie przywykli już do kapitalistycznego dobrobytu i nie mają ochoty umierać za kopiejki.

Trwa więc wyścig z oczekiwaniami społecznymi i rosnącymi cenami. – *Ludzie zrozumieją, że zostali oszukani, kiedy przeliczą sobie ruble, które zarobili, na kilogramy ziemniaków czy litry benzyny* – uważa Wiaczesław Szirajew. – *Także ci, którzy pojechali na Ukrainę zabijać za pieniądze. Okaże się, że za 2 mln rubli nie kupią nawet kiepskiego chińskiego samochodu, bo od czasu, gdy podpisali kontrakt, jego cena wzrosła półtora raza.*

Umieranie za ruble

Inoziemcow uważa, że z każdym kwartałem będzie trudniej znajdywać chętnych do podpisania kontraktu: – *Można się spodziewać podwyżek żołdu w przyszłym roku. Na razie to działa, ale nie wiadomo jak długo.*

Widać, że Rosjanie są zmęczeni wojną. Sporo mówi o tym wpis na platformie Telegram autorstwa Aleksandra Sładkowa, jednego z najważniejszych propagandystów tej wojny: „Specjalna operacja niedługo będzie trwała trzy lata. Ludzie są zmęczeni brakiem wielkich zwycięstw, w rodzaju wzięcia do niewoli 2 tys. wrogów. Mało tego: wróg zaatakował w obwodzie kurskim, jesteśmy zmuszeni gasić pożary szalejące w fabrykach amunicji i rafineriach, a w miastach urządzamy pogrzeby cywili".

Teraz w internecie dyskutuje się, ile z tego, co zarobi żołnierz, musi oddać w ramach „haraczu" swoim dowódcom. Ile pieniędzy z premii przyznawanej przez państwo trzeba wydać, by ochotnika porządnie wyposażyć na wojnę: „Podpowiedzcie proszę: ubranie, buty i prowiant to na własny koszt?". „Tak, sami kupowaliśmy (dla męża) ubrania, kamizelkę, prowiant. Oczywiście, dostał mundur i buty za kostkę, ale marnej jakości, niewygodne. Wszyscy kupują sami". Kobiety sprzedają rzeczy swoich mężów, którzy poszli walczyć: „Cena podlega negocjacji, rzecz prawie nowa, jemu już się nie przyda".

Rodziny spierają się również o to, jak podzielić „trumienne", czyli pieniądze wypłacane po śmierci żołnierza. „Trumienne" to kilka składników: ubezpieczenie, „wypłata prezydencka", jednorazowa zapomoga, zapomoga od władz regionalnych, zwrot kosztów pogrzebu i postawienia nagrobka. Może się uzbierać nawet 15 mln rubli (ponad 600 tys. zł). Jest o co się bić.

***

Wbrew zapewnieniom o gotowości do negocjacji pokojowych Rosja przygotowała nowy budżet państwa na najbliższe trzy lata. Zgodnie z projektem w 2025 r. wydatki na cele wojskowe mają wzrosnąć z 10,4 do 13,2 bln rubli i będą stanowić 6,3 proc. PKB. To historyczny rekord – poradziecka Rosja nigdy nie wydawała tak dużo na wojsko.

PAWEŁ RESZKA, EVGENIA TAMARCHENKO

© GETTY IMAGES

Europa w pułapce

Rozmowa z politologiem Hansem Kundnanim o tym, dlaczego największym problemem Unii Europejskiej są dziś Niemcy. I kiedy nacjonalizm może być dobry.

ALEKSANDER KACZOROWSKI: **– Rząd niemiecki wprowadził kontrole na wszystkich swoich granicach. Zaskoczyło to pana?**

HANS KUNDNANI: – Nie, ponieważ to nie pierwszy raz w ciągu ostatniej dekady, kiedy Niemcy przywracają kontrole graniczne. Nie są też jedynym krajem, który to zrobił. O wiele bardziej niepokoi mnie to, co dzieje się na zewnętrznych granicach Unii Europejskiej. Od 2014 r. 30 tys. osób zginęło, próbując przekroczyć Morze Śródziemne. To pięć razy więcej niż na południowej granicy Stanów Zjednoczonych. Granica UE to najbardziej śmiercionośna granica na świecie. Tymczasem wiele osób obchodzi tylko przywrócenie granic w samej Unii.

Ludzie boją się końca strefy Schengen.

Tak. I to mówi wiele o priorytetach zwolenników UE. Często wydaje się, że zależy im jedynie na tym, żeby Europejczycy działali wspólnie. Martwią się tylko brakiem jedności w UE. Dopóki Unia pozostaje zjednoczona, nie widzą nic kontrowersyjnego w jej działaniach.

To chyba świadczy o sile idei europejskiej? I o strachu przed nacjonalizmem?

Wielu zwolenników Europy chce myśleć o UE i idei Europy jako o przeciwieństwie nacjonalizmu. Moim zdaniem tak nie jest. W rzeczywistości idea europejska jest dość podobna do nacjonalizmu. Tylko na większą, kontynentalną skalę.

Mógłby pan to wyjaśnić?

W książce „Eurowhiteness" (Eurobiałość) rozróżniam nacjonalizm etniczno-kulturowy i nacjonalizm obywatelski. Niektórzy euroentuzjaści chcą wierzyć, że to etniczno-kulturowe pojmowanie europejskości skończyło się

Migranci w Budapeszcie we wrześniu 2015 r. Odesłano ich do Niemiec, dokąd i tak chcieli się dostać. Angela Merkel nie mogła ich nie wpuścić.

© ISTVAN CSAK/SHUTTERSTOCK, SPORTSFILE/WEB SUMMIT/GETTY IMAGES

w 1945 r. I że mamy dziś do czynienia z zupełnie nową, czysto obywatelską ideą Europy. Ale to jest bardziej skomplikowane, bo etniczne i kulturowe idee przetrwały i mają wpływ na projekt europejski.

Przykładem jest idea „powrotu do Europy", tak rozpowszechniona w Europie Środkowej po 1989 r. Ale czym jest ta Europa, do której Środkowoeuropejczycy myśleli, że wracają? Przecież jeśli przez Europę rozumieć Unię Europejską i projekt integracji europejskiej po 1945 r., to nie wracali do niej, ponieważ nigdy nie byli jej częścią. Innymi słowy, musi to być jakaś starsza idea Europy. Pytanie brzmi, czy jest to idea obywatelska, czy etniczno-kulturowa.

A jak pan sądzi?

Po trosze jedno i drugie. Dorastałem w Wielkiej Brytanii, ale spędziłem dużo czasu w Niemczech. Skłonność do wyobrażania sobie, że UE jest przeciwieństwem nacjonalizmu, jest tam silniejsza niż gdziekolwiek indziej. Wielu teoretyków kosmopolitycznej Europy to Niemcy, jak choćby Ulrich Beck i Jürgen Habermas. Nie sądzę, żeby to był przypadek. Nikt tak nie idealizuje UE jak Niemcy. Z oczywistych powodów: Niemcy mają katastrofalne doświadczenia z własnym państwem narodowym. Mamy więc tam do czynienia z demonizacją nacjonalizmu zamiast rozróżnienia między dobrym i złym nacjonalizmem.

Jak można to rozróżnić?

Mój ojciec jest Hindusem z pierwszego pokolenia, które dorastało w niepodległych Indiach. Wychowałem się na opowieściach o postępowym, antykolonialnym nacjonalizmie w wydaniu Jawaharlala Nehru, który był dość bliski nacjonalizmowi obywatelskiemu. Trudno mi więc odrzucać nacjonalizm jako taki. Moim zdaniem w demonizowaniu nacjonalizmu w ogóle jest coś europocentrycznego. Patrzy się wyłącznie na własne doświadczenie, zwłaszcza w Niemczech, zamiast dostrzegać, że nacjonalizm może przybierać różne formy. Idealizacja UE jako projektu kosmopolitycznego jest więc przeciwieństwem demonizacji nacjonalizmu.

Ale wróćmy do Schengen.

Myślę, że to bardzo dobry przykład. Jeśli jesteś Niemcem, możesz sobie wyobrażać, że jesteś przeciwny granicom jako takim – Angela Merkel zwykła tak mówić. Jednak w rzeczywistości, jeśli spojrzysz na to z niemieckiej perspektywy, to Schengen doprowadziło jedynie do przesunięcia granic dalej od Niemiec. Nie chodziło o to, żeby je znieść, tylko żeby je odsunąć. Niemcy mogli sobie wyobrażać, że nie mają granic, ale jeśli jesteś Polakiem, Włochem lub Grekiem, to wiesz, że granice nadal istnieją. Niemcy zaczynają się niepokoić dopiero wtedy, gdy zaczyna się przywracać granice wewnętrzne w UE.

Ponieważ zewnętrzne granice UE już ich nie chronią? To jest powód wzrostu popularności AfD i skrajnej prawicy europejskiej?

Tutaj sprawy się komplikują. AfD jest pod wieloma względami nietypowa

Hans Kundnani (ur. 1972 r.) – profesor nadzwyczajny w Center for European and Mediterranean Studies na Uniwersytecie Nowojorskim. Wcześniej był dyrektorem programu europejskiego w Chatham House w Londynie i dyrektorem ds. badań w European Council on Foreign Relations. Autor kilku książek, m.in. „The Paradox of German Power" (Paradoks niemieckiej potęgi, 2014). Studiował germanistykę i filozofię na Uniwersytecie Oksfordzkim oraz dziennikarstwo na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku.

w porównaniu z innymi skrajnie prawicowymi partiami w Europie, takimi jak Bracia Włosi Giorgii Meloni czy nawet Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen. Te dwie partie starają się sprawiać wrażenie bardziej umiarkowanych. Złagodziły swój eurosceptycyzm. Jest to po części następstwo brexitu, ale widać w tym również zabieg taktyczny. Wysyłają wiadomość do Brukseli, że w sumie nie mają nic przeciwko UE, są gotowe do współpracy. Gdy tylko Meloni została premierem, powiedziała, że nie będzie stwarzać problemów, np. w sprawie ewentualnej reformy strefy euro. A zaraz potem dodała, że jest proukraińska.

Z AfD jest dokładnie odwrotnie. Ta partia staje się coraz bardziej ekstremistyczna i eurosceptyczna. A mimo to, co niezwykłe, jest coraz bardziej popularna. Wiele osób długo chciało wierzyć, że Niemcy są europejskim wyjątkiem. Że ze względu na swoją historię są odporne na problem skrajnej prawicy. Teraz wiemy, że to nieprawda.

Jak pan to tłumaczy?

To jest proces ogólnoeuropejski. Granice między centroprawicą i skrajną prawicą stopniowo się zacierają, zwłaszcza w kwestiach związanych z imigracją. ▶

▶ Przypomnijmy sobie kryzys uchodźczy z 2015 r., kiedy to mówiono, że trwa batalia między Merkel, uosobieniem liberalnej demokracji, a Orbánem, widmem demokracji nieliberalnej. W rzeczywistości oboje należeli do Europejskiej Partii Ludowej.

A co pan sądzi o decyzji Merkel z 2015 r., żeby otworzyć granice Niemiec i przyjąć milion uchodźców?

Nic takiego nie miało miejsca.

Jak to?

To prawda, że ponad milion osób ubiegających się o azyl przybyło do Niemiec. Ale ten frazes, powtarzany w kółko w „New York Timesie", „Financial Timesie" i innych mediach, że Niemcy „otworzyły swoje granice", jest po prostu nieprawdziwy. Merkel nigdy nie podjęła decyzji o przyjęciu miliona uchodźców. W sierpniu 2015 r. Niemcy zdały sobie sprawę, że milion ludzi przyjedzie do nich tak czy inaczej.

Nawet decyzja o zawieszeniu umowy dublińskiej dla Syryjczyków we wrześniu 2015 r. nie została podjęta przez Merkel, lecz przez urzędnika niższego szczebla, który samowolnie zatweetował, że porozumienie dublińskie akurat dla nich zostanie zawieszone. A potem kilka tysięcy Syryjczyków utknęło na dworcu kolejowym w Budapeszcie. Orbán postanowił wysłać ich do Niemiec, dokąd i tak chcieli się dostać. Merkel nie mogła ich odesłać. Technicznie było to możliwe, ale politycznie wykluczone.

Dlaczego?

Niech pan sobie wyobrazi, jak te transporty wyglądałyby w telewizji. To byłaby katastrofa dla wizerunku Niemiec na całym świecie. A trzeba pamiętać, że w 2015 r. nastąpiła nowa odsłona greckiego kryzysu zadłużenia – i w związku z tym ogromna krytyka wylewała się pod adresem Niemiec. Merkel doskonale zdawała sobie z tego sprawę. I udało jej się przekonać opinię publiczną, że w 2015 r. zajęła stanowisko, jakie podyktowało jej sumienie, a nie rzeczywistość. Ale nie sądzę, by tak było. Ostatecznie kanclerz działała ręka w rękę z Orbánem. Spór między nimi dotyczył jednej bardzo konkretnej kwestii – relokacji uchodźców w UE. Byli jednak całkowicie zgodni co do tego, że trzeba powstrzymać ten napływ.

I w tym momencie do gry weszła Turcja.

Dwie decyzje, które zatrzymały napływ uchodźców, to umowa UE–Turcja i zamknięcie szlaku bałkańskiego. Umowa to dzieło Merkel, jej rola w zamknięciu szlaku bałkańskiego jest mniej jasna. Niemiecki dziennikarz Robin Alexander sugeruje, że w rzeczywistości Merkel zachęcała szefów rządów państw południowo-wschodniej Europy, w tym Orbána, do zamknięcia granic. Cokolwiek wydarzyło się w 2015 r., Merkel chciała zatrzymać napływ imigrantów. Jeśli zaś chodzi o wpływ, jaki na społeczeństwo niemieckie miał kryzys uchodźczy spowodowany przez 1,1 mln niebiałych ludzi, głównie z Syrii i Afganistanu, warto porównać go z napływem uchodźców z Ukrainy w 2022 r. i później. Liczby są podobne.

Albo większe.

Tak. Oczywiście skrajnym przypadkiem jest Polska, która nie chciała żadnych niebiałych uchodźców, za to była niezwykle hojna wobec Ukraińców. Jednak Niemcy wraz z resztą UE również były dla nich szczodre. Otóż niezwykłe jest to, że Niemcy poradziły sobie z tym bez żadnego poczucia kryzysu. Najwyraźniej więc nie ma problemu, gdy przyjeżdża 1,5 mln białych ludzi z Ukrainy. Problem jest wtedy, gdy przyjeżdża 1,1 mln ludzi, którzy nie są biali. W dużej mierze jest to więc kryzys wyobrażony, związany raczej z kwestiami tożsamościowymi.

To dobry przykład, bo z drugiej strony wielu zachodnich wyborców ma silne poczucie rozdźwięku między ich doświadczeniem a tym, co mówią im media głównego nurtu.

Ten rozdźwięk było doskonale widać podczas kampanii przed referendum brexitowym. Anand Menon, szef londyńskiego think tanku UK in a Changing Europe, przemawiał wówczas w północno-wschodniej Anglii – to jeden z tych zaniedbanych, postindustrialnych obszarów. Wyjaśniał, dlaczego PKB Wielkiej Brytanii skurczy się, jeśli dojdzie do brexitu. I ktoś z publiczności wstał i powiedział: „To wasz PKB, a nie mój".

To była ta rozbieżność, o której pan mówi, między opinią publiczną a elitami. Przez ostatnie 30 lub 40 lat mieliśmy skłonność do myślenia o polityce gospodarczej w stylu: czy jest to dobre dla naszego PKB jako całości? Ten człowiek słusznie powiedział, że musimy również pomyśleć o redystrybucji. Jaki jest sens zwiększania naszego PKB jako całości, jeśli nierówności rosną masowo, co z pewnością wystąpiło w Wielkiej Brytanii, ale także wszędzie na Zachodzie? Nie wystarczy powiedzieć, że powiększamy tort. Chodzi o to, jak ten tort jest dzielony.

Wróćmy do Niemiec. W 2011 r. polski minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski powiedział w Berlinie, że nie boi się Niemiec, które są aktywne, tylko Niemiec, które nie chcą się angażować w Europie. Tymczasem Niemcy w ciągu ostatnich 10 lat wydają się zainteresowane nie tyle Europą, ile raczej obroną politycznego i gospodarczego status quo.

Sikorski domagał się niemieckiego przywództwa. Moim zdaniem nikt już nie chce niemieckiego przywództwa – a już na pewno nie w Europie Środkowej i Wschodniej. Nikt już nie wzywa Niemiec do przewodzenia, wszyscy chcą tylko, żeby Niemcy robiły to, co trzeba. Mam tu na myśli zwłaszcza kwestię wojny w Ukrainie. Z pewnością w krajach Europy Środkowej i Wschodniej panuje przekonanie, że nie należy dłużej ustępować Francuzom i Niemcom w sposób, w jaki robiono to wcześniej: „Nie chcemy was naśladować. Jeśli już, to chcemy, żebyście wy naśladowali nas". I tu pojawia się pytanie: czy to Niemcy stały się bardziej samolubne, czy też sytuacja zmieniła się tak, że to, co leży w interesie Niemiec, nie pokrywa się już z interesem całej Europy?

Od zakończenia zimnej wojny do 2016 r. panowała pewnego rodzaju harmonia między tym, co działało na rzecz Niemiec, a tym, co było korzystne dla reszty Europy. Najlepszy przykład to euro. Jednak od 2010 r. jest to bardziej gra o sumie zerowej między niemieckim interesem narodowym a interesem europejskim. Niemcy nie chcą już np. dalszego pogłębiania integracji europejskiej.

Sprawa Schengen, od której zaczęliśmy rozmowę, jest tego przykładem?

Tak. Szereg orzeczeń niemieckiego Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, począwszy od traktatu lizbońskiego, a nawet traktatu z Maastricht, wskazywało, że nie można pójść dalej w kwestii integracji europejskiej. Niemcy nie chcą się cofać, ale też nie chcą iść naprzód. Z ich perspektywy każda z tych dwóch możliwości byłaby gorsza od status quo. W odniesieniu do strefy euro oznacza to niekompletną unię walutową – lub raczej samą tylko unię walutową, bez fiskalnej czy politycznej. Niemiecki socjolog Claus Offe napisał książkę „Europa in der Falle" (Europa w pułapce), w której argumentował, że UE utknęła, ponieważ nie może pójść naprzód i nie może się cofnąć. Moim zdaniem dzieje się tak głównie dlatego, że ta sytuacja jest wygodna dla Niemiec.

ROZMAWIAŁ ALEKSANDER KACZOROWSKI

Księżna Gloria w latach 80. i obecnie

© RON GALELLA COLLECTION/GETTY IMAGES, GISELA SCHOBER/GETTY IMAGES

Księżna Słońce

Niegdyś wybuchowa gwiazda nowojorskiej socjety Gloria von Thurn und Taxis stała się arcykatolicką patronką skrajnej prawicy po obu stronach Atlantyku. I polityczną matką chrzestną J.D. Vance'a.

ŁUKASZ WÓJCIK

Spodnie Comme des Garçons, dizajnerskie okulary, buty od Hermèsa, żakiet Yves Saint Laurent. I różaniec od znajomych zakonnic. Wszystko to przewrotnie współgra w średniowiecznych murach jej zamku (dużo większego niż pałac Buckingham), gdzie księżna Gloria von Thurn und Taxis gości skrajnie prawicowych polityków z całego świata, prowadzi darmową jadłodajnię dla najuboższych i promuje wywrotową ideę, która wkrótce może zagościć w Białym Domu.

Księżna Gloria to według niemieckiej prasy jedna z najpotężniejszych kobiet w zachodniej polityce. Przyjaciółka Victora Orbána, Steve'a Bannona i Clintonów. A dziś przede wszystkim polityczna matka chrzestna J.D. Vance'a, kandydata na wiceprezydenta USA u boku Donalda Trumpa.

Dzięki swojej fortunie, znajomościom wśród polityków, wpływom w Watykanie i osobistej charyzmie nieco ukradkiem koordynuje przygotowania do – jak sama mówi – „rewolucji kulturowo-politycznej", która ma wynieść do władzy skrajną prawicę po obu stronach Atlantyku. A fundamentem tej rewolucji, jej moralnym trzonem, ma być radykalnie rozumiany katolicyzm w wersji anty-Franciszkowej.

Do takiego katolicyzmu księżna doszła krętą drogą. Urodzona w 1960 r. jako Gloria von Schönburg-Glauchau, jest potomkinią księcia Świętego Cesarstwa Rzymskiego oraz węgierskiej szlachcianki. Jej rodzina przed wojną miała siedzibę na wschodzie Niemiec w Saksonii. Po wojnie władze komunistyczne przejęły ten majątek, a jej ojciec musiał uciekać na Zachód. Zanim rozpoczęła swoje burzliwe życie w Nowym Jorku, niemal każde lato spędzała w Bawarii ze swoją babką cioteczną – zakonnicą.

Potem nastąpił pierwszy zwrot w jej życiu. Młoda Gloria zachłysnęła się Nowym Jorkiem, gdzie szybko zyskała celebrycką sławę jako Księżna TNT (inna nazwa trotylu) – ze względu na wybuchowość (charakteru), ekspresyjność (ubiorów) i punkowe fryzury. W połowie lat 80. trudno było jej nie spotkać na największych imprezach w mieście, często w towarzystwie zabronionych używek. Znała wszystkich – Andy'ego Warhola, Prince'a, brytyjską księżną Dianę. Gdy raz gościła na przyjęciu w amerykańskiej ambasadzie w Bonn, powiedziała przy ▶

▶ dziennikarzach do jednego z żołnierzy chroniących placówkę: „Kręci mnie sposób, w jaki miętolisz swój karabin".

W 1980 r. 20-letnia księżna wyszła za 53-letniego księcia Johannesa von Thurn und Taxis, którego odnotowani przodkowie zaczynali się w XII w., a stan konta (wówczas) przekraczał 3 mld dol. Pochodząca z Lotaryngii rodzina Johannesa dorobiła się na poczcie – miała wyłączność na usługi kurierskie na dworze Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Książę Johannes poślubił Glorię zapewne z miłości. Ale być może również dlatego, że ojciec postawił mu warunek: dostanie spadek tylko wtedy, gdy ożeni się z niemiecką księżną równego rodu i ta zapewni mu syna. Albert, ich pierwszy chłopiec, urodził się dwa miesiące przed śmiercią ojca Johannesa, księcia Karola Augusta. I tak warunek został spełniony.

Gdy Johannes zmarł w 1990 r., księżna Gloria była już w metaforycznej drodze do Damaszku. Ponownie odnalazła Jezusa, przeprowadziła się na stałe do odziedziczonego po mężu 500-pokojowego zamku w bawarskim Regensburgu. Jak się okazało, odziedziczyła i długi wynoszące ponad 300 mln dol. Jak napisał magazyn „Vogue", musiała wziąć się za zarządzanie kryzysowe: zapisała się na studia ekonomiczne, zaczęła sprzedawać „rodzinne srebra", w tym biżuterię, sztućce i stare wina. Udostępniła część zamku zwiedzającym, wynajmowała sale na koncerty i konferencje. Przede wszystkim jednak radykalnie zmieniła swoje podejście do religii i polityki.

2 Dziś w niemieckich kręgach politycznych nazywa się ją Księżną Słońce – stała się patronką najróżniejszych konserwatywnych inicjatyw, a jej zamczysko zyskało miano „schroniska" dla mocno prawicowych renegatów. Takich jak choćby Steve Bannon, który zanim trafił do więzienia, był prawą ręką Trumpa, a także mózgiem amerykańskiego ruchu tzw. konserwatywnej odnowy.

Bannon, jeszcze na wolności, chciał we Włoszech w opuszczonym klasztorze zakładać „szkołę gladiatorów", przyszłych liderów skrajnej prawicy w Ameryce i Europie. Z klasztorem się nie udało, ale niemiecka prasa donosiła, że zaproszenie dla „gladiatorów" wystawiła księżna Gloria, choć po uwięzieniu Bannona wszystkiemu zaprzeczyła. Wciąż jest jednak pod wrażeniem jego politycznych talentów. W wywiadzie dla wiedeńskiego „Kuriera" opowiedziała, jak zaciągnęła go do kościoła: „Chciałam, aby najpierw uporządkował swoją duszę". W tym samym czasie amerykańska prasa spekulowała o „tajnej konwersji" Bannona na katolicyzm.

Ostatnio księżna Gloria znów przyciągnęła uwagę amerykańskich mediów, gdy okazało się, że Samuel Alito, arcykonserwatywny sędzia amerykańskiego Sądu Najwyższego, w swoim zeznaniu podarunkowym wpisał bilety o wartości 900 dol., które dostał od księżnej na organizowany przez nią festiwal muzyczny. Po krótkim śledztwie okazało się, że sędzia i jego żona są w bliskich relacjach towarzyskich z księżną i ostatnio widzieli się na otwarciu festiwalu w Bayreuth, czyli tradycyjnym zlocie wielbicieli Ryszarda Wagnera. Przypadek?

Wielbiciele Wagnera i inni przedstawiciele skrajnej niemieckiej prawicy to ulubieńcy księżnej. Dwa lata temu na swoim zamku zorganizowała przyjęcie połączone ze zbiórką pieniędzy na różne konserwatywne inicjatywy, również polityczne. Gościem był m.in. Hans-Georg Maassen, były szef niemieckiego kontrwywiadu, a obecnie przewodniczący skrajnie prawicowej partii Werteunion. Pod zamkiem przeciwko Maassenowi protestowali lewicowi aktywiści, a ze sponsorowania imprez księżnej wycofał się koncern BMW.

Tego lata na swój doroczny festiwal w Regensburgu zaprosiła Maximiliana Kraha, prominentnego działacza AfD, którego nawet członkowie tej partii uważają za zbyt radykalnego. W maju stracił funkcje partyjne po tym, jak w wywiadzie dla włoskiej „La Repubblica" przekonywał, że nie wszyscy esesmani byli złymi ludźmi. U księżnej pojawił się na premierze „Carmen" i usiadł obok niej w pierwszym rzędzie. Gdy część gości w proteście przeciwko Krahowi zrezygnowała z udziału w festiwalu, księżna przekonywała, że to jej „prywatny, a nie polityczny przyjaciel".

3 Poglądy księżnej trudno podzielić na te prywatne i polityczne, szczególnie wobec takich zagadnień jak prokreacja. Poza tym, że popiera bicie dzieci oraz twierdzi, że koronawirus to sprawka diabła, w przeszłości zdarzało jej się obwiniać „naturę Afrykanów" za rozprzestrzenianie się AIDS. W wywiadzie dla niemieckiej telewizji przekonywała, że dzieje się tak dlatego, że „Afrykanie lubią dużo kopulować". Potem się tłumaczyła, że to z powodu wysokich temperatur w Afryce.

W kwietniu tego roku w przemówieniu zatytułowanym „Zagrożenia dla wiary i rodziny" księżna narzekała, że dziś w Europie „już tylko homoseksualiści chcą zawierać związki małżeńskie", podczas gdy niezamężne pary heteroseksualne decydują się na zwierzęta domowe zamiast dzieci. Uważa też, że homoseksualizm to grzech (oskarżana o homofobię, odpowiada popularnym argumentem, że przecież ma znajomych gejów), a aborcja to morderstwo.

Od lat ostro krytykuje opłacanie aborcji z państwowych budżetów, nazywając to „finansowaniem zabijania naszych dzieci". „A czy nie powinniśmy się rozmnażać?" – pytała retorycznie podczas kwietniowego wystąpienia. A potem zaczęła chwalić Węgry za ich prorodzinną politykę – premier Orbán jest jej dobrym znajomym, wielokrotnym gościem na zamku. Inny znajomy, wspomniany sędzia Alito, w imieniu większości sędziów SN napisał opinię do wyroku de facto obalającego federalne prawo do aborcji w USA, za co księżna nazwała go bohaterem.

Z samym Trumpem ma problem. Bo z jednej strony obalenie federalnego prawa do aborcji jest w dużej mierze jego zasługą z powodu konserwatywnych sędziów, których wysłał do SN. Z drugiej – i tego księżna nie może mu wybaczyć – Trump zapowiedział, że jeśli wróci do Białego Domu, wprowadzi bezpłatne zabiegi in vitro dla wszystkich chętnych.

Mimo to księżna nie ma wątpliwości, kto powinien zostać następnym prezydentem USA. Niedawno ostrzegała, że jeśli Trump nie zostanie ponownie wybrany, „oni przyjdą po nas", oraz że gra toczy się tak naprawdę o wolność religijną. Sugerowała też, że Joe Biden i Nancy Pelosi wcale nie są prawdziwymi katolikami, choć za takich się uważają.

4 Jako „integralna katoliczka" nie znosi obecnego papieża Franciszka, była natomiast bliską znajomą Benedykta XVI, jeszcze zanim ten przeniósł się do Watykanu. Zresztą jest w przyjacielskich relacjach z połową niemieckiego episkopatu – tą połową, która czuje się prześladowana za swoje konserwatywne poglądy. Kilka lat temu stanęła w obronie swojego przyjaciela, wpływowego niemieckiego kardynała Gerharda Ludwiga Müllera, gdy ten został oskarżony o krycie duchownych podejrzewanych o przestępstwa seksualne w chórze kościelnym w jej rodzinnym Regensburgu.

Zależy jednak, na kogo padają oskarżenia. W zeszłym roku jeden z bliskich jej duchownych, arcybiskup Carlo Maria Viganò, opublikował głośny list oskarżający z kolei Franciszka o krycie księży przestępców seksualnych. Księżna nazwała Viganò sygnalistą (*whistle-blower*; Niemcy nie mają jeszcze swojego określenia na tę

postawę), a jego list nazwała „ostatnią pobudką dla Kościoła” (Viganò miał się nawet ukrywać w jej zamku).

Jak pisał w zeszłym roku dziennik „Frankfurter Rundschau”, księżna Gloria przy pomocy takich ludzi jak Müller i Viganò zorganizowała coś w rodzaju wewnętrznego katolickiego ruchu oporu przeciwko papieżowi Franciszkowi. W jej rzymskim pałacu (ma ich w sumie pięć w całej Europie), kilka przecznic od Watykanu, spotykają się – niemal w konspiracji – konserwatywni kardynałowie z całego świata. Zdaniem „Frankfurter Rundschau” ich strategia ma polegać na wykorzystaniu kolejnych kryzysów wokół przestępstw seksualnych popełnianych przez duchownych do obalenia Franciszka. Sama księżna w jednym z wywiadów dla niemieckiej prasy powiedziała, że Kościół Franciszka popełnia błąd, skupiając się na inkluzji, na „letnich wiernych”, na podążaniu za cywilizacyjnymi trendami itd. A jej zdaniem powinien trzymać się przestrzegania swojej doktryny i ponownie przejść duchową odnowę, „tak jak ona sama po śmierci męża”.

Księżna z księżmi podczas jej dorocznego festiwalu w Regensburgu

5 Księżna Gloria należy do grona „nowo narodzonych” konserwatywnych katolików, do którego w ostatnich latach dołączyła m.in. prawicowa aktywistka Ayaan Hirsi Ali. Postawa tej ostatniej jest bardzo charakterystyczna dla tego grona. Na portalu UnHerd w głośnym zeszłorocznym eseju pt. „Dlaczego jestem chrześcijanką” Hirsi Ali napisała m.in.: „ateizm jest zbyt słabą i dzielącą doktryną, by zwalczać współczesne zagrożenia”. Dlatego wzywa do „podtrzymywania tradycji judeochrześcijańskiej”, bo tylko ona jest w stanie ocalić naszą cywilizację.

W ten właśnie nurt wpisuje się ochrzczony pięć lat temu w Kościele katolickim J.D. Vance. Uczęszcza wyłącznie na msze łacińskie, sprzeciwia się promocji homoseksualizmu, cytuje św. Augustyna i traktuje katolicyzm jako polityczny oręż. Swój esej programowy z 2020 r. zatytułował „Jak przyłączyłem się do ruchu oporu”. Vance opisuje w nim „dziwne zbiegi okoliczności”, które odegrały rolę w jego nawróceniu. „Znaczące jest to, że poczułem dotyk Boga” – pisze, raczej nieprzypadkowo nawiązując do cytatu z „Pulp Fiction”. A potem roztacza wizję konserwatywnego katolicyzmu jako „nowej kontrkultury sprzeciwu”.

To wszystko określenia żywcem przejęte od księżnej Glorii, która wraz z Samuelem Alito i znanym w prawicowych kręgach księdzem intelektualistą Dominikiem Legge ma odpowiadać za nawrócenie Vance’a, o czym sam kandydat mówi w wywiadach. Tak samo jak za podsunięcie go Trumpowi na wiceprezydenta. A może i na jego następcę…

6 Czy ta operacja może się powieść? Europejczycy często nie chcą już słuchać o religii w amerykańskiej polityce – *God Bless America*… itd. Ale takie szufladkowanie Vance’a jest równoznaczne z przeoczeniem 20 lat przemian społecznych w Ameryce, która w tym czasie zaszła bardzo daleko na drodze ku sekularyzacji życia publicznego. Sam Vance jest przedstawicielem pierwszego pokolenia Amerykanów, dla którego wizyta w kościele nie jest normą.

Dla księżnej Glorii ta kontrkulturowa wiara Vance’a jest projekcją tego, jaką rolę może odegrać chrześcijaństwo w przyszłości Zachodu. Pośród apatii chrześcijańskiego mainstreamu w takich krajach jak Niemcy czy USA konserwatywny katolicyzm jej zdaniem wyróżnia się wyjątkową żywotnością polityczną.

To jest zresztą element opowieści, którą konserwatywni katolicy i duchowni z otoczenia księżnej snują już od lat. Podczas gdy liberalne zgromadzenia się kurczą, tradycyjne Kościoły utrzymują się lub rosną. Niedawny raport dotyczący następnego pokolenia księży katolickich wykazał ich wyraźnie konserwatywne poglądy. Postępowy katolicyzm tańców i tamburynów przed ołtarzami to domena starszego pokolenia duchownych. Ci młodsi, konserwatywni, idą w stronę welonów, łaciny i wszechobecnych relikwii.

I to przyciąga. Niedawno „New York Times” napisał, że Kościół katolicki stał się „najgorętszym klubem w Nowym Jorku”. Właśnie w Ameryce religioznawcy wskazują na wyraźny wzrost odsetka katolików wśród młodych przed trzydziestką. Nie są to wielkie liczby, nie oznacza to jeszcze religijnej rewolucji – msze łacińskie to wciąż nisza, ateizacja zachodnich społeczeństw będzie postępować.

Ale to właśnie w takim otoczeniu konserwatywny katolicyzm w wydaniu księżnej Glorii i J.D. Vance’a traci walory etyczne czy po prostu duchowe, a nabiera wyraźnie tożsamościowego i politycznego wymiaru. Jego atrakcyjność nie polega już na tym, że jest przepustką do politycznego mainstreamu, ale na tym, że oferuje ekskluzywną tożsamość – niezbędną w dobie politycznej polaryzacji.

ŁUKASZ WÓJCIK

© ISA FOLTIN/GETTY IMAGES

Bóbr budowniczy

Bobry przegryzły się na czołówki gazet. Politycy oskarżają je o niszczenie wałów powodziowych, a biolodzy biorą w żarliwą obronę. Te niedoceniane stworzenia prowadzą bezpłatną działalność retencyjną na ogólnokrajową skalę.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Na początku było kilka par. I wielka radość, że *Castor fiber*, bóbr europejski, zasiedla przyrodniczą enklawę na obrzeżach Bieszczadzkiego Parku Narodowego (BdPN). Dawniej tym obszarem zarządzały Lasy Państwowe, ale nikomu nie przychodziło do głowy, żeby spróbować – po dekadach nieobecności – sprowadzić bobry w góry. Zajmowano się niedźwiedziami i wilkami, a o bobrach jakby zapomniano.

Przypomniał sobie o nich dopiero Antoni Derwich, leśnik z BdPN. Głównie dzięki niemu gryzonie mogły zasiedlić niewielki obszar przy granicy z Ukrainą. Na potokach powstały żeremie bobrowe, a okoliczne miejsca, do tej pory zwykle suche, zamieniły się w rozlewiska. Dziś dolina górnego Sanu usiana jest takimi jeziorkami, a bobry zasiedlają także przygraniczne obszary Ukrainy (w niektórych miejscach pracownicy parku zbudowali nawet platformy widokowe).

Zwierzęta te zaledwie w ciągu kilku lat rozprzestrzeniły się na niżej położone tereny. W kilku wsiach Parku Krajobrazowego Doliny Sanu zaanektowały duże powierzchnie gruntów. Dzisiaj, wędrując chociażby przez Tworylne, wioskę od akcji „Wisła" zupełnie opustoszałą, ale odwiedzaną licznie przez turystów, trzeba omijać główny trakt szerokim łukiem. Niektórzy skracają sobie drogę do zabytkowej dzwonnicy, idąc przez wąską groblę, ale ryzykują przy tym kąpiel w rozlewisku, miejscami dość głębokim. Także w wielu innych niezamieszkanych przez ludzi wioskach, np. w Caryńskiem, Krywce czy Paniszczowie, rodziny bobrów mają się nieźle. Znalazły tam sprzyjające warunki do rozrodu i spokojnego życia, a niektóre ich budowle są tak okazałe, że wzbudzają podziw.

Co dobrze wiedzieć o bobrze

Rodzina. Samice dają jeden miot rocznie. W Polsce są to zwykle dwa młode. Już w pierwszych dniach życia widzą i pływają. W wychowaniu pomaga starsze rodzeństwo. Bobry żyją do 30 lat, łączą się w pary na całe życie. Typowa rodzina składa się z rozmnażającej się pary dorosłych, ich młodych tegorocznych i z roku poprzedniego. Średnia liczebność to cztery osobniki. W trzecim roku życia, na wiosnę, młode bobry zwykle opuszczają rodzinne gniazdo w poszukiwaniu partnera i miejsca do zasiedlenia.

Tryb życia. Bobry powalają drzewa, aby dostać się do gałęzi o najcieńszej korze i o największej wartości energetycznej – oraz zdobyć materiał do budowy tam i domków. Średnica ścinanych drzew wynosi od kilkunastu centymetrów do nawet jednego metra. Zazwyczaj cienkie drzewo jest powalane w ciągu jednej nocy, do grubszych bobry powracają przez kilka nocy. Mogą budować tamy na wysokość trzech metrów. Wszystko to w celu zwiększenia bezpieczeństwa własnego i potomstwa. Zimy nie przesypiają – korzystają wtedy z gałęzi nagromadzonych w stawie, ogryzając z nich korę. Bobry to weganie – w lecie jedzą rośliny zielne, a późną jesienią, zimą i wczesną wiosną korę z drzew liściastych, zwłaszcza wierzb i osik. W menu bobrów jest ponad 200 gatunków roślin zielnych i 100 drzewiastych. Nocny tryb życia spowodował, że najlepiej rozwinięte zmysły bobra to węch, słuch i dotyk. Węch pozwala na doskonałą komunikację. Zmysł dotyku dobrze wyczuwa kierunek i siłę prądu wody, dzięki czemu zwierzę może w porę zatrzymać wypływ wody z uszkodzonej tamy.

Występowanie. Dawniej bobry żyły na przeważającym obszarze Europy i Azji, z czasem wyginęły w wielu regionach. Przyczyniły się do tego głównie intensywne polowania. Obecnie zwierzęta te mają swoje siedliska w Hiszpanii, we Francji, na Bałkanach, w Europie Środkowo-Wschodniej, w Skandynawii, w Rosji, w Mongolii. Bobry z Polski, gdzie znacznie ich przybyło, zasiedlono m.in. w Niemczech, Austrii, Holandii i Anglii. W większości krajów europejskich *Castor fiber* podlega ochronie. Według danych z 2023 r. w Polsce żyje ok. 150 tys. osobników.

Niestety gryzonie te bywają przyczyną konfliktów z człowiekiem. Zwłaszcza w rejonach, gdzie żyją na potoku płynącym blisko domów i budynków gospodarczych. Niejednokrotnie spiętrzone tamami wody wdzierają się na podwórza. Jeszcze większe kłopoty miewają drogowcy. Gryzonie zatykają ziemią, gałęziami i pniakami przepusty drogowe. Przywrócenie drożności nie jest bardzo kosztowne, ale uciążliwe. Tak samo jak rozbieranie żeremi i tam w miejscach, gdzie spiętrzone wody zagrażają gospodarstwom.

O kompromisowe rozwiązanie niełatwo, ale jest możliwe, o czym przekonuje dr Andrzej Czech, biolog, który od lat bada bobry i ma je nawet przy swoim wiejskim domu. Chwali sobie to sąsiedztwo. – *W moim ranczu w Bieszczadach wykorzystuję bobry do podniesienia poziomu wód gruntowych, co chroni prywatny rezerwat ze storczykami przed wysychaniem i ściąga chronione ptaki. Ponadto zapewnia mi dotacje z Unii Europejskiej.*

Żeby ratować polską populację bobra przed wyginięciem, w latach 70. XX w. przeprowadzono zakończoną sukcesem reintrodukcję. Widmo zagłady oddalono, a z czasem bobry pojawiły się prawie w całym kraju. – *Przyczyniła się do tego ich wysoka inteligencja oraz zdolność do zamieszkiwania różnych miejsc, gdzie tylko jest woda, spokój i wierzby* – tłumaczy dr Czech.

Można wykorzystać gryzonia ku własnej uciesze i korzyści materialnej. – *Jeżeli mamy gest i możliwość, oddalmy się z naszymi inwestycjami od brzegu, żeby zostawić bobrom trochę przestrzeni. Szczególnie cenne drzewa możemy łatwo chronić, a nawet wyregulować poziom wody w stawach. Gryzonie odwdzięczą się nam budową pięknych stawów tętniących życiem i przywrócą normalną dynamikę brzegom rzek.*

Ogon dla króla

Bóbr europejski jest gatunkiem częściowo chronionym. Obowiązuje wobec niego szereg zakazów, np. umyślnego zabijania. Można na niego polować za zgodą Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska z braku rozwiązań alternatywnych, o ile polowania nie zaburzą właściwego stanu ochrony gatunku *Castor fiber*. Łowy te nie cieszą się wielkim zainteresowaniem myśliwych, bo wymagają cierpliwości i czasu. Gryzoń ten jest aktywny głównie nocą, za dnia zaś często przebywa w swoim ziemno-wodnym domu.

Dziś trofeum z bobra nie jest zbyt atrakcyjne, ale w dawnych czasach bardzo sobie je ceniono. Z futra szyto czapy, a ogon był takim przysmakiem, że gościł na królewskich stołach. Polowano często, więc bóbr stał się rzadki już w średniowieczu. Jak mówi dr Czech, nasi protoplaści wierzyli, że czapy z jego futra poprawiają pamięć, a tzw. strój bobrowy – wydzielina służąca tym zwierzakom do komunikacji – to panaceum na wszystkie choroby. – *Produkt uboczny działalności bobrów – żyzne polany w pobliżu wody powstałe w wyniku wypełnienia starych stawów bobrowych osadami niesionymi przez rzekę – były wymarzonym miejscem do wypasania krów, siania prosa i sadowienia siedzib ludzkich. Wynik starcia „bóbr kontra kmiecie" był łatwy do przewidzenia.*

Bobry wpływają na środowisko w tak dużym stopniu jak żadne inne zwierzę. Są przy tym jednak przede wszystkim pożyteczne. Ich działalność jest podstawą wielu ekosystemów. Ma również wpływ na gospodarkę człowieka, a stawy bobrowe urozmaicają krajobraz i przyciągają turystów. Ci z Europy Zachodniej gotowi są sporo płacić za obserwację bobrów w ich naturalnym środowisku.

Tamy tu i tam

Bobry bywają kłopotliwe, ale dla rolników czy samorządów. Przed kilku laty w Chmielu w powiecie bieszczadzkim sieć tuneli wydrążona przez te zwierzęta spowodowała zapadnięcie się fragmentu szosy, a w Chwaniowie woda ze spiętrzonego potoku zalała drogę tak, że przestała być przejezdna. Drogowcy nierzadko wracają w te same miejsca. Powód? Bobry nie lubią się przenosić i od nowa podejmują budowę tam i żeremi wielokrotnie (jak postępować w tego typu sytuacjach podpowiadają Andrzej Czech i Andrzej Jermaczek w poradniku „Jak ograniczać konflikty między bobrami a człowiekiem?").

Według Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Rzeszowie do 20 sierpnia 2024 r. w Podkarpackiem zanotowano 61 szkód wyrządzonych przez bobry. Straty wyniosły 80 tys. zł. W 2023 r. szkód było 138 na kwotę 165 tys. zł, podobnie rok wcześniej – 134 szkody oszacowano na 174 tys. zł. – *Większość dotyczyła i nadal dotyczy uszkodzeń drzew i zalewania upraw* – informuje Łukasz Lis, rzecznik podkarpackiej RDOŚ. ▶

© OLIVIER GUTFREUND/BIOS PHOTO/EAST NEWS

▶ Wcześniej problemy były większe. W 2020 r. Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Rzeszowie wydał zarządzenie uprawniające myśliwych do zabicia 2400 bobrów (z wyłączeniem rezerwatów przyrody, parków narodowych, ostoi zwierząt objętych ochroną gatunkową). Myśliwi mogli likwidować nie tylko pojedyncze napotkane osobniki *Castor fiber*, ale też całe rodziny. Chodziło o to, by zwierzęta nie rozprzestrzeniały się na sąsiednie obszary. Zarządzenie dotyczyło również umyślnego uszkadzania tam bobrowych w miejscach, w których podtapiają grunty leśne i rolne oraz powodują szkody w uprawach czy infrastrukturze technicznej. Odstrzelono sporo zwierząt, ale nie na tyle, by przestały sprawiać kłopoty. Znacznie więcej szkód było w minionych latach w Mazowieckiem. Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Warszawie w 2022 r. wypłacił ponad 16,1 mln zł, rozpatrując pozytywnie 1733 wnioski. W 2023 r. było to odpowiednio ponad 20,3 mln zł i 1866 wniosków. Najwięcej szkód wynikało z zalania lub podtopienia użytków rolnych (głównie łąk i pastwisk) oraz ubytków w gruncie (nory, zapadliska, naruszenie grobli stawowych).

– *Z dostępnych informacji oraz obserwacji naszych pracowników wynika, iż tendencja wzrostu populacji bobra europejskiego w województwie mazowieckim wciąż się utrzymuje* – informuje Agata Antonowicz, główny specjalista ds. komunikacji społecznej i kontaktów z mediami w warszawskiej RDOŚ. – *Nastąpiło przegęszczenie populacji. Objawia się ono zajmowaniem suboptymalnych siedlisk, dotychczas uważanych za nieodpowiednie dla egzystencji gatunku.* W opinii Antonowicz poważną kwestią w stolicy i regionie są szkody w infrastrukturze drogowej i w mieniu prywatnym (np. podkopy pod budynkami, drzewa przewrócone na ogrodzenia, domy, posesje). – *Mimo to wydaje się, że coraz więcej osób dostrzega też pozytywną rolę bobrów, których działalność przyczynia się do zwiększenia retencji wody.*

Stawy to podstawa

Bobry zmieniają kształt i charakter linii brzegowej cieków. Pojawiają się meandry, nurt staje się łagodniejszy, przybywa gatunków roślin, a tym samym polepszają się warunki życia szeregu zwierząt. „Obfitość cząstek organicznych sprzyja bezkręgowcom wodnym, które z kolei przyciągają ryby, dla których stare nory bobrowe stanowią dobre kryjówki, a głębsza woda przy tamie – idealne miejsce do bytowania. Stawy bobrowe tętnią życiem nie tylko w wodzie, ale też na lądzie, gdyż bagienne i podmokłe tereny z obfitą roślinnością i martwymi drzewami są doskonałym siedliskiem dla wielu gatunków ptaków, ssaków, płazów i gadów" – piszą przyrodnicy z WWF Polska.

W artykule zamieszczonym jeszcze w 2008 r. w „Rocznikach Bieszczadzkich", wydawnictwie Bieszczadzkiego Parku Narodowego, czytamy, że z przyrodniczego punktu widzenia wprowadzenie przed laty bobra europejskiego do potoków bieszczadzkich dało pozytywne skutki. „W wielu częściach Bieszczadów doszło w poprzednich latach do degradacji łąk i torfowisk w wyniku melioracji. Działalność bobrów przyczynia się do odbudowy tych środowisk, gdyż w zasiedlonych przez te zwierzęta miejscach wyraźnie wzrosła retencja wody. Wybudowane tamy i spiętrzenie wody przez bobry zasadniczo zmieniło charakter badanego potoku, tworząc nowe, niespotykane tu wcześniej środowisko wód stojących. Nastąpił istotny wzrost różnorodności biologicznej w całym potoku, co stwierdzono na przykładzie bezkręgowców wodnych".

Z wcześniejszych obserwacji innych naukowców wynika, że w dorzeczu górnego Sanu obecność bobrów przyczyniła się do powstania nowych siedlisk ptaków i płazów. „Tamy i stawy bobrowe wpłynęły również na ichtiofaunę. Na pojawienie się tego nowego elementu wyraźnie zareagowały populacje pstrąga potokowego i strzebli potokowej".

Znaczącą rolę bobrów w ekosystemie podkreślają też przyrodnicy z Tatrzańskiego Parku Narodowego (TPN). Jeszcze niewiele ponad dziesięć lat temu nie było tam pracowitych gryzoni prawie w ogóle, dzisiaj ich populacja rośnie w siłę. Turystom nie przeszkadza to wcale, a mieszkańcom regionu – coraz rzadziej. – *W ostatnich latach znacznie przybyło stanowisk tych zwierząt. Można je spotkać w Dolinie Rybiego Potoku, Dolinie Białki, Dolinie Chochołowskiej, Dolinie Kościeliskiej, a szczególnie w Dolinie Miętusiej, gdzie stworzyły cały system tam i rozlewisk* – mówi Jarosław Rabiasz z Zespołu Badań i Monitoringu TPN.

Jego zdaniem nie można mówić o szkodach powodowanych przez bobry, gdyż są naturalnym składnikiem przyrody tatrzańskiej. – *To jakby się zarzucało świstakom, że degradują stoki, bo kopią w nich nory. Na pewno bobry poprzez swoją działalność „inżynierską" przyczyniają się do zwiększonej retencyjności w terenie, uwilgotnienia niektórych obszarów. Te lokalne zmiany w środowisku wykorzystywane są przez inne gatunki zwierząt i roślin. Na przykład dzięki powstałym miejscom zalanym w Dolinie Miętusiej pojawiły się dogodne warunki do życia i rozmnażania się płazów. Ponadto bobry stanowią element łańcucha pokarmowego; są ofiarą dla dużych drapieżników, szczególnie rysia i wilka.*

Bóbr ofiarny

W opinii specjalistów z WFF Polska bobry są zwierzętami niedocenianymi, a przecież ich – bezpłatna! – działalność retencyjna dorównuje skalą ogólnokrajowym programom. W polskich rozlewiskach bobrowych gromadzone jest co najmniej kilkanaście milionów metrów sześciennych wody, co ma ogromne znaczenie dla gospodarki wodnej wielu dorzeczy. Wzrost poziomu wód gruntowych hamuje erozję gleb, a tamy bobrowe zmniejszają szczyt fali powodziowej. Na dnie utworzonych przez te gryzonie zbiorników osadzają się pożyteczne cząsteczki mineralne i organiczne, a pojawienie się wielu mikroorganizmów sprzyja oczyszczaniu się wody. Zamiast próbować tępić bobry, warto się z nimi zaprzyjaźnić.

Niedawno o bobrach mówił, podczas obrad sztabu kryzysowego w Głogowie, premier Donald Tusk. Odnosząc się m.in. do skarg samorządowców na te zwierzęta, stwierdził, że niekiedy trzeba wybierać między miłością do nich a bezpieczeństwem miast i wsi oraz stabilnością rozkopywanych przez te gryzonie wałów. Te słowa nie spodobały się przyrodnikom.

Cytowany już biolog dr Andrzej Czech komentuje: – *Twierdzenia premiera o przypisywaniu bobrom roli w powodziach są wymyśloną na gorąco piramidalną bzdurą.* Winni są raczej ludzie, bo to oni powinni konserwować wały powodziowe zgodnie z wytycznymi. Wkopywane w ziemię metalowe siatki znakomicie zabezpieczają te konstrukcje przed działalnością bobrów, lisów, borsuków i wszelkich innych zwierząt.

Czech podejrzewa, że słowa Donalda Tuska mogą mieć coś wspólnego z aktywnością lobby łowieckiego, które chętnie podejmie się „redukcji bobrów", podobnie jak wcześniej dzików. Na pozbawioną efektów walkę z afrykańskim pomorem świń polski podatnik wypłacił myśliwym 600 mln zł. Zabijając bobry, poniesiemy jeszcze inne straty, środowiskowe: redukcję naturalnej retencji wody (zwiększającą skutki susz i powodzi), spadek bioróżnorodności. Naruszymy też prawo krajowe i międzynarodowe. – *Bobry odgrywają kolosalną, a niedocenianą rolę w gromadzeniu ponad 200 mln m sześc. wody w najbardziej newralgicznych miejscach w Polsce* – mówi biolog.

Te wodne gryzonie, jak wiele innych zwierząt w naszym kraju, obarczane są winą nie za czyny własne, a ludzkie grzechy i zaniechania.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Upaść trzeba umieć

Znikniemy jak Mykeńczycy czy dostosujemy się do nowych czasów jak Fenicjanie? Eric H. Cline, badacz zaginionych cywilizacji, zabrał głos w sprawie naszej przyszłości.

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Jako archeolog skąd pan wie, kiedy ma do czynienia z upadkiem cywilizacji?**

ERIC H. CLINE: – Zawsze uważałem, że przy tłumaczeniu złożonych problemów najlepiej sprawdzają się możliwie szerokie definicje. Upadek cywilizacji utożsamiam więc z regresem, zejściem na niższy poziom rozwoju społecznego, gospodarczego lub politycznego. Dla archeologa dowodem może być zarówno utrata lub porzucenie pisma czy zanik monumentalnej architektury, jak i nagły spadek populacji. Powodem tych zmian może być i obca inwazja, i katastrofa naturalna, np. susza.

Upadek cywilizacji epoki brązu w XII w. p.n.e. jest tak fascynujący, bo wstrząs dotyczył ogromnego obszaru, od Peloponezu po Eufrat. W ciągu stu lat, co dla archeologów jest mgnieniem oka, potężne scentralizowane królestwa oraz imperia, które tworzyły zaawansowaną i połączoną silnymi ▶

▶ więzami cywilizację, albo zniknęły, albo zdezintegrowały się w mniejsze miasta-państwa. W rezultacie obraz wschodniej części basenu Morza Śródziemnego w 1200 r. p.n.e. był radykalnie inny od tego z – powiedzmy – 1000 r. p.n.e. Trudno o lepsze pole doświadczalne dla badania mechanizmów upadku.

Część uczonych uważa, że „upadek" jest określeniem zbyt pojemnym. Wolą mówić o transformacji. Jak odróżnić jedno od drugiego?

W tym cały problem. Nawet ludzie, którzy żyją w czasach epokowych zmian, mogą nie zdawać sobie z tego sprawy. Kto wie, może przyszłe pokolenia ocenią, że to nasze czasy są przełomowe? Z naszej perspektywy wygląda to inaczej – napotykamy problemy, ale życie toczy się dalej.

Czy mieszkańcy Rzymu, kiedy w 476 r. Odoaker zdetronizował ostatniego cesarza, uznali, że to koniec ich cywilizacji? Oczywiście nie. Czy Egipcjanie u schyłku rządów Ramzesa III mieli świadomość, że stracili status mocarstwa? Szczerze wątpię. Upadek faktycznie jest więc kategorią nieprecyzyjną, podatną na interpretacje. A źródła pisane zamiast coś wyjaśnić, często zaciemniają obraz. Kronikarze, mówiąc delikatnie, nie byli obiektywni. Podlizywali się swoim chlebodawcom, obsmarowując ich poprzedników. Wyolbrzymiali kryzysy albo nadawali im znamiona nieuchronności, pisząc, że susza albo obca inwazja to kara bogów. Jeśli już posługujemy się kategorią upadku, to pamiętajmy, że jest to proces, a nie wydarzenie.

Skąd więc pewność, że opisywany przez pana koniec cywilizacji epoki brązu faktycznie był upadkiem, a nie transformacją?

Aby odpowiedzieć, muszę nakreślić tło wydarzeń. Jeśli cofniemy się do XIII w. p.n.e., we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego zobaczymy wielobiegunowy świat rządzony przez regionalne potęgi: Mykeńczyków, Minojczyków, Hetytów, Cypryjczyków, Kananejczyków, Asyryjczyków, Babilończyków i Egipt. Nazwałem je „grupą G8" epoki brązu, bo był to system wzajemnie powiązanych cywilizacji. Pod pewnymi względami ów świat przypominał nasz. Poszczególne elementy były od siebie zależne, przynajmniej częściowo. Działała gęsta sieć handlowa oraz informacyjna łącząca ówczesne elity i nie tylko. Istniał również surowiec, którego potrzebowały wszystkie państwa „grupy G8". Mam na myśli cynę.

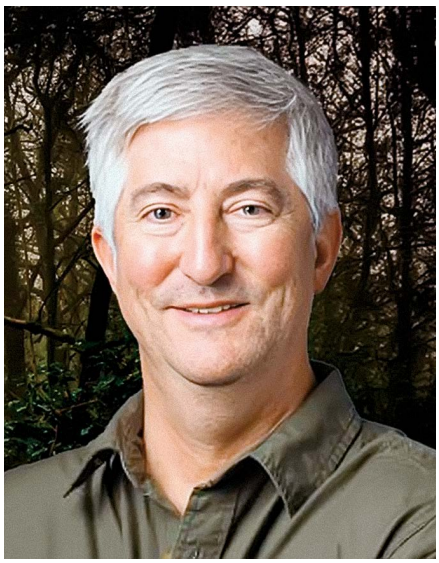

Eric H. Cline – amerykański archeolog, profesor historii starożytnej na George Washington University. W Polsce ukazała się właśnie jego książka „1177 przed Chr. Rok, w którym upadła cywilizacja".

Do czego była potrzebna?

Do wytapiania narzędzi z brązu, przede wszystkim broni. Nie będzie chyba przesadą, jeśli powiem, że egipscy faraonowie martwili się dostawami cyny mniej więcej w podobnym stopniu, jak amerykańscy prezydenci martwią się o ropę. Cynę wydobywano na terenach dzisiejszego Afganistanu, a następnie transportowano na Zachód. To tylko jeden element układanki, ale dzięki niemu widać, że mówimy tu o coraz bardziej homogenicznej globalnej ekonomii. Haczyk tkwił w tym, że brak stabilności politycznej w jednym miejscu miał duży wpływ na ekonomię regionów oddalonych od niego o tysiące kilometrów. System jako całość wydawał się dość trwały, ale przewrócenie jednej kostki domina mogło pociągnąć za sobą upadek następnych.

A wracając do pytania: upadek czy transformację?

Uważam, że był to upadek, ale dotyczył wspomnianego systemu powiązań politycznych i ekonomicznych. Gęsta sieć została zerwana. Od połowy XII w. p.n.e. obserwujemy wyraźny regres. Ówczesne elity utraciły swój międzynarodowy status. Ustały też kontakty dyplomatyczne. Słowem, mieliśmy do czynienia z wielkim procesem zwijania się globalizacji. Część państw nie przetrwała tego szoku, inne zaś były w stanie się dostosować.

Kiedy z gruzów epoki brązu wyłonił się nowy świat, miał już całkowicie inne oblicze. Inne były jego możliwości rozwoju. Zmieniła się mapa polityczna, choć dalej były na niej elementy pozornie niezmienne, jak Egipt czy państwo nowoasyryjskie. Działały jednak w zupełnie innym otoczeniu. Z kolei na terenach byłego Kanaanu powstały nowe państwa Fenicjan, Filistynów oraz Izraelitów. Pojawiły się alfabet i żelazo – przełomowe wynalazki, które wpłynęły na polityczny i społeczny porządek w tej części świata.

Czy początki szerszego wykorzystania żelaza miały związek z zerwaniem szlaków handlowych, o których pan wspomniał?

Tak. Nie przypadkiem miejscem, gdzie zaczęto stosować je na szerszą skalę, był Cypr. Jego mieszkańcy już w epoce brązu eksperymentowali z żelazem, ale ponieważ mieli pod dostatkiem miedzi ze swoich kopalń i docierały do nich dostawy cyny ze wschodu, nie było sensu inwestować w nowy, niesprawdzony jeszcze proces. Dopiero kiedy dochodzi do załamania szlaków handlowych, napływ cyny ustaje i Cypryjczycy mają powód, by na poważnie zainteresować się żelazem. To tylko jeden z przykładów, że przysłowiowy „koniec cywilizacji", był tragedią dla jednych, ale inni wykorzystali go jako bodziec innowacyjny.

A co do przyczyn upadku cywilizacji brązu – czy było jedno wydarzenie, które uruchomiło lawinę?

Wspomniałem już, że upadek to proces, nie wydarzenie. Przez długi czas za głównych sprawców nieszczęścia uważano tajemnicze Ludy Morza. Nie wiemy, skąd się wzięli ci ludzie ani kim naprawdę byli. Wiemy, że w 1177 r. p.n.e. najechali Egipt, ale zostali odparci przez wojska Ramzesa III. Takie ataki następowały falami na przestrzeni wielu dekad w całym wschodnim basenie Morza Śródziemnego. Nie wiemy, czego chcieli najeźdźcy i jaki był ich cel. Mogli być wojownikami szukającymi łupów, jak wikingowie, albo wypędzonymi skądś uchodźcami. Nie mieli jednego ośrodka decyzyjnego. Tworzyli coś w rodzaju wielogłowej Hydry, która atakowała to tu, to tam, siejąc chaos i destabilizując cały region. Dziś jednak bardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz, w którym ta napaść tylko dobiła system osłabiony przez poprzednie kryzysy.

Przez co konkretnie?

Susze, wybuchy wulkanów, zmiany klimatyczne, trzęsienia ziemi, rewolty

© MP, YOUTUBE

społeczne. Te ostatnie przede wszystkim na tle nierówności majątkowych. Brzmi znajomo? Wiele miast obszaru egejskiego, wschodniego Śródziemnomorza i Bliskiego Wschodu zostało spalonych, tradycyjne elity rozpierzchły się, w wielu miejscach załamała się administracja centralna. Faktem jest, że wprawienie całego międzynarodowego systemu w drgawki nie mogło być dziełem jednego czynnika. Cywilizacje nie upadają z powodu suszy, choćby nie wiem jak dotkliwej, czy też z powodu rewolty przeciw rządzącej elicie. Zwykle jest to coś więcej.

Sztorm doskonały?

Coś w tym stylu. Żaden z czynników, o których wspomniałem, traktowany oddzielnie, nie byłby w stanie zniszczyć całego systemu. Mógł powalić jedno imperium, ale nie wszystkie naraz. Niszczycielski scenariusz jest możliwy, jeśli jedno destabilizujące wydarzenie nałoży się na drugie. Struktury poddane kilku następującym po sobie stresorom – trzęsieniom ziemi, suszom, najazdowi z zewnątrz – załamują się. A jeśli mamy do czynienia z systemem spojonym mocnymi więzami, działa „efekt domina", czyli dezintegracja jednego państwa prowadzi do upadku kolejnego.

Wyjaśniając ten proces, odwołuje się pan do teorii złożoności. W jaki sposób pomaga ona wyjaśnić, co się stało?

System złożony to taki, który składa się z wielu zróżnicowanych, ale współzależnych obiektów. Złożoność dostarcza modelu teoretycznego do badania żywych, dynamicznych zjawisk, jak kryzysy finansowe czy korki komunikacyjne. Archeologowie i historycy dopiero od niedawna badają jej przydatność. W przypadku epoki brązu teoria ta jest o tyle pomocna, że jeśli tamte cywilizacje były tak zglobalizowane, jak myślimy, wówczas zmiana w jednym ważnym punkcie mogła wpłynąć na pozostałe i zdestabilizować cały system.

Cywilizacja epoki brązu charakteryzowała się wysoką złożonością, a więc koszty jej utrzymania były wysokie. Potrzeba było dużych nakładów pracy i energii, aby administracja i system władzy mogły funkcjonować. Czy dzisiejszy świat cierpi na te same bolączki?

Powiedziałbym, że nasze bolączki mają zupełnie inne przyczyny. Ich natura jest natomiast podobna. Faktem jest, że kiedy złożoność rośnie, a wraz z nią stopień współzależności między poszczególnymi elementami, wówczas zapewnianie takiemu systemowi stabilności staje się coraz kosztowniejsze. Można powiedzieć, że im bardziej system jest złożony, tym większe prawdopodobieństwo jego upadku. Można postawić tezę, że sieci handlowe i łańcuchy dostaw w XXI w. są daleko bardziej kruche niż te z epoki brązu. Dość wspomnieć, co się działo, gdy kilka lat temu jeden kontenerowiec przez przypadek zablokował Kanał Sueski. Inny przykład to nasze sieci energetyczne i informacyjne. Przerwanie podmorskich kabli telekomunikacyjnych wywołałoby chaos. Wszystko zależy jednak od odporności systemu.

W najnowszej książce „1177 przed Chr. Rok, w którym upadła cywilizacja" opisuje pan, jak jedne państwa przetrwały upadek epoki brązu, inne zaś się załamały. Kim byli wygrani i przegrani tamtej epoki?

Wspomniałem już o Cypryjczykach, którzy dzięki eksportowi wyrobów z żelaza znaleźli sposób, aby odnaleźć się w nowych czasach. Inny przykład to Fenicjanie, którzy praktycznie opanowali handel w całym basenie Morza Śródziemnego. Zmonopolizowali obrót purpurą, najbardziej poszukiwanym barwnikiem starożytności. Technikę jej wytwarzania przejęli od Minojczyków, którzy z kolei znaleźli się w gronie przegranych końca epoki brązu. Poza tym Fenicjanie nie tyle wynaleźli, ile ustandaryzowali alfabet.

Dziś toczy się spór, czy Fenicjanie w ogóle istnieli jako jeden lud połączony wspólną kulturą. Część naukowców twierdzi, że tą etykietką późniejsi greccy autorzy opatrywali wszystkich Lewantyńczyków trudniących się handlem. Tak czy inaczej mieszkańcy Sydonu, Tyru czy Bejrutu skorzystali na chaosie, jaki zapanował w XII w. p.n.e., w szczególności zaś na upadku miasta Ugarit na wybrzeżu północnej Syrii, przejmując kontrolę nad szlakami handlowymi nie tylko z wyspami Morza Egejskiego, ale również z Italią czy Sardynią.

Dlaczego im się udało, a innym nie?

Najprawdopodobniej zarówno Fenicjanie, jak i Cypryjczycy potrafili się odnaleźć w zdecentralizowanym ekosystemie nastawionym na handel. Byli wolni od imperialnego brzemienia, jakie ciążyło na Mykeńczykach czy Hetytach. Regres cywilizacyjny zawsze bardziej szkodzi imperiom, bo one potrzebują złożoności.

Można postawić bardziej ogólną hipotezę, że we wczesnej epoce żelaza świat wkroczył w erę postimperialną. Dawne potęgi co prawda nadal istniały, np. Egipt, ale był on cieniem minionej świetności. Powstawały nowe „nisze ekologiczne", stąd sukces społeczeństw sieciowych, wyznających inne wartości niż imperia. Można przypuszczać, że alfabet fenicki rozkwitł właśnie wtedy, bo był narzędziem demokratyzacji wiedzy, umożliwiając naukę pisania i czytania każdemu, a nie tylko pałacowej elicie.

Im bardziej złożony jest system, tym większe prawdopodobieństwo jego upadku. Regres cywilizacyjny szkodzi głównie imperiom.

Wciąż jednak bardzo mało na ten temat wiemy, trudno więc formułować „lekcje" dla współczesności. Być może poza tą, że do wyboru są dwie drogi. Będziemy Mykeńczykami, którzy zniknęli w dziejowej zawierusze? Czy Fenicjanami, którzy dostosowali się do nowych czasów?

Rysuje się panu jakaś ogólna teoria budowy i upadku cywilizacji?

Nie będzie wielkim odkryciem, jeśli powiem, że cywilizacje wciąż się zmieniają. Ich dzieje to powtarzający się cykl narodzin, wzrostu i ewolucji, schyłku lub zniszczenia, a następnie odrodzenia w całkowicie nowej formie. Faktem jest, że żadna cywilizacja nie trwa wiecznie. Można powiedzieć, że upadek czy dezintegracja w tej czy innej formie są nieuchronne. Wiemy zatem, jaki będzie koniec, znamy „części składowe" równania składającego się na upadek, bo one na przestrzeni dziejów są mniej więcej te same, a mimo to nie sposób określić, kiedy to nastąpi.

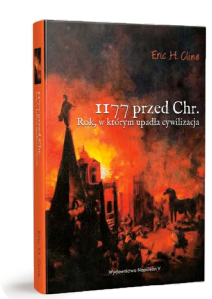

Żadna teoria złożoności nie pomoże nam rozwikłać tej zagadki, bo dostarcza ona tylko modelu teoretycznego. A wewnętrzna dynamika każdego systemu złożonego jest inna. Musimy więc spekulować, budować kolejne teorie, sprawdzać je, odrzucać i obmyślać lepsze.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

Nie bójmy się korporacji

A gdyby rektorów zastąpili prezydenci? Anglosaska recepta na bolączki polskich uczelni.

LESZEK PACHOLSKI

W „Gazecie Wyborczej”, tuż po zaprzysiężeniu rządu Donalda Tuska, ukazał się artykuł prof. Grzegorza Gorzelaka „Czy nowy rząd ma głowę do nauki?”. Autor pisał: „Zły dla nauki znak pojawił się już podczas prezentacji kandydatów na ministrów przez premiera Donalda Tuska – oto zapomniał on o ostatnim na liście ministrze Dariuszu Wieczorku. Potem w dyskusji (…) było o wszystkim – o CPK, ekologii, zdrowiu, edukacji itd. – jednak nauka była w tej dyskusji nieobecna. Widać nasze obecne elity nie mają do niej głowy”.

Trudno sobie wyobrazić naprawę polskiej nauki bez udziału polityków. Jednak jest oczywiste, że w pierwszej kolejności zajmą się tym, co uznają za najważniejsze. Słuchają opinii publicznej, a także ekspertów: generałów w sprawach obronności, lekarzy w kwestii ochrony zdrowia. Jeśli więc „rząd nie ma głowy do nauki”, to zapewne oznacza, że nie potrafiliśmy go przekonać, iż jakość nauki i szkolnictwa wyższego jest ważnym elementem stanu państwa.

Nie wiem, jakie rozmowy toczyli politycy z ekspertami ze środowiska akademickiego przed i po wyborach. Doskonale są za to znane postulaty uczonych pojawiające się w przestrzeni publicznej. Trafnie podsumowuje je tytuł artykułu prof. Dariusza Jemielniaka, wiceprezesa PAN, „Naprawa nauki w dwunastu krokach. Potrzebne podwyżki, podwyżki, podwyżki. Co jeszcze?” (POLITYKA 50/23, wyd. internetowe). Najbardziej dramatycznie artykułowany jest problem „zagłodzenia polskich uczonych”, chociaż sądząc z liczby opublikowanych artykułów, jeszcze ważniejszy jest problem punktacji czasopism. Do tego dochodzi konieczność doprecyzowania wymagań przy habilitacjach i awansach profesorskich oraz zwalczanie plagiatów i nierzetelnych recenzji. W zamian uczeni obiecują lepsze publikacje, co dla jednych oznacza teksty anglojęzyczne w wysoko punktowanych czasopismach, a dla innych – dotyczące ważnych spraw lokalnych.

Trudno na podstawie tak mnogich i niejednoznacznych sugestii sformułować program wyborczy i sensowną, atrakcyjną dla kraju strategię. Nic więc dziwnego, że – jeśli dobrze rozumiem – poza podwyżkami i posprzątaniem po poprzednim ministrze nic istotnego w sprawie nauki i szkolnictwa wyższego w planach obecnej koalicji nie przewidziano.

W budżecie na 2024 r. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego dysponuje kwotą 37 mld zł. Budżet Uniwersytetu Stanforda na rok akademicki 2023–24 to 8,9 mld dol., czyli ok. 36,2 mld zł. Za takie pieniądze między innymi kształci się doskonałych absolwentów. W 2011 r. produkt wytworzony przez założone przez nich firmy wyniósł 2700 mld dol. To cztery razy więcej niż 688,1 mld dol., czyli PKB Polski w 2022 r.

Po drugiej stronie Pacyfiku działa młodsza instytucja, Korea Advanced Institute of Science and Technology (KAIST), powstała w 1970 r. za 12 mln dol. pożyczonych od amerykańskiej agencji USAID. KAIST znajduje się obecnie w połowie pierwszej setki Światowych Rankingów Uniwersyteckich QS, w naukach technicznych zajmuje 20. miejsce, ale przede wszystkim stanowi intelektualne zaplecze innowacyjnej gospodarki koreańskiej, tak jak Uniwersytet Stanforda jest zapleczem Doliny Krzemowej.

Amerykanie nie tylko pożyczyli pieniądze Koreańczykom. Narzucili także zasady działania, które sformułował zespół kierowany przez Frederika Termana, głównego wiceprezydenta Stanforda. Pierwsze zalecenie dotyczyło ładu korporacyjnego: uczelnią ma kierować rada powiernicza, która mianuje prezydenta. Tak jest w niemal wszystkich uczelniach ze światowej czołówki rankingów. Dla ustalenia terminologii przypominam, że demokratycznie wybierany szef uniwersytetu jest nazywany rektorem, a mianowany przez radę – prezydentem (choć są od tej zasady odstępstwa).

Ostatnie wybory rektorów w Polsce nie na wszystkich uczelniach przebiegały w dobrej atmosferze. W marcu w POLITYCE ukazał się artykuł Katarzyny Kaczorowskiej: „Ruszyły wybory rektorów. Donosy, plotki, brudne gry: źle to wygląda”. A to był dopiero początek kampanii wyborczej. Przez kolejne cztery miesiące pojawiało się coraz więcej bulwersujących informacji. Jednak nikt nie zaproponował możliwości zmiany sposobu powoływania rektora.

W polskich dyskusjach za największe zagrożenie dla nauki uważa się przekształcenie uniwersytetów w korporacje. Jednak nie wszędzie budzą one strach. Uniwersytet Harvarda na swojej stronie dumnie informuje, że „Korporacja Harvarda jest najstarszą korporacją na zachodniej półkuli”. Korporacje rządzą także MIT i wszystkimi uczelniami z Ligi Bluszczowej, z wyjątkiem Uniwersytetu Cornella.

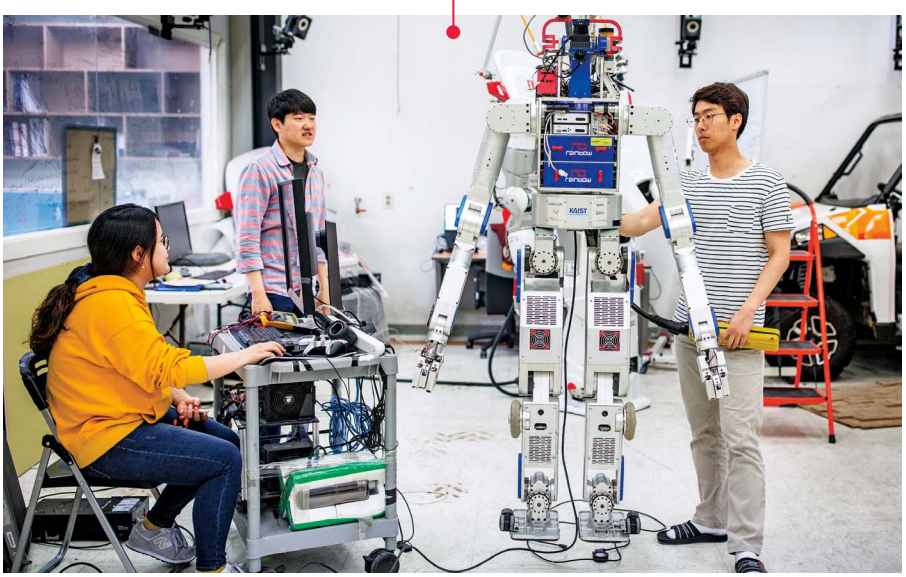

Gdy po upadku komunizmu tworzono nowe zasady regulujące polską naukę i szkolnictwo wyższe, priorytetem było uwolnienie się od ideologicznego nadzoru oraz zapewnienie wolności badań, a przede wszystkim samorządności. Wierzono, że mądrość, uczciwość i bezinteresowność uczonych oraz brak ingerencji polityków zapewnią doskonały rozwój demokratycznym wspólnotom studentów i wykładowców. Niestety szlachetne intencje nie wystarczyły do zbudowania uczelni, których funkcjonowanie przekonywałoby polskiego podatnika, że pieniądze przeznaczane na naukę są inwestycją, a nie wydatkiem. Zabrakło myślenia o celach i kosztach, a przede wszystkim – strategii uwzględniających potrzeby i oczekiwania świata poza murami uczelni. Nie było także pomysłów, jak o swojej misji opowiadać.

Co kilka lat, na ogół przy okazji zmiany rządów, podejmowano próby poprawienia szczegółów w źle zaprojektowanym systemie. Na ogół w duchu etatyzmu i demokracji centralistycznej, koncentrując się na eliminacji wcześniej ujawnionych patologii poprzez zwiększenie formalnych barier, instrumentów kontrolnych i wprowadzaniu numerycznych, opartych na algorytmach kryteriów oceny instytucji i uczonych.

Mogłoby się wydawać, że naturalnymi kandydatami do opracowania projektu zmian są osoby z doświadczeniem w kierowaniu instytucjami nauki i szkolnictwa wyższego, np. aktualni lub byli rektorzy. Niestety pełnią oni funkcję stricte polityczną. Są wybierani przez wspólnotę i realizują zaakceptowany przez nią program. Aby wygrać wybory, muszą nauczyć się języka uczelnianej polityki, przemawiać do pracowników i negocjować z liderami silnych grup interesów. Muszą zachować szczególną ostrożność w formułowaniu ocen wydziałów i innych uczelnianych jednostek oraz pamiętać, że ich głównym zadaniem jest zapewnienie spokoju i socjalnego bezpieczeństwa pracowników.

Muszą też wspierać schyłkowe dziedziny, które tracą znaczenie, studentów i granty, ale są silne politycznie, gdyż zatrudniają wielu pracowników. Interes gospodarki, która oczekuje badań i kształcenia w nowych, intensywnie rozwijających się kierunkach nie ma więc znaczenia, gdy nie stoi za nim duża liczba elektorów i członków senatu. Na liście obowiązków rektora nie ma reagowania na potrzeby otoczenia społeczno-gospodarczego, a system oceny uczelni przez ministra też tego nie wymusza. Trudno więc oczekiwać, że kierowanie uczelnią przygotuje do formułowania propozycji rozwiązań korzystnych dla państwa.

Prezydent uczelni powoływany jest przez radę powierniczą, której członkowie są spoza świata akademickiego. Pełnią swoje funkcje przez wiele lat i znają problemy kierowanej przez siebie uczelni. A także potrzeby sektorów, z których pochodzą, przede wszystkim biznesu. Nawet jeśli sami nie pasjonują się nauką, rozumieją, że zatrudnienie wybitnych uczonych przynosi prestiż, przyciąga darowizny i dobrych kandydatów na studia (i kolejnych wybitnych badaczy i nauczycieli), a w konsekwencji dostarcza na rynek pracy przyszłych innowatorów, liderów gospodarki i polityki.

Poszukiwania kandydatów na prezydenta i ich ostateczna selekcja są tajne. Zwykle rozpoczynają się wiele lat przed planowaną zmianą i przyszły prezydent ma czas na przygotowanie się do pracy oraz poznanie uczelni (jeśli wcześniej na niej nie pracował). W trakcie rozmów z kandydatami budowana jest platforma komunikacji między radą a przyszłym prezydentem, między akademią i światem poza nią. Dzięki temu prezydent wie, czego potrzebuje otoczenie. Gdy latem 2017 r. rozmawiałem z prezydentem Uniwersytetu Cambridge o polityce uczelnianej, usłyszałem, że wśród jego priorytetów znajduje się rolnictwo, bo „Cambridge leży w centrum pierścienia chlebowego", obszaru najżyźniejszych gleb w Wielkiej Brytanii.

Od prezydentów rada oczekuje, że na potrzeby gospodarki będą wspierali wschodzące kierunki badań i kształcenie specjalistów. Daje im też silną władzę, by – jak Patrick Aebischer, który przez 16 lat był prezydentem politechniki w Lozannie (EPFL) – mogli przebudować uczelnię i lansować „info, nano, bio" kosztem tradycyjnych dyscyplin. Polski rektor nie mógłby sobie na to pozwolić.

Prezydenci na ogół pełnią swoje funkcje przez kilkanaście lat. Dobrze poznają mechanizmy funkcjonowania i potrzeby akademii, a z drugiej strony – oczekiwania i sposób myślenia biznesmenów i polityków. Wiedzą, jak ich przekonać, że trzeba „mieć głowę do nauki". Taki dar perswazji zdobył Clark Kerr, były prezydent Uniwersytetu Kalifornijskiego, który doprowadził do stworzenia w tym stanie systemu publicznej edukacji wyższej uważanego za najlepszy na świecie. Podobnie Vannevar Bush, były wiceprezydent MIT, umiał przekonać polityków do swojego pomysłu systemu grantowego, który miał ogromny wpływ na rozwój nauki w USA i był później kopiowany na całym świecie.

Sytuacja naszych uczelni niewiele się różni od tej w innych krajach byłego bloku sowieckiego. Ciekawe, że wyraźnie lepiej radzą sobie niektóre państwa, np. Malezja czy Republika Południowej Afryki, będące na podobnym poziomie rozwoju gospodarczego co Polska, a jeszcze całkiem niedawno uznawane za mniej od nas rozwinięte, które skopiowały anglosaskie zasady działania uniwersytetów.

Długą listę niezbędnych zmian zawiera dostępny w internecie raport Termana dla KAIST. Ale nie tylko on. Reguły, których trzeba przestrzegać, aby zbudować uczelnię zdolną do wspierania innowacyjnej gospodarki, są dostępne powszechnie. Dobrze je znali wszyscy z sukcesem budujący nowe instytucje lub reformujący stare. Wystarczy więc zajrzeć do Google'a, a potem przekonać polityków, że „muszą mieć głowę do nauki". To pierwsze jest łatwe. ■

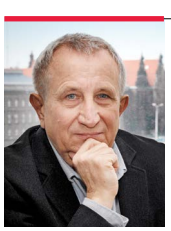

Prof. Leszek Pacholski, – matematyk wyróżniony m.in. nagrodą im. Stefana Banacha, informatyk, w latach 2005–08 rektor Uniwersytetu Wrocławskiego.

© JONAS GRATZER/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES, VINCENT ISORE/ZUMA PRESS/FORUM, MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Co mówią pieniądze

Są barometrem kondycji kraju i zwierciadłem jego tożsamości. Jaką opowieść o naszych czasach można wyczytać z banknotów?

TOMASZ TARGAŃSKI

W 2024 r. Bank Anglii wprowadził do obiegu funty z podobizną króla Karola III. Poniżej: **50-funtowy banknot z podobizną matematyka Alana Turinga z 2021 r.**

W tym roku brytyjskie funty zyskały „nową twarz". Bank Anglii wprowadził do obiegu banknoty z podobizną króla Karola III. Jest on drugim brytyjskim monarchą uhonorowanym w ten sposób (pierwsza była jego matka, królowa Elżbieta II). To, co dla Brytyjczyków jest powodem do dumy, dla innych państw Wspólnoty Narodów (Commonwealth) stało się okazją do utarcia Londynowi nosa.

Pierwszą krew upuściła Nowa Zelandia, która „zdegradowała" brytyjskiego monarchę, ogłaszając, że w 2027 r. umieści go na 10-centowej monecie. Najboleśniejszy cios wymierzyła Australia. Tamtejszy bank centralny nie tylko nie umieści Karola III na żadnym banknocie, ale i wycofa z obiegu banknot 5-dolarowy z podobizną królowej Elżbiety II, zastępując ją wizerunkiem „pierwszych Australijczyków". Tak oto pieniądze dokumentują stopniową dewaluację rodziny królewskiej jako symbolu jednoczącego narody dawnego imperium.

Wymiana panteonu

Historia innego brytyjskiego banknotu pokazuje, że w XXI w. pieniądze przestają pełnić funkcję galerii narodowej chwały, a stają się miejscem przepracowywania wstydliwych epizodów z przeszłości. Wprowadzony do obiegu w 2021 r. banknot

Projekt 20-dolarowego banknotu z Harriet Tubman. Poniżej: **monety z 2022 r. z pisarką Mayą Angelou i astronautką Sally Ride.**

50-funtowy prezentuje podobiznę genialnego matematyka Alana Turinga. W czasie drugiej wojny światowej pomógł złamać kod niemieckiej Enigmy, ale po jej zakończeniu został skazany na chemiczną kastrację za homoseksualizm (w 1952 r. w Anglii był przestępstwem). Turing popadł w depresję i popełnił samobójstwo. Dopiero niedawno został ułaskawiony przez królową Elżbietę II, a umieszczenie jego podobizny na banknocie uznano za akt symbolicznego zadośćuczynienia.

W przypadku pieniędzy wymiana starego historycznego panteonu na nowy jest procesem długotrwałym. Czasami muszą minąć lata, a nawet dekady, aby pewne postaci zniknęły z pieniędzy albo się na nich pojawiły. Stany Zjednoczone – jako kraj o długiej historii rasowej dyskryminacji – wciąż zmagają się z umieszczeniem na banknotach kogoś spoza grona nieżyjących białych prezydentów. Ukłonem w kierunku tych, którzy chcieliby widzieć na walucie więcej różnorodności odzwierciedlającej realia wielorasowego społeczeństwa, był projekt nowego 20-dolarowego banknotu z Harriet Tubman w roli głównej. Trudno wyobrazić sobie zmianę o bardziej symbolicznym wymiarze, jako że Tubman – czarnoskóra antyniewolnicza działaczka – miała zająć miejsce prezydenta Andrew Jacksona, właściciela niewolników i autora planu brutalnych przesiedleń Indian.

Losy banknotu z Tubman mogłyby służyć za papierek lakmusowy nastrojów w amerykańskiej polityce. Procedura rozpoczęła się w 2014 r. za prezydentury Baracka Obamy. Jego administracja zaplanowała wprowadzenie banknotu do obiegu na rok 2022 – w dwusetną rocznicę urodzin Tubman. Ale gdy w Gabinecie Owalnym zasiadł Donald Trump, sprawy się skomplikowały. Nowy prezydent określił całą sytuację jako „czystą poprawność polityczną", a nominowany przez niego sekretarz skarbu – zasłaniając się trudnościami formalnymi – ogłosił, że nowy banknot ujrzy światło dzienne najprędzej w 2026 r. Kiedy Joe Biden zastąpił Trumpa w Białym Domu, obiecał przywrócić bieg sprawie. Niestety procedury bezpieczeństwa okazały się tak długotrwałe, że trzeba było wyznaczyć nową datę. Tym razem jest to rok 2030. Co ciekawe, prędzej niż banknot z Tubman do kieszeni Amerykanów trafiły monety upamiętniające kobiety. W 2022 r. do obiegu weszły dwie ćwierćdolarówki: jedna z afroamerykańską pisarką Mayą Angelou, druga z astronautką Sally Ride.

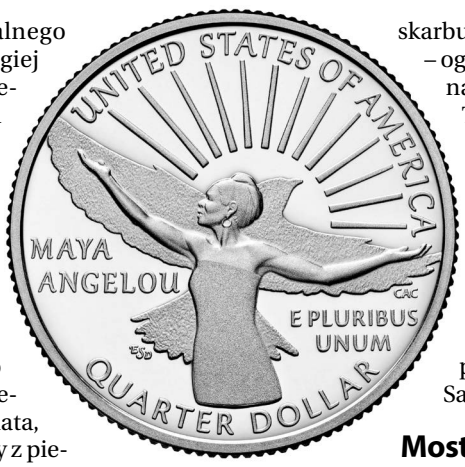

Mosty i morze

Socjologia pieniądza mówi, że aby pełnić swoją funkcję ekonomiczną, waluta musi budzić zaufanie. Stabilność systemu monetarnego i bankowego to tylko jeden z przejawów tego zaufania. Dlatego pokazane na banknotach obrazy, słowa, a nawet nazwa waluty są tak ważne. Każda nowa seria jest tym samym próbą uchwycenia zmieniających się procesów tożsamościowych.

Najbardziej imponującym, a zarazem ryzykownym przedsięwzięciem uchwycenia wspólnej tożsamości poprzez walutę jest euro. Jego kariera zaczęła się w 1999 r. od 11 państw. Dziś posługuje się nią 20 z 27 państw członkowskich UE. Projektanci banknotów stanęli przed zadaniem na pozór niemożliwym: znaleźć sposób, aby odwołać się do uczuć narodów o różnej historii i wrażliwości, nie wywołując przy tym kontrowersji. Pierwszą serię zdobiły więc kojarzące się z łączeniem i współpracą mosty. Aby uniknąć zarzutów o faworyzowanie konkretnych krajów, postawiono na rozwiązanie najbezpieczniejsze z możliwych, czyli pokazano mosty… fikcyjne. Jedyną postacią, która widnieje na tych banknotach, jest podobizna Europy z greckiej mitologii. ▶

© BE&W (2), MP (3)

▶ Pierwsza seria euro raczej nie budziła zachwytów, ale i nie wywołała kontrowersji, co samo w sobie było sukcesem. Teraz, ćwierć wieku od wprowadzenia jej do obiegu, strefa euro zdaje się gotowa na kolejny etap. W 2023 r. Europejski Bank Centralny (EBC) ogłosił, że przygotowuje drugą serię. Nieistniejące mosty zostaną zastąpione przez motywy związane z europejską kulturą oraz rzeki i ptaki. Na banknoty z wielkimi bohaterami kultury trzeba więc jeszcze poczekać – najwyraźniej wspólnota nie jest gotowa na dyskusję, dlaczego na pieniądze miałby trafić Beethoven, a nie, dajmy na to, Liszt albo Chopin.

W kwestii wzorów na banknotach ostatnie zdanie należy do EBC. Kraje członkowskie mogą z kolei decydować o wyglądzie monet euro, co było pomyślane jako swoisty wentyl bezpieczeństwa umożliwiający każdemu państwu wyrażenie narodowej dumy. Niektóre wybory wywołały jednak poważne kłótnie, co pokazało, że europejskie narracje historyczne to prawdziwe pole minowe. W 2015 r., aby uczcić dwusetną rocznicę bitwy pod Waterloo, Belgowie zdecydowali się wybić monetę o nominale 2 euro z pomnikiem lwa znajdującym się na polu bitwy, który jest jedną z największych atrakcji turystycznych Walonii. Projekt natychmiast oprotestowali Francuzi, argumentując, że nie licuje on z duchem jedności i zgodnej współpracy. Ostatecznie Belgia powołała się na przepis, który daje krajom strefy euro prawo do bicia monet o nietypowym nominale, i wypuściła na rynek monetę o nominale 2,50 euro z lwem spod Waterloo na rewersie.

W 2015 r. Belgia wypuściła monetę o nominale 2,50 euro z lwem spod Waterloo na rewersie

Z drugiej strony być może właśnie euro – tak często krytykowane za nijakość – wyznaczyło drogę, jak postępować, aby uniknąć kulturowych wojen o banknoty. Ponieważ ludzie, ich zasługi dla wspólnoty, a nawet życie osobiste budzą dziś tyle kontrowersji, coraz więcej krajów w Europie odchodzi od pokazywania wielkich postaci historycznych. Przykładem jest Szwajcaria, gdzie wprowadzona do obiegu w 2016 r. nowa seria banknotów miała uchwycić cechy najczęściej utożsamiane z tym krajem: zamiłowanie do precyzji i talent organizacyjny. Zadanie trudne, ale Szwajcarzy pokazali, że wystarczy dobry pomysł. I tak na rewersie banknotu 10-frankowego widać najdłuższy na świecie, mierzący 57 km tunel Świętego Gotarda, a obok tego cudu współczesnej inżynierii jest mechanizm zegarowy. Na awersie szwajcarską obsesję na punkcie wyczucia czasu symbolizują ręce z batutą, uchwycone w geście dyrygowania orkiestrą. Obok nich widnieje kula ziemska z wyraźnie zaznaczoną linią zmiany daty.

W trend odchodzenia od wizerunków historycznych postaci wpisała się też Norwegia. W 2019 r. z norweskich koron zniknęły tuzy tamtejszej kultury, m.in. malarz Edvard Munch czy laureatka literackiego Nobla Sigrid Undset. Zamiast nich tematem przewodnim nowej serii banknotów uczyniono coś bliskiego sercom wszystkich Norwegów – morze. Pokazany na banknocie o nominale 100 koron płaskodenny statek z epoki wikingów jest więc symbolem przeszłości, która łączy wszystkich Norwegów; śledź i dorsz (200 koron) mówią o morzu jako źródle pożywienia; a łódź ratunkowa typu Colin Archer (500 koron), która od końca XIX w. była podstawową jednostką Norweskiego Towarzystwa Ratownictwa Morskiego, ma przywodzić na myśl podejmowany przez kolejne pokolenia wspólny wysiłek ratowania życia marynarzy.

Od Lenina do Putina

Banknoty są idealnym narzędziem jednoczącym ludzi wokół narodowych symboli. Ale co w sytuacji, kiedy trzeba te symbole wymyślić na nowo? Zdarza się bowiem, że twarze na pieniądzach dewaluują się szybciej niż sama waluta. W Związku Radzieckim od końca lat 40. aż do początku lat 90. XX w. na rublach dominował wizerunek Włodzimierza Lenina. Podobizna „ojca rewolucji" była na awersach wielu banknotów o różnych nominałach. Kiedy pod koniec lat 80. ZSRR chwiał się w posadach, było jasne, że Lenin nie odpowiada reformatorskim hasłom, pod którymi Michaił Gorbaczow chciał wprowadzić państwo w nową epokę. W ślad za tym pojawiły się nieśmiałe próby pokazania na pieniądzach kogoś innego. To wówczas w Gosbanku (banku centralnym ZSRR) narodził się projekt nowej serii rubli przedstawiających m.in. Konstantina Ciołkowskiego, pioniera światowej kosmonautyki.

Jednak banknot z Ciołkowskim został zablokowany przez biurokratyczną machinę i nigdy nie ujrzał światła dziennego. Ruble z Leninem pozostały więc w obiegu nawet po drastycznej reformie

Wprowadzone w Szwajcarii w 2016 r. nowe banknoty miały uchwycić zamiłowanie do precyzji i talent organizacyjny. W 2019 r. tematem przewodnim nowej serii banknotów uczyniono morze, bliskie sercom wszystkich Norwegów.

Załamanie rosyjskiej gospodarki w 1998 r. zbiegło się w czasie z wprowadzeniem kolejnej serii rubli, na 5-rublówce pokazano pomnik Tysiąclecia Rosji w Nowogrodzie, na banknocie 10-rublowym Zaporę Krasnojarską

monetarnej przeprowadzonej w 1991 r. przez Gorbaczowa. Z wprowadzonych wówczas do obiegu banknotów zniknęły napisy w językach innych niż rosyjski. Na wszystkich dawnych seriach rubli widniał słowny zapis nominału po rosyjsku oraz w 14 językach republik związkowych. Na banknotach, które weszły do obiegu w styczniu 1991 r., napisy były już wyłącznie po rosyjsku, co w pewnym sensie wyprzedzało rzeczywistość, ponieważ w grudniu tego samego roku Związek Radziecki przestał istnieć.

Po rozpadzie ZSRR nowo powstały Bank Rosji zastąpił radzieckie ruble rosyjskimi. Ze względu na hiperinflację na nowych pieniądzach przybyło wiele zer (pojawiły się nominały 100 tys., a nawet 500 tys. rubli), ale wciąż widniał na nich Lenin. Pierwszym władcą, który nie nazywał się Lenin, a który trafił na rosyjski banknot, był Piotr Wielki, a stało się to dopiero w 1995 r.

Załamanie rosyjskiej gospodarki w 1998 r. zbiegło się w czasie z wprowadzeniem kolejnej serii rubli, które odwoływały się do zestawu zupełnie nowych symboli. W warstwie graficznej była to podróż w głąb historii Rosji. Projektanci pokazali ją jako kraj świadomy swoich historycznych korzeni (pomnik Tysiąclecia Rosji w Nowogrodzie na 5-rublówce), bogatej kultury (budynek moskiewskiego Teatru Bolszoj na 100-rublówce) oraz wielkich osiągnięć technicznych (Zapora Krasnojarska na banknocie 10-rublowym). Banknoty uchwyciły ten krótki moment w historii najnowszej, gdy Rosja starała się pokazać jako normalne, europejskie państwo. Motywy związane z imperialną przeszłością – utożsamiane przez Piotra Wielkiego czy Nikołaja Murawjowa-Amurskiego, który rozszerzył granice Rosji aż po Amur – były tam zrównoważone przez nawiązania do Nowogrodu Wielkiego, kupieckiej republiki reprezentującej zapomniany demokratyczny nurt w dziejach kraju.

Zmiany, jakie zaszły w Rosji pod rządami Władimira Putina – przede wszystkim powrót do agresywnego imperializmu – widać doskonale w ikonografii nowej serii rubli wprowadzanej do obiegu od 2017 r. Szybko stała się ona źródłem kontrowersji. Banknot 200-rublowy poświęcono Krymowi. Na awersie jest pomnik z portu w Sewastopolu, a na rewersie ruiny starożytnego Chersonezu. Kremlowska propaganda jeszcze przed oficjalną aneksją Krymu w 2014 r. przedstawiała Chersonez – domniemane miejsce chrztu Włodzimierza Wielkiego – jako kolebkę Rosji. Dając akurat to miejsce na banknot, Rosja uzasadniała agresję na terytorium sąsiada.

Wprowadzony do obiegu latem 2022 r. – a zatem parę miesięcy po agresji na Ukrainę – banknot o nominale 100 rubli miał jeszcze bardziej prowojenny wydźwięk. Jego rewers ukazuje pomnik żołnierza radzieckiego w Rżewie, co miało podnieść patriotycznego ducha Rosjan. Awers przedstawia Basztę Spasską moskiewskiego Kremla. Wskazówki zdobiącego basztę zegara wskazują godz. 20.22, co niektórzy odczytali jako wyraźne odniesienie do daty ataku na Ukrainę. Nowy banknot trafił jednak do obiegu z opóźnieniem, ponieważ z powodu sankcji gospodarczych długo nie można było zaktualizować bankomatów, aby go rozpoznawały.

Na tym nie koniec kontrowersji. Na zaprezentowanym w październiku 2023 r. projekcie banknotu 1000-rublowego widniała jedna z baszt kazańskiego Kremla, a obok niej budynek dawnej cerkwi pałacowej (dziś siedziby Muzeum Historii Państwowości Narodu Tatarskiego). Firma odpowiedzialna za design nie wykazała się jednak dostateczną czujnością, ponieważ – zgodnie ze stanem rzeczywistym – iglicę baszty wieńczy symbol półksiężyca, podczas gdy cerkiewna kopuła jest bez krzyża. Dla władz rosyjskiej cerkwi tego było za wiele. Padły oskarżenia o „brak odpowiedzialności" i tworzenie „niepotrzebnych napięć". W końcu skruszony bank centralny ogłosił wstrzymanie emisji banknotu.

List w butelce

Tak jak znajdowane przez archeologów monety są ważnym źródłem informacji o życiu i ambicjach dawnych władców, tak i dzisiejsze banknoty pełnią funkcję zwierciadła tożsamości oraz historii kraju w pigułce. Bez względu na to, czy pokazują wielkie chwile, czy wstydliwe epizody, realne osiągnięcia, czy zbiorowe ambicje, te kawałki zadrukowanego papieru zawsze były miarą zaufania do państwa. Prawdopodobnie prędzej czy później znikną wyparte przez inne formy płatności. Stracą wartość materialną, ale staną się naszą wiadomością dla przyszłych pokoleń. Tym bardziej warto uważać, co się na nich drukuje.

TOMASZ TARGAŃSKI

© MP (3)

Odsłonięcie pomnika pod Ełkiem, 1989 r.

Akcja widmo

Brawurowy zamach na esesmanów w lesie pod Ełkiem w październiku 1943 r. doczekał się pomnika i uwiecznienia w literaturze, a jego uczestnicy – orderów Virtuti Militari. Tyle że nie miał miejsca.

STEFAN MICHAŁ MARCINKIEWICZ

W okresie popaździernikowej odwilży na przełomie lat 50. i 60. monopolistyczna organizacja kombatancka Związek Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD) łaskawiej spojrzała na Armię Krajową, dotychczas zepchniętego na margines „zaplutego karła reakcji". Byli akowcy wreszcie mogli ubiegać się o uznanie zasług z czasu walki, stopni wojskowych, odznaczeń, a także o świadczenia finansowe. Musieli jednak przejść weryfikację. Jej podstawą były kwestionariusze podpisane przez dwóch wiarygodnych świadków, potwierdzone przez dowódców AK.

W trakcie tej weryfikacji dawni konspiratorzy często popuszczali wodze fantazji, aby uzyskać uprawnienia kombatanckie, awanse i ordery. Po latach więzień i poniżania oszukiwano komunistyczną władzę, ubarwiano relacje, ale też fałszowano historię AK. Nie obeszło się bez „lipnych papierów" i fałszywych partyzantów.

W grudniu 1964 r. były dowódca Okręgu Białystok AK płk Władysław Liniarski ps. Mścisław lub Wuj zaapelował do swoich byłych podkomendnych: „Prosiłem Kolegów o napisanie relacji osobistych naświetlających obszernie pracę AK. (...) Proszę mi przysyłać relacje według wytycznych, które otrzymaliście: chodzi o pracę w okresie okupacji hitlerowskiej. Historia prosi wszystkich dowódców i żołnierzy AK o szczegóły – bo te przeważnie są ukryte i idą z czasem w zapomnienie".

Płk Liniarski w czasie wojny dał się poznać jako ostrożny konspirator, pragmatyczny, powściągliwy, rozważny dowódca. Krytykował brawurowe akcje Uderzeniowych Batalionów Kadrowych, pociągające za sobą represje wobec ludności cywilnej i dekonspirację ludzi podziemia. Jednak w latach 60. domagał się od podkomendnych wymienienia jak największej liczby akcji przeciwko Niemcom. Chciał dać odpór narracji władzy mówiącej o bezczynności AK w czasie okupacji, a także polepszyć byt dawnych partyzantów.

Relacje przesłał Liniarskiemu m.in. Władysław Świacki ps. Sęp z grajewskiego obwodu AK. Jego zasługi potwierdził adiutant i zaufany współpracownik „Mścisława" z czasów okupacji – ksiądz Stanisław Kossakowski ps. Korwin. Autorytet Świackiego wydawał się bezsporny: był on dowódcą pierwszego oddziału akowskiej partyzantki na ziemi grajewskiej, jego dwaj synowie zginęli tragicznie podczas okupacji, uczestniczył w ramach akcji „Burza" w bitwie partyzanckiej na Czerwonym Bagnie 8 września 1944 r. i padł ofiarą stalinowskich represji. Historyk wojskowości Jan Orzechowski ps. Strzała zarzucił mu jednak, że obsadził się w swojej relacji na bardziej eksponowanych stanowiskach niż te, które rzeczywiście zajmował – przedstawił się jako szef wywiadu całego obwodu i adiutant pułku, a był co najwyżej szefem wywiadu w Grajewie i oficerem dyspozycyjnym w sztabie.

Dopiero po pozytywnej weryfikacji przez ZBoWiD Świacki, przedwojenny policjant, ujawnił wstydliwy epizod ze swojego życia: podczas okupacji był komendantem w niemieckiej policji pomocniczej (Hilfspolizei) w Grajewie w latach 1941–42 (lub w 1943 r.). Jednocześnie działał w Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) i AK. Z powodu zaangażowania w konspirację zbiegł z policyjnego posterunku i przez krótki czas dowodził pierwszą na ziemi grajewskiej grupą partyzancką. Sprawę jego domniemanej kolaboracji badał Główny Sąd Koleżeński ZBoWiD w1967 r.

Literacki fejk

W sierpniu 1964 r. Świacki przekazał „Mścisławowi" stos kwestionariuszy weryfikacyjnych, które własnoręcznie potwierdził, w tym ankietę Czesława Nalborskiego ps. Dzik, który później stał się lokalnym bohaterem AK. Za wybitne zasługi bojowe obaj, Świacki i Nalborski, otrzymali ordery Virtuti Militari V kl. i Krzyże Walecznych. Zostali awansowani – Świacki na porucznika czasu wojny, Nalborski na podporucznika (z plutonowego rezerwy).

© AN

Płk Liniarski uznał za prawdziwą opisaną przez nich akcję w Prusach Wschodnich pod Ełkiem przeprowadzoną w 1943 r.

Akcję tę rok później rozsławił w opowiadaniu „Widmo śmierci" białostocki literat Aleksander Omiljanowicz. Pisarz wysoce kontrowersyjny – był w latach 40. nadgorliwym oficerem Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Szef resortu, minister Stanisław Radkiewicz, kazał go przykładnie ukarać za pomyłkowe torturowanie działaczy partyjnych. W 1948 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie skazał go na osiem lat więzienia, z czego odsiedział połowę. Później zajął się pisaniem. W 2003 r. na trop oprawcy z UB wpadł Instytut Pamięci Narodowej, który udokumentował jego znęcanie się nad członkami ugrupowania Wolność i Niezawisłość. Postawiono mu zarzuty i Sąd Rejonowy w Suwałkach skazał go na cztery i pół roku bezwzględnego więzienia. Omiljanowicz zmarł w zakładzie karnym w Barczewie w 2006 r.

W jego opowiadaniu polski robotnik w Ełku, wywiadowca AK Nalborski ps. Dzik, obserwował samochód z esesmanami jeżdżący regularnie do niemieckiego obozu jenieckiego położonego we wsi Bogusze. Było to komando egzekucyjne – esesmani pod dowództwem Hauptsturmführera Stammera rozstrzeliwali jeńców włoskich, radzieckich i Polaków (300 osób dziennie!). Miejscowa ludność pojazd ten nazywała „widmem śmierci". „Dzik" zawiadomił dowódcę oddziału partyzanckiego Świackiego „Sępa" i pomimo zakazu jakichkolwiek akcji przygotował plan zasadzki. W niedzielę 31 października 1943 r. czternastu partyzantów z „Sępem" i „Dzikiem" zaczaiło się na komando egzekucyjne w lesie pod Ełkiem. Partyzanci zabili trzynastu esesmanów i spalili ich Opla. Oddział wycofał się bez strat własnych. Nie było akcji odwetowych. Niemcy wstrzymali egzekucje i wyciszyli sprawę.

Historia ta powinna była budzić wątpliwości: akcja przeprowadzona wbrew zakazom dowództwa, po rozstrzeliwaniach miejscowej inteligencji (lipiec 1943 r.), przejście pieszo 40 km (w jedną stronę), przekroczenie strzeżonej granicy, brak odwetu ze strony Niemców. W dokumentach „Sępa" i „Dzika" brakowało konkretnej daty, nazwiska dowódcy esesmanów, nie było mowy o spaleniu Opla, podano mniejszą liczbę zabitych Niemców (11, a nie 13 jak w opowiadaniu). Fabułę o te szczegóły wzbogacił Omiljanowicz, a później kombatanci przejmowali jego opowieść. Nazwę „widmo śmierci" wymyślił Nalborski, ale Omiljanowicz napisał, że używała jej miejscowa ludność. Co do rzekomo masowo rozstrzeliwanych żołnierzy włoskich, ok. 10 tys. z nich przebywało w Stalagu I B/PR w Boguszach, ale ze wspomnień Włochów wynika, że w ciągu kilku tygodni większość z nich wywieziono do innych obozów.

Głównym bohaterem tej historii stał się Nalborski „Dzik", czemu Omiljanowicz dał wyraz w tytule rosyjskiego przekładu „Operacja Dzika" („Literaturnaja Rossija" z 6 maja 1966 r.).

W 1965 r. Liniarski z powodu intryg Nalborskiego wstrzymał weryfikację akowców. Opowieść „Widmo śmierci" Omiljanowicza ukazała się w „Gazecie Białostockiej", gdy bohaterowie byli w konflikcie.

Kloss z Ełku

Co wiemy o głównym bohaterze domniemanej akcji AK? Życiorys Czesława Nalborskiego pełen jest sprzecznych i fantastycznych epizodów: przedzierał się przez fronty, uciekł z obozu, szpiegował, strzelał, zabijał, namierzał etc. Miał też spotkać w Prusach mazurskiego poetę Michała Kajkę, choć przebywał wtedy w Grajewie pod sowiecką okupacją. Pracował w Ełku od września 1941 r., ale w karcie pracy figuruje „10 lipca 1942". Zdaniem historyka Orzechowskiego Świacki z nieznaczącego plutonowego rezerwy „zrobił szefa wywiadu na Prusy Wschodnie, postać zbliżoną do filmowego kpt. Klossa". Były kwatermistrz 9. Pułku Strzelców Konnych AK Józef Dąbrowski ps. Skiba napisał: „Nalborski jako szeregowy w szeregach A.K. niczem się nie wykazał, podczas okupacji przez cały czas pracował u Niemców jako robotnik przy budowie linii telefonicznej, nie brał udziału w akcji »Burza« (15 I 1971)".

Po wojnie Nalborski został informatorem bezpieki. W 1949 r. zatrzymany za przynależność do ZWZ-AK i wsadzony do więzienia w Ełku, został zwerbowany jako informator o kryptonimie „Wierny". W 1951 r. przekazywał informacje o akowcach z powiatu Grajewo, w tym o Świackim i jego kontaktach z najbardziej poszukiwanym członkiem antykomunistycznego podziemia na Białostocczyźnie, Janem Tabortowskim „Bruzdą". UB aresztowało Świackiego i jego syna Henryka. Po brutalnym śledztwie Świacki podpisał zeznania jako jeden z dowódców Demokratycznego Związku Walki o Niepodległość (DZWoN), wskazując piętnastu członków swojej organizacji. Wyrok jego wieloletniego więzienia skróciła październikowa odwilż. Wyszedł w 1957 r.

Mógł nie wiedzieć o agenturalnej współpracy Nalborskiego. Mógł być przez niego szantażowany. Pewne jest to, że w Ełku ich drogi się spotkały. Obaj zaświadczali nawzajem na swoją korzyść. W trakcie weryfikacji Świacki potwierdził, że Nalborski był wywiadowcą AK, uczestnikiem zamachu na esesmanów i przedwojennym harcmistrzem (prawdopodobnie tożsamość harcmistrza była mu potrzebna do inwigilacji ełckich harcerzy w latach 50.). Z kolei Nalborski zaświadczył, że Świacki zachowywał się przyzwoicie w Hilfspolizei oraz miał konspiracyjne zasługi.

Już po śmierci Świackiego za udział w zasadzce pod Ełkiem odznaczeni zostali dwaj prominentni lekarze: Henryk Misiewicz ps. Pirat dostał Virtuti Militari V kl., Leszek Misiewicz ps. Granit – Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami. Bracia Misiewiczowie nie pojawiali się wcześniej w opowieści o zasadzce, ale ich status został podniesiony do rangi głównych wykonawców zamachu. Akcja posłużyła jako furtka umożliwiająca dopisywanie kolejnych ludzi i przyznawanie im orderów.

Heroiczna fikcja

Zamach na gestapowców pod Ełkiem nie znajduje potwierdzenia w niemieckich źródłach ani w niezależnych relacjach. Lakoniczne zapisy o zdarzeniu można znaleźć w ankietach podpisywanych przez Władysława Świackiego. Pomnik pod Ełkiem stanął w 1989 r. na fali entuzjazmu po upadku „komuny" i odkrywania prawdy o AK. Jego powstanie uświetnili obecnością ks. płk Kossakowski i mjr Nalborski. Przez lata nikt nie zadał sobie trudu zbadania sprawy, nie sprzyjało też krytycznemu podejściu patriotyczne wzmożenie w czasach rządów PiS.

Autor, dr socjologii, pracuje na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Jest badaczem historii lokalnej Mazur, konfrontuje źródła historyczne z treściami pamięci lokalnej.

Sięgnij po pakiet Pomocników Historycznych POLITYK, poświęconych II wojnie światowej. Kupisz go na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

na ekranie

Nowe cyfrowe życie 5/6

Smok Diplodok, reż. Wojciech Wawszczyk, prod. Polska, 93 min

Być może nie da się zekranizować albumów Tadeusza Baranowskiego – z ich surrealistycznym humorem, grami słownymi, bogatymi literackimi odniesieniami. Jednak Wojciech Wawszczyk – znakomity komiksiarz i ceniony animator – udowodnił, że można z powodzeniem oddać na ekranie ich ducha. Jego film, w znacznej mierze czerpiący z tomów „Podróż smokiem Diplodokiem" i „Antresolka profesorka Nerwosolka", to piękny hołd złożony nie tylko Baranowskiemu, lecz także komiksowi jako sztuce.

Polscy animatorzy nie mają takich możliwości jak wielkie zachodnie studia, więc „Smok Diplodok" powstawał grubo ponad dekadę, wielkim nakładem sił, za to z niesłabnącą wiarą w sukces. Powstał jeden z najlepszych od lat polskich filmów dla dzieci, a i dorosłym oferujący coś więcej niż nostalgiczną wyprawę do przeszłości. Uniwersalny (zbierał entuzjastyczne recenzje po premierze na festiwalu animacji w Annecy), mądry, dowcipny, pełen ukrytych popkulturowych smaczków, które są jednak przyprawą, a nie – jak to zbyt często bywa – esencją opowieści. Tytułowy bohater jest tu wytworem wyobraźni zmagającego się z kryzysem twórczym rysownika Tadka (w scenach aktorskich gra go Piotr Polak). Nie zdaje sobie z tego sprawy, dopóki artysta nie postanawia wygumkować rysowanych ołówkiem stron. Świat Diplodoka znika w mgnieniu oka, ale sam młody dinozaur, obdarzony zdolnością przenoszenia się między rysunkowymi wymiarami, ucieka. Na swojej drodze spotyka niewydarzonego czarnoksiężnika Hokusa Pokusa, szalonego naukowca Nerwosolka i jego wierną asystentkę Entomologię. I być może ta cudaczna zbieranina znajdzie sposób, żeby uratować świat Diplodoka. Wszystko tu zagrało niemal perfekcyjnie: od świetnej animacji (warto podkreślić wkład Tomasza Leśniaka, który kilkanaście lat temu z Wawszczykiem zrobił film na podstawie komiksów o Jeżu Jerzym), przez dubbing, po niewymuszony, inteligentny humor i płynne połączenie scen aktorskich z animacją. A stworzone przez Baranowskiego światy film przełożył na język komputerowej animacji i dał im nowe życie. Oby jak najdłuższe.

JAKUB DEMIAŃCZUK

na scenie

Buntownicy z powodu 4/6

Heathers. The Musical, scen. i muz. Laurence O'Keefe i Kevin Murphy, reż. Agnieszka Płoszajska, Teatr Syrena w Warszawie

Najpierw był film, czarna komedia (u nas pod tytułem „Śmiertelne zauroczenie") w reż. Michaela Lehmanna z 1988 r. Winona Ryder i Christian Slater z (przerażającym) wdziękiem wcielali się w parę buntowników na amerykańskiej prowincji, którym zaprowadzanie sprawiedliwości w lokalnym liceum wymyka się z rąk. W 2010 r. Laurence O'Keefe i Kevin Murphy opowiedzieli za pomocą piosenek, tańca i czarnego humoru tę samą historię o trudach dorastania, ciężarze traum z dzieciństwa, poczuciu odrzucenia, niezrozumienia ze strony dorosłych, samotności i potrzebie akceptacji, które mogą się przerodzić w dramatyczne czyny. Kontekstem polskiej inscenizacji jest fala samobójstw nastolatków. Akcja dzieje się w szkole rodem z amerykańskich seriali, z przemocą na pierwszym planie. Jej źródłem są kompleksy i strach, a siewcami – trzęsące placówką tytułowe trzy Heathers, zwane Heterami, oraz szkolne gwiazdy sportu Kurt i Ram. Terroryzowana Veronica (dobra Natalia Kujawa) najpierw próbuje się przystosować, a potem razem z nowym w szkole, charyzmatycznym JD (świetny Maciej M. Tomaszewski) przeciwstawić. Bywa groteskowo, bywa dramatycznie, bywa krindżowo i odważnie, a najważniejsze, że całość, sądząc z reakcji podczas spektaklu, trafia do młodej widowni.

AK

Czary bez pary 3/6

To zawsze Agatha, twórczyni serii: Jac Schaeffer, Disney+, 9 odc.

Nowa produkcja osadzona w realiach komiksów Marvela wraca do miasteczka Westview, znanego już z serialu „WandaVision". Bohaterką jest tym razem Agatha Harkness (niemiłosiernie szarżująca **Kathryn Hahn**), potężna zazwyczaj wiedźma, chwilowo pozbawiona mocy. Aby ją odzyskać, łączy siły z nastoletnim gotem (Joe Locke, znany z bardzo udanej ekranizacji komiksu „Heartstopper"), niezdrowo zafascynowanym procesem czarownic z Salem, i próbuje odtworzyć swój sabat, a przy okazji musi zmierzyć się z dawną przeciwniczką, Zieloną Wiedźmą (Aubrey Plaza). Są czary, jest trochę humoru, emocji jednak jak na lekarstwo. „WandaVision" była bliska perfekcji: sitcomowe wątki układała w zaskakująco poważną i smutną opowieść o nieprzepracowanej żałobie. „Agatha" – przynajmniej na razie (w streamingu dostępne są trzy epizody) – niewiele ma do zaoferowania poza zbiorem wysłużonych klisz i jest raczej świadectwem pogarszającej się kondycji projektu Marvel Cinematic Universe. Zaczyna się obiecująco, jak nerdowska wariacja na temat małomiasteczkowych seriali kryminalnych (na ekranie pojawia się nawet tytuł „Agnes z Westville" i przez chwilę mamy wrażenie, jakbyśmy oglądali parodię „Mare z Easttown"), ale po paru minutach urok pryska, pozostawiając sztampową historyjkę w halloweenowych klimatach. Magia jest ważną częścią świata komiksów Marvela, tu jej jednak – w każdym razie w metaforycznym znaczeniu – zabrakło.

JD

Razem/osobno 3/6

Rozwodnicy, reż. Michał Chaciński, Radosław Drabik, prod. Polska, Netflix, 93 min

Wyjściowy pomysł to samograj: Małgosia i Jacek, para, która rozwiodła się ponad 20 lat wcześniej, teraz musi unieważnić ślub także przed sądem kościelnym. Choć to remake litewskiego filmu sprzed dwóch lat, sytuacja wydaje się wręcz idealnie dopasowana do polskich realiów. Z jednej strony daje okazję do kpiny z absurdów kościelnej biurokracji (a zarazem presji, jaką wciąż wywiera kler na ludzi), z drugiej – szkicuje niepozbawiony złośliwości portret mieszczańskiej hipokryzji i skłonności do załatwiania wszelkich problemów na skróty, najchętniej za pomocą niezbyt wyrafinowanych kłamstw lub niewygórowanych łapówek. I dopóki „Rozwodnicy" trzymają się tej ścieżki, nie jest najgorzej. Humor nierówny, realizacja na przeciętnym telewizyjnym poziomie, ale za to Magdalena Popławska i Wojciech Mecwaldowski w rolach eksmałżonków tworzą zgrany duet, a dzielnie sekunduje im Tomasz Schuchardt w roli nowego męża Małgosi. Jednak fabuła szybko traci impet, szczególnie gdy skręca w zbyt dobrze znane rejony komedii romantycznej: nietypowa sytuacja pozwala bohaterom przewartościować życiowe priorytety i naprawić (a przynajmniej zdiagnozować) rodzinne problemy, satyra – i tak niezbyt ostra – łagodnieje, a największą ekstrawagancją okazują się wariacje na temat „W grocie Króla Gór" Edvarda Griega do zmęczenia powtarzane w ścieżce dźwiękowej.

JD

W pięknych kostiumach 3/6

Dom mody (La Maison), twórcy serii: José Caltagirone i Valentine Milville, 10 odc., Apple TV+

Dotąd potentatem w dziedzinie seriali o świecie mody był Disney+ („Cristóbal Balenciaga", „Becoming Karl Lagerfeld" czy dokument „In Vogue: Lata 90."), ale wyrasta mu rywal. Apple TV+ najpierw pokazało „Nowy styl", z walczącymi o tytuł najważniejszych krawców haute couture w powojennym Paryżu Christianem Diorem i Coco Chanel, a teraz w „Domu mody" przenosi tę walkę do czasów współczesnych, ustawiając w ringu dwa fikcyjne przedsiębiorstwa krawieckie. Całość inspirowana jest „Sukcesją", zrealizowana siłami francuskimi i w stylu rodem z telenoweli. Znów rodzina równa się wielka firma (bogactwo, ambicje i kompleksy), ale zamiast globalnych potentatów medialnych z USA mamy globalne domy mody z Paryża: Ledu zarządzany w starym stylu przez Vincenta Ledu (**Lambert Wilson**) i chcący go przejąć Rovel, megakorporację w rodzaju LVMH, z diaboliczną Diane Rovel (Carole Bouquet) u steru. Firmy są dodatkowo

powiązane rodzinnie, co ma podnieść rywalizację na wyższy poziom. A oprócz tego fabułę mają nakręcać wymuszona sukcesja, skandale, zakazane romanse i tajemnice sprzed lat – na tle wyzwań, przed jakimi staje dziś świat luksusowej mody. Francuski serial jednak nie wychodzi poza klisze, jest wygładzony i przestylizowany, na myśl przychodzi nie „Sukcesja", lecz „Emily w Paryżu". To rozrywka bezpieczna i przyjemna dla oka, momentami nawet uwodząca.

ANETA KYZIOŁ

© STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, DISNEY+, NETFLIX/PAWEŁ DRABIK, APPLETV

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

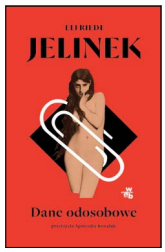

Podatek i szpilorek 5/6

Elfriede Jelinek, **Dane odosobowe**, przeł. Agnieszka Kowaluk, W.A.B., Warszawa 2024, s. 256

Wściekły monolog Elfriede Jelinek ma konkretne źródło, a mianowicie śledztwo podatkowe, które toczyło się w sprawie noblistki w Bawarii. Były przeszukania domu i konfiskata osobistych papierów. Chodziło o udowodnienie oszustwa i spłatę długu wobec państwa niemieckiego. Śledztwo umorzono, ale wściekłość została i ona jest glebą tego tekstu, w który Jelinek wplata swoją historię rodzinną i żydowskich przodków. Wszystko to jest mową skierowaną do państwa. I tu należą się brawa dla tłumaczki, która przez ten szalony bieg skojarzeń i zapętleń prowadzi nas pewną ręką, wydobywając i absurd, i humor tych wywodów. „Państwo jest władzą, nie ma już zębów, ale kiedy widzi kogoś, kto mu nie smakuje, natychmiast wyciąga szczękę ze szklanki i wsadza ją sobie, żeby móc pożreć każdego, kogo zechce". Jelinek nie oszczędza nikogo, również siebie – starej wrony, która dziobie piłeczkę pingpongową; kogoś, kto za dużo mówi, więc publiczność pouciekała. Bo ten tekst jest monologiem scenicznym. Narratorka czepia się przeszłości, w której prześladuje ją ucięta ręka wujka albo słowo „szpilorek". Wypowiada nienawiść do ludzkości, miota gromy z bezradności i opisuje swój stan: „Ja muszę tu zostać, nie mogę inaczej, tutaj stoję. Tutaj być może pójdę też siedzieć". Swoje wywody o prawdzie porównuje do sprzedawania w śniadaniowej telewizji pustki w opakowaniach. Można to czytać jako traktat o śmierci i jako wywód o krążeniu pieniądza, o hipokryzji, i o słowach, które z nami grają: „Gonią mnie, aż się przewracam o własne słowa. Bla!".

JUSTYNA SOBOLEWSKA

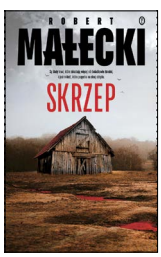

Podłość i dobroć 4/6

Robert Małecki, **Skrzep**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024, s. 365

Piąty już tom serii z Bernardem Grossem w roli głównej. I chociaż można odnieść wrażenie, że kryminały ukazujące się w cyklach zjeżdżają w Polsce (i nie tylko, dodajmy uczciwie) z fabrycznej taśmy, to Robert Małecki trzyma poziom. Wciąż potrafi zaintrygować i wie, które struny poruszyć, żeby odpowiednio zabolało. Gdyby nie wymyślił tych zabójstw, czytalibyśmy o nich pewnie w mediach, bo spełniają kryterium sensacyjnych, zagadkowych historii, które śledzi się w odcinkach przez wiele dni. Tym razem mamy do czynienia z tzw. zabójstwem rozszerzonym (bohaterowie przypominają, że fachowo mówi się o zabójstwie poagresyjnym). Na to wskazują sceny zbrodni. Mężczyzna odebrał sobie życie nieopodal własnego domu (powiesił się, funkcjonariusze tym razem mówią potocznie o „breloku"), jego żona i siedmioletnia córka zostały brutalnie zamordowane. Wiele wskazuje na winę męża, wojskowego cierpiącego na PTSD, który wrócił właśnie z ćwiczeń w Drawsku Pomorskim. Sprawę dałoby się zamknąć prędko, ale Gross jest na to za uparty i zbyt dociekliwy. Od kilku tomów myśli co prawda o emeryturze, a rozchwiane życie prywatne nie chce się naprostować. W obu tych sferach czytelnik mu dopingująco towarzyszy. Czuć, że Małecki nie traci serca dla Bernarda, Skałki, doktor Raszei i całej chełmżyńskiej ekipy. Zachowuje właściwe, jak się zdaje, proporcje agresji, wiedzy kryminalistycznej, ludzkiej podłości i dobroci. Efekt niepokoi i wciąga. I o to chyba ostatecznie chodzi.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

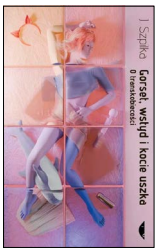

Trans w boymodzie 5/6

J. Szpilka, **Gorset, wstyd i kocie uszka. O transkobiecości**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024, s. 208

W wywiadzie dla POLITYKI (25/22) amerykańska pisarka Torrey Peters („Trans i pół, bejbi") wspomniała o tym, jak Ameryka eksportuje swoją kulturę trans na cały świat. „W internecie wszyscy są z Ameryki" – zauważa z kolei J. Szpilka i proponuje opowieść idącą wbrew stereotypom znanym z lektur i telewizji. To oda do (niełatwo zdobytej) radości z bycia trans, różna od historii nowojorskich ciem barowych (choć autorka wzdycha do bohaterki powieści Peters), aktywistek czy bywalczyń warszawskich klubów LGBT. Szpilka pokazuje, jakim wyzwoleniem od gorsetu rzeczywistości stał się internet, z przyjaźniami i miłościami międzykontynentalnymi. To świat, w którym udaje się przed normikami chłopca (czyli wchodzi w tryb chłopaka – *boymode*), ale performuje się kobiecość jako awatar w grach wideo, w popkulturze szuka się spełnienia marzeń, a w pornografii BDSM – siły do wyjścia ze swoich ograniczeń. Autorka ma warsztat akademiczki, ale pióro zręcznej eseistki. Spiera się z radykalnymi feministkami sprzed dekad, przedstawia nieoczywistą opowieść o kulturze nerdów, mówi o chłopięcości i transmizandrii. Szpilka mówi swoim głosem, dla siebie i swoich sióstr, ale zaprasza do wysłuchania, czasem tylko daje lekkiego prztyczka w cis nos, nie wyjaśniając terminów takich jak „T4T" czy „chaser". Proszę się jednak nie bać, to w istocie jest książka o pragnieniu życia, wolności i solidarności, która otwiera głowę na różne sposoby – nawet osobom, które wszystkiego, co muszą wiedzieć o swojej tożsamości płciowej, zdążyły nauczyć się już w przedszkolu.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

©SOPHIE BASSOULS/BRIDGEMAN IMAGES/EAST NEWS, FAF, MP (6)

w galerii

Ucieczka od realizmu 4/6

Zabić biel. Fotografia poza realizmem, Fundacja Archeologii Fotografii, Warszawa, do 10 listopada

Każdego roku jesienna cykliczna impreza Warsaw Gallery Weekend kusi widzów dziesiątkami nowych wystaw. W ramach tej przebogatej oferty warto się zainteresować ciekawym przedsięwzięciem zestawiającym prace trzech nieżyjących już fotografów. Połączono ich dość osobliwie, prezentując fotografie, które z założenia kontestowały istotę, wydawałoby się, tej formy artystycznego wyrazu: jej realizm. Z prezentowanej trójki największą popularność, przede wszystkim za sprawą fotografii znanych twórców czy sportowców, zyskał Andrzej Georgiew. Wystawa ujawnia jego inną, prawie nieznaną, artystyczną duszę: zanurzoną w abstrakcji, przez którą tylko gdzieniegdzie przebijają się echa rzeczywistego świata. W odmienny sposób uciekał od realizmu Mariusz Hermanowicz. Nie rezygnował z dobrze nam znanych motywów, jak choćby ludzka postać, ale poprzez zabiegi z cieniem i montaż uzyskuje nieoczekiwane, kojarzące się z surrealizmem efekty. I wreszcie Antoni Zdebiak, którego fotograficzne działania performatywne i konceptualne najbardziej z tej trójki zbliżają go do progresywnej współczesnej sztuki. W sumie trzy bardzo różne, ale równie ciekawe i mało znane pomysły na odrealnienie najbardziej realnego z twórczych mediów. I ciekawostka – w ramach wystawy pokazano klasyczną fotograficzną ciemnię. Coś, co jeszcze za czasów mojej młodości stanowiło normalne wyposażenie każdej szkoły, dziś ma już status eksponatu i historycznej ciekawostki.

PIOTR SARZYŃSKI

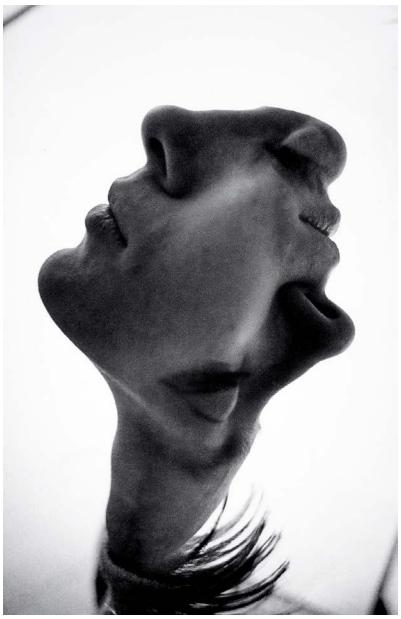

Mariusz Hermanowicz, Bez tytułu, ok. 1966-69

na płycie

Z empatią, z sympatią 5/6

Nosowska/Król, **Kasia i Błażej**, Kayax

Piosenkarskie duety to praktyka doskonale znana. Jeśli mają śpiewać kobieta i mężczyzna, to o miłości albo o trudnym rozstaniu. Łatwo się ześlizgnąć w banał. Katarzyna Nosowska i Błażej Król zbyt wiele jednak wiedzą nie tylko o śpiewaniu, ale i o pisaniu piosenek, żeby ich wspólny duet zatrzymał się na poziomie zużytego schematu. Dlatego album „Kasia i Błażej" jest prawdziwą muzyczno-poetycką perełką („Będziemy perłą pomiędzy świecidełkami" – śpiewają). To rodzaj dialogu rozpisanego na 12 piosenek o różnych stanach emocjonalnych – od depresyjnej melancholii po niemal ekstatyczne uniesienia. Jest, jak w „Dalej", motyw ucieczki i zagrożenia, jest też bezgraniczna wiara w partnera dialogu, jak w utworze „Błyszcz". Równie ważna pozostaje atmosfera: czuła, empatyczna, pełna zrozumienia. Na tle naszych – mniejszych i większych – dramatów życia prywatnego ma to znaczenie iście doniosłe. A wszystko podane w pięknej muzycznej formie. Oboje w najlepszej wokalnej kondycji, choć w ich śpiewaniu subtelność wyraźnie góruje nad siłą głosu. I o to przecież chodziło.

MIROSŁAW PĘCZAK

Po apokalipsie 5/6

Blindead 23, **Vanishing**, Mystic

Z muzyką postmetalową, ciągnącą za sobą ciężar skojarzeń z różnymi nurtami mocnego grania, jest trochę jak z opowieściami o postapokalipsie. Na tyle mocno wżarła się w mainstream, że powinna zainteresować coraz szersze grono odbiorców. Taką szerokość horyzontów słychać u Blindead 23, w dużej mierze – jak sama nazwa wskazuje – nowej inkarnacji Blindead, czyli świetnie przyjmowanej polskiej grupy, która kilka lat temu zawiesiła działalność. I tu na czele pojawiają się gitarzysta Mateusz Śmierzchalski oraz wokalista Patryk Zwoliński. Podstawowy skład uzupełnia Paweł Jaroszewicz, perkusista znany m.in. z zespołu Antigama. A wśród nowych muzyków znajdziemy też m.in. Szweda Rogera Öjerssona z formacji Katatonia i Tiamat. Niespełna półgodzinny materiał to trzy rozbudowane, a przy okazji zręcznie ze sobą zszyte kompozycje, w których uderza zarówno duża rozpiętość dynamiczna partii instrumentalnych, jak i szeroka paleta technik wokalnych. Ta wariacja na temat muzyki metalowej brzmi nie tyle jak amalgamat różnych konwencji, ile raczej ich efektowne połączenie w formach przypominających minisuity – z melodyjnością, która przyciągnie fanów rocka progresywnego, gęstą atmosferą horroru, ale też finezją harmoniczną riffów.

BARTEK CHACIŃSKI

I byle jak 1/6

Katy Perry, **143**, Capitol

Co może zdobyć miliony odsłuchów w serwisach streamingowych? Otóż często coś, co prawie nikomu – włącznie z dużą częścią fanów – się nie podoba. Płyta „143" (jak „I love you" – od liczby znaków w każdym wyrazie) Katy Perry udowadnia, że rynek oparty nie na konieczności płacenia za coś (po sprawdzeniu, co jest warte), lecz na możliwości sprawdzenia w zamian za stały abonament, często promuje bylejakość. W tym wypadku – album artystki, która 13 lat temu triumfalnie spoglądała z okładki „Rolling Stone'a", a której kolejną próbę to samo pismo określa dziś mianem „porażki". Zestaw tanecznych piosenek przygotowany pod producencką opieką Łukasza Gottwalda, czyli Dr. Luke'a (który spór sądowy o nękanie na tle seksualnym rozpoczęty przez inną wokalistkę, Keshę, po latach zakończył ugodą), jest pozbawiony pomysłu. I tak wyprany z emocji, że nie przyniesie satysfakcji nawet przy próbie ironicznego podejścia. Broni się dyskotekowy „All the Love", choć i ten wydaje się kliszą z przeszłości. Resztę repertuaru mogłaby stworzyć sztuczna inteligencja. Smutne memento dla tych, którzy wierzą w siłę rekordów: 13 lat temu Perry wyrównała rekord Michaela Jacksona liczby singli z jednego albumu na pierwszym miejscu listy bestsellerów, w wypadku „143" ta liczba wynosi zero. BCH

Nagle zaistniałam

Pływasz albo toniesz, innego wyjścia nie było – mówi o swojej emigracji i pozycji zawodowej Dagmara Domińczyk, aktorka znana z „Sukcesji", teraz grająca w polskim filmie „Rzeczy niezbędne".

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Co trzeba zrobić, żeby zagrać w jednym z najlepszych seriali wszech czasów?**

DAGMARA DOMIŃCZYK: – Mieć superagenta, który przynosi takie propozycje, i wziąć udział w castingu. Po otrzymaniu scenariusza pilota „Sukcesji" na przesłuchaniu kazano mi się nauczyć monologu Karoliny Novotney, postaci, o której rolę się ubiegałam. Nie było go w tekście. Chcieli sprawdzić, jak sobie poradzę.

Konkurencja była duża?

Chyba specjalnie poumawiano nas tak, by kandydatki się ze sobą nie kontaktowały. Szefa castingu znałam od lat. Mam dobre relacje z ludźmi z tego środowiska. Generalnie lubię castingi, bo to okazja, by sprawdzić swój warsztat. Nie czułam stresu, wiedziałam, że scenariusz zapowiada się wyjątkowo, całości jednak nie czytałam. Tylko jeden odcinek. Parę dni później dostałam rolę Karoliny.

Od razu wiedziała pani, w czym bierze udział?

Nawet po pierwszym sezonie nikt z obsady nie liczył, że serial stanie się wielkim wydarzeniem. Spodziewaliśmy się, że krytycy go polubią, bo taki inteligentny, mocny. Ale że historia walki o fotel prezesa korporacji Waystar Royco, rozpadu wszechpotężnej rodziny, przemówi do wyobraźni prawie wszystkich widzów?

Kręciliście po wybuchu afery z Weinsteinem. To był mniej więcej ten sam czas. Czy to wpłynęło na atmosferę?

Z tego, co wiem, to nie. A jeśli pan pyta o #MeToo, czy ja też byłam molestowana w swoim życiu, to odpowiem, że każda kobieta – w ten czy w inny sposób – była. Tylko że kiedyś nie uznawano tego za zbrodnię. Obowiązywały inne standardy. Jak facet przekraczał granice, same musiałyśmy sobie radzić. Teraz powolutku się to zmienia. Widzę efekty tych zmian, np. na planie. W głównych rolach obsadza się więcej pań. Pracowałam

© BE&W

ostatnio z kilkoma reżyserkami, wcześniej to była rzadkość. Zatrzaśnięte drzwi zostały uchylone.

W pani przypadku mówimy o niebezpiecznych sytuacjach?

Przypominam sobie dwa nieciekawe, nieprzyjemne incydenty. Jeden, jak miałam 11 lat, drugi już na studiach. Lecz jeżeli chodzi o Hollywood, to nie, nic takiego na szczęście mnie nie spotkało. Owszem, kazano mi schudnąć, komentowano mój wygląd, ale to była norma. Natomiast nie miałam żadnych dwuznacznych propozycji czy przesłuchań w pokoju hotelowym. Może dlatego, że wszyscy wiedzieli, że jestem córką polskiego działacza związkowego, i to ich powstrzymywało.

„Sukcesja" opowiada o brutalnych relacjach wewnątrz rodziny potentata medialnego Logana Roya. Czy ten opis skorumpowania amerykańskich elit pasuje również do Hollywood?

Nigdy nie mieszkałam w Los Angeles, sporadycznie tylko na Zachodnim Wybrzeżu kręciłam filmy, więc z mojej perspektywy trudno ocenić, jak to wygląda naprawdę. Oczywiście mam dużo koleżanek aktorek i przyjaciół z teatru. Gdy ujawniają jakieś brudy, bezwarunkowo im wierzę. W każdym środowisku są bardzo wpływowi ludzie, którzy uważają, że mogą więcej. W Hollywood im potężniejsza gwiazda, tym bardziej lukratywne otrzymuje stawki i tym większe zyskuje poczucie bezkarności. Jestem szczęśliwa, że ułożyłam sobie życie na uboczu. Mieszkam w Montclair, niewielkim miasteczku pod Nowym Jorkiem, moje dzieci chodzą do państwowych szkół, nie wynajmuję nianiek. Wiedziemy z mężem, aktorem Patrickiem Wilsonem, normalne życie.

Karolina Novotney, zimna, opanowana, małomówna szefowa piar w imperium Royów, nie jest postacią pierwszoplanową. Znika na całe odcinki, bywa, że długo się nie pojawia. Tymczasem w czołówce serialu pani nazwisko widnieje niemal na pierwszym miejscu.

Z racji uprawianego zawodu Karolina musi brać dużo dni wolnych. Tyle ją kosztują intrygi i bałagan w rodzinie Royów, że musi mieć czas, by odreagować stres. Śmieję się, a prawda jest taka, że umówiliśmy się na demokratyczne zasady. Lista aktorów pojawia się w porządku alfabetycznym. Otwiera ją Brian Cox, potem jest moje nazwisko.

Karolina notuje, analizuje, naprawia niektóre błędy zarządu, jej charakter nie ulega jednak przemianie. Nie zależało pani, by więcej wokół niej się działo?

Założenie było takie, by ona nie uzewnętrzniała swoich emocji, a ja jestem bardzo uczuciowa, sporo gestykuluję, długo nie usiedzę spokojnie w jednym miejscu. W serialu grałam w obcisłej marynarce, która miała poskramiać mój temperament. Wiadomo było, że Karolinie nie wolno się wtrącać w bezpośrednią rozgrywkę między Loganem a jego dziećmi. Żartowałam z pomysłodawcą serialu Jessem Armstrongiem, że powinniśmy chociaż pokazać, z kim ona chodzi na randki, wejść do jej sypialni. Niestety walka o sukcesję miała pierwszeństwo. Dla mnie satysfakcjonujące było to, że znalazłam się w niesamowitej grupie utalentowanych artystów. Dużo dobrego z tego wyniknęło.

Co na przykład?

Zdobyliśmy nagrodę gildii aktorów za najlepszą obsadę. Byłam kojarzona z wybitną produkcją. Prawie wszyscy ją oglądali. Od dyrektorów wytwórni po moją sąsiadkę. Wkrótce dostałam znaczącą rolę w „Córce", gdzie zagrałam z Olivią Colman. Dostrzegła i zatrudniła mnie w „Priscilli" Sofia Coppola. Jestem za to bardzo, bardzo wdzięczna.

Rozgryzła pani, na czym polega fenomen popularności tego serialu?

Myślę, że wszystkich fascynuje mechanizm władzy. Dlaczego ludzie na szczycie, rekiny finansjery, taplają się w emocjonalnym bagnie i sami siebie unieszczęśliwiają. Kiedy przyglądamy się ich upadkowi, świat wydaje nam się sprawiedliwszy. Bogaci niby mają wszystko, a okazują się potworami. Podglądanie jest moralnie naganne, z drugiej strony – jak to jest świetnie napisane i przedstawione! Mimo wszystko zależy nam na tych ludziach. Nienawidzimy ich i kochamy.

Jak w „Królu Learze", z którym „Sukcesja" bywa porównywana. Pani ojciec był takim władcą roztaczającym opiekę nad trzema ukochanymi córeczkami?

Tak! Moja siostra Marika jest cztery lata ode mnie młodsza, Veronika o dziesięć. W dzieciństwie naszym marzeniem było zagrać w „Trzech siostrach" Czechowa, niestety, teraz jesteśmy na to za stare.

Pani relacja z ojcem rzeczywiście miała posmak szekspirowski?

Tata żył na pełnych obrotach. Dużo ryzykował. Stracił ojca w wieku 22 lat. Jego ojciec, a mój dziadek, w czerwcu 1976 r. po drastycznych podwyżkach cen żywności wziął udział w akcji protestacyjnej w Kielcach. Został pobity przez milicję, trafił do szpitala i na skutek odniesionych ran zmarł. Ja miałam wtedy miesiąc, mój ojciec, cholernie przystojny kobieciarz, zradykalizował się politycznie. Został aktywnym działaczem opozycji.

Pożegnała go pani w trakcie realizacji czwartego sezonu „Sukcesji".

W nowojorskiej katedrze, siedząc przy urnie Logana, z trudem powstrzymałam się od łez. Opanuj się, Karolina by przecież nie płakała – strofowałam samą siebie. Moje myśli zaczęły krążyć wokół ojca, o którego całe życie się bałam. On zawsze żył w biegu, nie dbał o siebie. Nad ranem 13 grudnia 1981 r. został internowany. ZOMO włamało się do naszego domu. Narobili bałaganu, zakuli go w kajdanki i wywieźli. Siedząc w więzieniu, zaczął spisywać wspomnienia, które w formie grypsów matka przemycała na wolność. Zachowałam je. To niezła literatura, kronika tamtych czasów. Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się te notatki opublikować. Matka wracała z widzeń skrajnie zestresowana. Nie mieliśmy za co żyć. Gdyby nie paczki z Kościoła, byłoby ciężko. Mnie obchodziło tylko, kiedy go wypuszczą i czy jego zdrowiu nic nie zagraża. Bałyśmy się, że go stracimy. Lęk, że on zniknie i nigdy już nie wróci, stale mi towarzyszył. Także po jego powrocie z internowania. Dwa tygodnie po nakręceniu sceny pogrzebu Logana, dzień przed oficjalnym zakończeniem zdjęć do „Sukcesji", tata nagle zmarł. Przez trzy miesiące praktycznie nie wychodziłam z domu. Leżałam jak sparaliżowana w ciężkiej żałobie, nie będąc w stanie dojść do siebie.

Czytałem, że Mirosław Domińczyk blisko współpracował z Lechem Wałęsą.

Zaczynał jako przewodniczący regionu świętokrzyskiego. Brał udział w strajkach w Stoczni Gdańskiej. Zachowały się jego zdjęcia z Wałęsą. Gdy wzięli go do wojska, zdezerterował. Złapali go, skazali, po czym znowu uciekł. I tak w kółko kilka razy. Nie chciał służyć ruskim komunistom. W stanie wojennym w więzieniu przypomnieli mu o tym. Niezależnie, jak potoczyłyby się losy Solidarności, mogli go trzymać, ile chcieli. Był karany. Jego sytuacja była beznadziejna. Po 11 miesiącach złożono mu propozycję nie do odrzucenia.

Emigracja albo odsiadka?

Taki szantaż. Paszport konsularny w jedną stronę i *bye, bye* – albo wieloletni wyrok. Idealny sposób na pozbycie się niepokornych, wysokiej rangi działaczy.

Jak to przeżyliście?

Do wyjazdu namówiła go matka. Zróbmy to dla dzieci – przekonywała. On nie chciał, w końcu uległ. Ostatnią noc w kraju spędziliśmy u babci Krysi. Spałam na złączonych fotelach, dużo ▶

▶ ludzi przychodziło się żegnać. Dostałam od niej na pamiątkę zeszycik z własnoręcznie przez nią napisanym wierszykiem. Brat cioteczny narysował piękny obrazek. Każdy się wpisywał.

Rodzice próbowali coś tłumaczyć?

Nie pamiętam. Z Polski zostało mi wiele wspomnień. Pierwszy seans filmowy z siostrą cioteczną na „W pustyni i w puszczy". Sanki z babcią. Jej mieszkanie, ciężki zapach klatki schodowej, trzepak. Ale z podróży – niewiele. Sąsiad odtransportował nas z Kielc do Warszawy dostawczym Żukiem. Nie wiem, co się działo w trakcie lotu do Niemiec i potem. Babcia mówiła, że to był dla mnie zbyt duży szok. Następny obrazek to obskurny hotel w Nowym Jorku, śmierdzące dywany i karaluchy. Na ulicach mnóstwo bezdomnych. Wylądowaliśmy tam w 1983 r.

Było ciężko?

Pływasz albo toniesz. Innego wyjścia nie było. Więc szybko się nauczyłam pływać. Dla rodziców to był większy kłopot. Ojciec w ogóle nie chciał zostawać w Stanach. Mamie zależało. Na tym tle dochodziło między nimi do awantur. Ich małżeństwo powoli zaczęło się sypać. Nie było jednak dokąd wracać.

Co się wtedy robi?

Trzeba się dostosować do nowego życia. Oboje nie znali języka. Mama zaczęła pracować jako sprzątaczka. Ojciec zaczepił się w polonijnej centrali związków zawodowych. Jeździł do Paryża, do Londynu, do Berlina Zachodniego. Organizował przemyt drukarek, maszyn do pisania, kserokopiarek do Polski. Po wolnych wyborach parlamentarnych w 1991 r. już nie potrzebowali jego pomocy.

Mogliście legalnie wrócić.

Pojawiła się szansa. Ojciec dostał propozycję od rządu Olszewskiego. Nie znam szczegółów, ale na tyle poważną, że był gotów wracać. Zaprotestowała mama. Nie chciała znowu zaczynać od zera. Po ośmiu latach pobytu w Ameryce ułożyła nam życie. Ja z siostrami chodziłam do szkoły. Polubiłam życie w Nowym Jorku. Ojciec się poświęcił. Został taksówkarzem, dorabiał jako gospodarz kamienicy, gdzie sprzątał.

Miał o to pretensję?

Jak usłyszał, że chcę być aktorką, kompletnie się załamał. Ojciec analfabeta, matka sprzątaczka, a ty sobie wyobrażasz, że będziesz robiła karierę w Hollywood?! Dziewczyno, zejdź na ziemię! Nie wierzył w *american dream*. Życzył mi jak najlepiej, żebym coś osiągnęła, ale jako dziennikarka.

Kiedy pani poczuła, że Ameryka to wasz kraj?

Od pierwszej klasy podstawówki chodziłam do amerykańskiej szkoły katolickiej, więc to nie był dla mnie problem. Drugie pół dnia uczyłam się z rówieśnikami z Chin, Rosji, Ukrainy w ESL (English as a Second Language). Angielski od podstaw. Dzieci tak mają, że szybciej się adaptują. Rodzicom przychodziło to z większym trudem. Nie byli w stanie mi pomagać nawet przy odrabianiu lekcji.

Skąd się u pani wzięło to aktorstwo?

W czwartej klasie trzeba było wygłosić mowę. Wybrałam Sojourner Truth, czarnoskórą abolicjonistkę walczącą o równouprawnienie w epoce Lincolna. Ubrałam się jak ona. Założyłam długą spódnicę mojej mamy, bluzkę z kołnierzykiem, chustę na głowę. Zrobiłam wrażenie. Nauczycielka wydawała się zaskoczona również tym, że nie dostrzega we mnie napięcia, żadnego zdenerwowania. Cicha, prawie niewidoczna, nagle zaistniałam. Wtedy zaświtała mi myśl, że może granie nie jest złym pomysłem. Rodziców nie stać było na prywatne katolickie liceum. Jedna z koleżanek wybierała się do alternatywnej, publicznej High School of Performing Arts na Manhattanie. Ze specjalizacjami z tańca, śpiewu, rysunku i teatru. Wybrała balet, ja nalegałam, by rodzice pozwolili mi pójść do klasy aktorskiej. Mama się ucieszyła, ojciec machnął ręką. Ponieważ nigdy na oczy nie widziałam prawdziwej sceny i nie przeczytałam żadnej sztuki, zaprowadził mnie do Michała, znajomego emigranta, który kiedyś miał etat w łódzkim teatrze. Wypożyczyłam książkę z monologami dla nastolatków napisanymi przez nastolatków, wybrałam dla siebie dwa, dość banalne. A pan Michał pomagał mi odnaleźć w tym jakiś głębszy sens. Koleżanki na balet nie przyjęto, mnie się udało. Efekt był taki, że przez następne lata codziennie musiałam dojeżdżać na zajęcia dwiema liniami metrami i autobusem z Brooklynu, co zajmowało bite dwie godziny w jedną stronę.

Dagmara Domińczyk
(ur. 1976 r.) – amerykańska aktorka polskiego pochodzenia, której światową sławę przyniosła rola w serialu „Sukcesja". Jak lubi podkreślać, jest rodowitą kielczanką. Uczyła się w Fiorello H. LaGuardia High School of Music & Art and Performing Arts i Carnegie Mellon University. W 1998 r. zadebiutowała na Broadwayu w przedstawieniu „Closer". Grała m.in. w filmach Maggie Gyllenhaal („Córka"), Sofii Coppoli („Priscilla"), Kitty Green („Asystentka"), Władysława Pasikowskiego („Jack Strong"), Kevina Reynoldsa („Hrabia Monte Christo"), Billa Condona („Kinsey"), Jamesa Greya („Imigrantka") oraz w serialach, m.in. „Żona idealna", „24 godziny", „Miasto jest nasze".

Polskie pochodzenie panią ograniczało?

Polskość nigdy mi nie ciążyła. Niektórym tylko nazwisko przeszkadzało. Moja agentka radziła, żebym je zmieniła na lepiej brzmiące Dagmara Mink. Co do pasji, nigdy w nią nie wątpiłam. Wiedziałam, że jest autentyczna. Lubiłam opowiadać bajki siostrom, robić z nimi filmiki, organizować osiedlowe *talent shows*. Grając, czułam się widziana, ważna, byłam bliżej ludzi.

Kiedy pani rodzice się rozwiedli?

Gdy poznałam mojego męża Patricka Wilsona. Miałam wtedy 27 lat. Zdawałam sobie sprawę, że od dawna nie najlepiej się między nimi układa. Ale rozpad ich związku i tak mnie zaskoczył i bardzo zabolał. Jako totalna romantyczka modliłam się, żeby nie powtarzać ich błędów. Nie straciłam nadziei na prawdziwą miłość. Ciągle desperacko się w kimś zakochiwałam. Nieustanna potrzeba teatru, oklasków, bliskości, jaka się wywiązuje między aktorami a publicznością, może też wynikała z tego kryzysu w naszej rodzinie.

Miłość jest jedna na całe życie?

Jest wiele jej odmian. Z Patrickiem jesteśmy w związku 20 lat i wciąż się bardzo lubimy. Czasami to jest ważniejsze. Miłość to tajemnica. Nie wiadomo, dlaczego się zakochujemy albo odkochujemy. Wiemy natomiast, dlaczego kogoś lubimy. Patrick jest bardzo dobrym, zrównoważonym, optymistycznie patrzącym na świat człowiekiem. Ma w sobie czułość, jest sprawiedliwy, opiekuńczy i pozwala mi być sobą.

Ideał.

Żeby pan wiedział. Jakie ma wady? Jego wadą jest to, że ich nie ma. (*śmiech*)

W nowym polskim filmie „Rzeczy niezbędne" gra pani dziennikarkę pomagającą psychicznie dojść do siebie dawnej koleżance z podstawówki, molestowanej w dzieciństwie przez swojego ojca. Skojarzyło mi się to z pani powieścią „Kołysanka polskich dziewcząt", gdzie też po latach dochodzi do terapeutycznego spotkania dawnych przyjaciółek.

To dwie różne historie. Scenariusz Kamili Tarabury pierwotnie nosił tytuł „Jedźmy, nikt nie woła". Dostałam go parę tygodni przed śmiercią ojca. Zawsze mi kibicował. Interesowały go poglądy polityczne aktorów, z którymi występowałam. Może nawet bardziej niż ich gra. Chociaż tata żył przeszłością, często dyskutowaliśmy o kinie. Mama wolała oglądać seriale. Jest mocniej osadzona w tu i teraz. Scenariusz bardzo mi się spodobał, ale odmówiłam. Polska bez ojca to nie był ten sam kraj. Za to gorąco namawiał mnie Patrick. Kamila z Kasią Warnke przyleciały do Nowego Jorku, żeby mnie przekonać i się poznać. Postawiłam warunek: jeśli miałam pracować, to tylko z czułymi i dobrymi ludźmi. Zawsze tego wymagam.

W jednym z wywiadów zażartowała pani, że jej kariera nie jest hollywoodzkim snem w stylu Toma Cruise'a. To jak ją pani postrzega?

Znajduję się w miejscu, w którym powinnam być. Uprawiam swój zawód 20 lat. Zarabiam, robiąc to, co kocham. Na tym polega mój sukces. Nie potrzebuję niczego więcej.

Sukces nie przyszedł za późno?

Ja sukces miałam od lat. Może nie płacą mi milionów, nie gram w superprodukcjach. Honoraria za występy na Broadwayu, w serialach takich jak „Miasto jest nasze", czy w ambitnych, autorskich projektach, jak „Imigranci" Jamesa Greya, gigantyczne nie są. Lecz nie musiałam rezygnować ze swojej pasji. Nie grozi mi dorabianie w restauracji jako kelnerka. Na tym polega moje spełnienie zawodowe.

Dlaczego po głównej roli w „Hrabim Monte Christo" Kevina Reynoldsa, gdzie zagrała pani Mercedes u boku Jima Caviezela, zniknęła pani na kilka lat?

© PAP

Po tym filmie, przyjętym bardzo ciepło, agent zaproponował mi przeprowadzkę do Los Angeles. Nowa twarz w dużej produkcji, powinnaś być na miejscu – mówił – masz poznawać ludzi od castingów. Ja w tym czasie spotkałam chłopaka z Brooklynu i się w nim zakochałam. Odpuściłam sobie Hollywood, bo taki mam charakter. Na pierwszym miejscu miłość. Kręciłam jakieś filmy w Nowym Jorku, ale wybrałam jego. Miałam zaledwie 23 lata. A jak potoczyłyby się moje losy, gdybym się jednak przeprowadziła?

No właśnie, jak?

Nie wiem. Wiem, co mam. I z tego jestem zadowolona. Wprawdzie nic z tamtego związku nie wyszło, ale nie żałuję.

Wiele polskich aktorek starało się zawojować Hollywood: Czyżewska, Pacuła, Figura, Bachleda-Curuś. Ale to pani osiągnęła z nich najwięcej.

Mam nad nimi tę przewagę, że przyjechałam do Stanów w wieku sześciu lat. Wychowałam się za oceanem. Skończyłam w Ameryce studia teatralne. Mówię lepiej po angielsku niż po polsku. To nie to samo, co zaczynać karierę w wieku 21 lat jako nieznająca nikogo polska aktorka. Podziwiam Marcina Dorocińskiego, że chociaż jemu się udaje.

Mając 48 lat, jaką przyszłość widzi pani dla siebie?

Chcę pracować z młodymi, zdolnymi ludźmi w małych, dobrze napisanych, niezależnych produkcjach podejmujących ważne tematy, jak „Rzeczy niezbędne". Właśnie skończyłam dwa seriale. Jeden z Jude'em Lawem, drugi z Jessiką Chastain. Nie wkładam 150 proc. energii w karierę. I to się nie zmieni. Najważniejsze są dobre relacje z ludźmi.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

REKLAMA

Artystyczna trasa SUZUKI. Co warto zobaczyć w ramach Warsaw Gallery Weekend i FRINGE Warszawa?

26.09 ruszyła 14. edycja Warsaw Gallery Weekend oraz inicjatywy FRINGE Warszawa. Wernisaże już za nami, jednak większość wystaw będzie odbywała się do końca listopada. Wiele z nich to artystyczne wydarzenia jesieni. Dlatego razem z SUZUKI stworzyliśmy dla was przewodnik. Artystyczna trasa prowadzi przez najważniejsze oraz mniej znane miejsca, które zdecydowanie warto odkryć. Jedziemy!

- **HOS, MOLSKI I LETO, ul. Dzielna 5**
  Podczas WGW w galerii HOS zagości również galeria Molski z Poznania, gdzie zobaczymy prace Zuzy Dołęgi i Konrada Juścińskiego (do 11.10), w HOS – queerowe obrazy Grzegorza Pieniaka (do 16.11), a w galerii Leto – Marcina Janusza.
- **IMPORT EXPORT, Al. Szucha 16/7**
  Dwie wystawy w nowej siedzibie galerii: SAGG Napoli, artystka-zjawisko, które przyciąga tłumy (do 26.10) oraz pokaz prac na papierze Teresy Żarnower (do 26.10).
- **GALERIA PROMOCYJNA, Rynek Starego Miasta 2**
  Artystka Małgorzata Mycek i kolektyw Przyszła Niedoszła kuratorują zbiorowej wystawie „Ogólnopolskie Targi Broni Białej" (do 16.11).
- **TURNUS, ul. Wolska 46/48**
  Wystawa „Tu i wtedy" duetu Ania Bąk, która tworzy obrazy na bazie tekstyliów i Piotr Kowalski – rzeźbiarza, wykorzystującego w pracach rzeczy ze złomowisk. (do 17.11).
- **FUNDACJA GALERII FOKSAL, ul.Górskiego 1A**
  Piotr Uklański – prawdopodobnie największa gwiazda tegorocznego WGW, pokaże cykl „Kwiaty zła" (do 16.11).
- **STROBOSKOP ART SPACE, ul. Siewierska 6,**
  Wystawa zbiorowa, której tytuł jest cytatem z ukraińskiej piosenki „Jak żyjesz? Czy rozkwitasz?" – trzy projekty, które łączy refleksja nad rolą artystycznej i kulturalnej społeczności w aktywizmie (do 16.11).
- **CENTRUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ, ul. Jazdów 2**
  Na zbiorowej wystawie „Robienie nowych światów zamiast dać spokój" zobaczymy prace kilkudziesięciu artystów, w większości młodych.

Patronem Przewodnika jest magazyn MINT.

SUZUKI to znany japoński producent samochodów osobowych, motocykli oraz silników zaburtowych. Marka adresowana jest do osób, które potrafią cieszyć się z życia oraz preferują aktywny styl. W Polsce Suzuki angażuje się w projekty związane ze sztuką – wieloletni partner Warsaw Gallery Weekend, a także wspiera rozwój wielu dyscyplin sportu – od boksu olimpijskiego po piłkę ręczną.

Długie opętanie

Po historię opętania matki Joanny od Aniołów artyści sięgali często i często kończyło się skandalem. Dla „Diabłów” reżyserowanych przez Maję Kleczewską w teatrze w Bielsku-Białej kontekstem są seksualne skandale na polskich plebaniach.

Lucyna Winnicka w filmie „Matka Joanna od Aniołów” w reż. Jerzego Kawalerowicza, 1961 r.

Obok, od góry: **film „Diabły” w reż. Kena Russella, 1971 r. Spektakl w Nowym Teatrze „Matka Joanna od Aniołów” w reż. Jana Klaty, 2019 r.**

ANETA KYZIOŁ

Kluczowe wydarzenia miały miejsce w prowincjonalnym Loudun w zachodniej Francji w latach 1632–34. Wtedy to demony zawładnęły duszą i ciałem matki Joanny od Aniołów, przeoryszy klasztoru urszulanek, oraz podlegających jej zakonnic. O rzucenie czarów na siostry oraz lubieżne czyny oskarżono księdza Urbaina Grandiera, charyzmatycznego proboszcza pobliskiej parafii, który nie krył się z liberalnymi poglądami i stylem życia. W 1634 r. został spalony na stosie. Do Loudun przybyli zaś egzorcyści, wśród nich ksiądz Surin, dla którego kontakt z matką Joanną i jej opętanym zakonem skończył się ciężką psychozą i kolejne dwie dekady spędził w zamknięciu w piwnicy.

Spalenie Grandiera nie uwolniło jednak sióstr od Złego. Opętania w Loudun ciągnęły się około dekady, stając się atrakcją turystyczną. Uwolniło za to Kościół oraz lokalnych i królewskich notabli od niewygodnego księdza. Elokwentny i przystojny Urbain Grandier słowem, piórem i czynem sprzeciwiał się bowiem obowiązkowi celibatu. Głosił libertyńskie kazania, ogłaszał rozprawy i miewał kochanki, a z nimi dzieci. Miarka się ponoć przebrała, gdy w ciążę zaszła z nim córka jednego z miejskich dostojników. Słane do kurii skargi nie przyniosły efektu, więc w mieście narodził się inny plan: zamiast oskarżenia o jurność oskarżenie o czary. Zauroczona księdzem matka Joanna miała się ponoć okazać bardzo podatna na sugestie swoich spowiedników, że za niewygodnymi dla niej uczuciami stoi Diabeł i jego uczeń Grandier. Tak przynajmniej utrzymują racjonaliści.

Kościół zamknięty

Może i te donosy pozostałyby bez reakcji, jednak małe Loudun stanęło na drodze wielkiej polityki i stało się inaczej. Kardynał Richelieu, druga po królu Ludwiku XIII osoba w ówczesnej Francji, twardą ręką wdrażał plan budowy autorytarnego państwa. Obejmował on walkę z lokalną arystokracją i innowiercami, a jednym z jego elementów było burzenie miejskich murów obronnych, co miało przeciwdziałać ewentualnemu oporowi niechętnych centralizacji. Proboszcz z Loudun głośno się tym planom

© FILM POLSKI AGENCY/ZRF „KADR”/EAST NEWS, MP, MAURYCY STANKIEWICZ

sprzeciwiał, także dlatego, że groziły buntem w mieście zamieszkanym w niemal połowie przez francuskich kalwinistów – hugenotów. Tym samym stanął w szranki z historią i sromotnie przegrał. Na torturach nie przyznał się do czarów, co tylko utwierdziło sąd w przekonaniu o jego winie. Część historyków twierdzi, że władze nie dotrzymały obietnicy i przed spaleniem na stosie nie został uduszony – miał spłonąć żywcem.

Spektakl, który Maja Kleczewska realizuje z dramaturgiem i teatrologiem Grzegorzem Niziołkiem w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej (premiera 5 października), jest inspirowany zarówno świadectwami historycznymi z procesu i opętań w Loudun, jak i ich przetworzeniami artystycznymi, ale kontekst jest współczesny i polski: to opowieść o władzy Kościoła sprzęgniętego z państwem i zakorzenionego w tradycji, zamkniętego na wiedzę, psychologię, wypierającego ciało i jednocześnie obsesyjnie nim zainteresowanego. – *Kontakty seksualne i cała sfera erotyczna są zakazane, a jednocześnie młody, piękny, niemal nagi i umierający mężczyzna z rozłożonymi ramionami na krzyżu jest symbolem tej religii i wisi wszędzie* – zauważa reżyserka. – *Zadajemy pytanie, czy katolicki koncept tłumienia libido jako trampoliny do duchowości ma sens.*

Kontekst dla bielskich „Diabłów" tworzą m.in. niedawne zapaści i śmierci seksworkerów na plebaniach w Drobinie, Sosnowcu i Dąbrowie Górniczej, po orgiach z księżmi, podczas których seks był doprawiany „narkotykami, stymulantami i dopalaczami (głównie mefedronem). Nie tylko wpływają na potencję, ale też rozluźniają, dodają odwagi i pewności siebie" – jak pisała niedawno (POLITYKA 39) Joanna Podgórska.

Loudun i Ludyń

– *Ciekawe, że temat Loudun, przez wieki uśpiony, powrócił po wojnie: Iwaszkiewicz, Huxley, de Certeau, filmy, dramat Johna Whitinga* – wylicza Grzegorz Niziołek. – *Dopiero wtedy zaczęliśmy rozumieć, co się wydarzyło w Loudun. Że to była jakaś prefiguracja konfliktów i napięć, które ujawniły się znacznie później. Wtedy były ekscesem, dziś są czymś, co przenika naszą rzeczywistość.*

W 1942 r. Jarosław Iwaszkiewicz napisał opowiadanie „Matka Joanna od Aniołów", w którym akcję opętań przeniósł z francuskiego Loudun do polskiego kresowego Ludynia na Smoleńszczyźnie, a głównym tematem uczynił kuszenie. W centrum stoi relacja matki Joanny z jezuitą Józefem Surynem (tutejsza wersja księdza Surina), zakończona swoistym targiem zauroczonego przeoryszą księdza z Diabłem. Mordując niewinnych parobków, Suryn oddaje duszę demonom, które w zamian mają opuścić matkę Joannę. W 1961 r. ekspresjonistycznie, w czerni i bieli, opowiadanie Iwaszkiewicza sfilmował Jerzy Kawalerowicz, z Lucyną Winnicką i Mieczysławem Voitem w głównych rolach. Kościół był oburzony, krytycy zachwyceni, wśród interpretacji pojawiała się i taka, że film jest komentarzem do stosunków między socjalistyczną władzą a Kościołem. Na festiwalu w Cannes „Matka…" otrzymała Srebrną Palmę, przegrywając złoto z „Viridianą" Luisa Buñuela.

W 1952 r. wyszły „Diabły z Loudun", książka non-fiction Brytyjczyka Aldousa Huxleya, w której starał się przedstawić sprawę z każdej strony: kościelnej, społecznej, politycznej, psychologicznej, a nawet parapsychologicznej. Jego dzieło stało się podstawą m.in. dramatu „Diabły" Johna Whitinga (1961 r.), który reżyser Konrad Swinarski podsunął kompozytorowi Krzysztofowi Pendereckiemu. Tak powstała awangardowa opera „Diabły z Loudun", w której fałszywie oskarżony przez urzędników, polityków i zakochaną w nim zazdrosną mniszkę, symulującą opętanie, ksiądz libertyn i rozpustnik, po torturach, już na stosie, nawraca się i po chrześcijańsku przebacza i prosi o przebaczenie. Jest tu wszystko, do wyboru do koloru: krytyka Kościoła i przejmujące świadectwo wiary i nawrócenia, pamflet na komunistyczne władze czy odwołania do rewolucji seksualnej lat 60. Uniwersalne i ambitne dzieło zrobiło karierę, z ponad 40 inscenizacjami na całym świecie jest jedną z najczęściej wystawianych współczesnych oper. ▶

▶ Prapremiera odbyła się w 1969 r. w Hamburgu, w reż. Swinarskiego, kolejna premiera – krótko później w Stuttgarcie, w reż. Günthera Rennerta. W Polsce pierwszy wystawił „Diabły" Kazimierz Dejmek w 1975 r. w warszawskiej Operze Narodowej. Zachwycony wykonaniem Jerzy Waldorff przywoływał w POLITYCE zachodnie, odważniejsze obyczajowo inscenizacje: „W Hamburgu publika oglądała kanonika najpierw uwodzącego młodą kobietę w konfesjonale, potem – nago! – siedzącego z nią w wannie. Kiedy matce Joannie, zgodnie z autentycznymi praktykami, egzorcysta każe zaaplikować lewatywę, celem wypędzenia z niej szatana – w Hamburgu pokazano to realistycznie, za podświetlonym prześcieradłem (…). W Stuttgarcie do roli mniszek zaangażowano stripteaserki, które zdzierały habity i na golasa harcowały po scenie. Odgłosy tych sensacji dotarły do Polski, więc kiedy nic takiego nie dostrzeżono w warszawskim Teatrze Wielkim, znalazło się sporo widzów rozczarowanych".

Spektakl Dejmka miał jednak inne atuty, choćby scenografię, która od razu mówiła, że „za chwilę przypomnimy jedną z wielu zbrodni ludzkości popełnionych w imię wzniosłych ideałów ludzkości". „W takich dekoracjach reżyser (…) przebudował warszawskie »Diabły« na wielki moralitet, w którym postać kanonika Grandier jest symbolem idealisty strasznie przegrywającego w walce ze złem – pisał Waldorff. – Ale nie ostatecznie: płomienie stosu, na którym ginie, długo będą z głębin historii przestrogą dla ludzi!".

Kategoria X

Kościół nie był zachwycony przywoływaniem przez sztukę sprawy z Loudun. Protesty biskupów miały miejsce przy okazji wielu wystawień opery Pendereckiego, w Polsce też się szykowały, ale uciął je kardynał Wyszyński. Jak wspominał Krzysztof Penderecki w 2013 r. przy okazji kolejnej inscenizacji w warszawskiej Operze Narodowej (reż. Keith Warner): „Wtedy na czele Kościoła stał wielki człowiek, który rozumiał sztukę. Teraz byłoby chyba inaczej". A jednak ten sam kardynał Wyszyński nie miał już tyle tolerancji dla „Apocalypsis cum figuris" Jerzego Grotowskiego, które w 1976 r. wyklinał z ambony jako bluźnierstwo.

Najwięcej protestów, zakazów i poruszenia wywołała filmowa interpretacja Kena Russella z 1971 r., inspirowana książką Huxleya. Jego „Diabły", z Oliverem Reedem w roli Grandiera i Vanessą Redgrave jako Joanną, były głosem sprzeciwu wobec autorytarnych zapędów skorumpowanego państwa i Kościoła wobec jednostki z jej przyrodzoną seksualnością. Film szokował rozbuchaną, anachroniczną scenografią (odpowiadający za nią Derek Jarman, reżyser m.in. wizyjnego „Caravaggia", filmowe Loudun wzorował m.in. na „Metropolis" Langa) i przede wszystkim mocnymi scenami tortur i seksu, w tym często cenzurowanymi: finałową masturbacją matki Joanny i gwałtem zakonnic na krucyfiksie. Te ostatnie przyniosły dziełu określenia w stylu „wielka fiesta dla sadystów i perwersów" oraz kategorię wiekową X, dotąd zarezerwowaną dla filmów pornograficznych.

W polskim teatrze największym echem odbiła się „Matka Joanna od Aniołów" według Iwaszkiewicza, wystawiona w 2002 r. w opolskim Teatrze im. Kochanowskiego przez Marka Fiedora. Jednak z przyczyn artystycznych, nie artystyczno-obyczajowych. Chwalony i nagradzany spektakl rozgrywał się w rynnie z błotem, wokół której siedzieli widzowie. „W jednej z najpiękniejszych scen przez to morze błota brnie procesja. Odświętnie ubrane kobiety unoszą sukienki i brodzą jak czaple, mężczyźni ślizgają się i łapią równowagę, procesja zamienia się w groteskową przeprawę. Trudno wyobrazić sobie bardziej wymowny obraz tragedii człowieka zawieszonego między doczesnością a wiecznością" – pisała „Gazeta Wyborcza".

Siła zabobonu

Zaś prawdziwy wysyp teatralnych „Matek Joann" nastąpił całkiem niedawno w Warszawie i jeśli czymś szokował, to rozpiętością interpretacji. Jesienią 2019 r. premierę miały spektakle w Teatrze Powszechnym („Diabły", reż. Agnieszka Błońska) i w Nowym Teatrze („Matka Joanna…", reż. Jan Klata), rok później zaś, przełożona z powodu pandemii, „Matka Joanna…" w reż. Wojciecha Farugi w Teatrze Narodowym. Pierwszy był feministycznym spektaklem (z wykładem o anatomii waginy i łechtaczki włącznie), wpisującym dzieło Iwaszkiewicza w mizoginistyczny ciąg pokazywania kobiet jako nawiedzonych histeryczek, lekceważenia ich seksualności i odzierania z praw. Drugi, pełen odniesień do popkultury (ksiądz Suryn Bartosza Bieleni wiązał matkę Joannę Małgorzaty Gorol w stylu BDSM), rozgrywany na wielkich estradowych schodach, zwracał uwagę na pychę ludzi Kościoła. W trzecim gwiazdą była obsadzona w roli tytułowej Małgorzata Kożuchowska, estetyka zaś rozciągała się od wygłaszanych myśli mistyczki św. Katarzyny ze Sieny po żonglerkę Joanny siekierą i efekty rodem z horrorów w scenach opętań. W finale Joanna, z szelmowskim uśmiechem, zostawała świętą.

Wydawałoby się, że dziś, po wyborczym zwycięstwie koalicji antypisowskiej, kościelno-autorytarna historia z Loudun powinna nieco stracić w Polsce na aktualności. – *Jeśli spojrzymy na walkę kobiet o prawo do decydowania o swoim ciele – rząd się zmienił, ale sytuacja kobiet nie. A co z konkordatem? Co z religią w szkołach?* – pyta reżyserka bielskich „Diabłów". – *To jeszcze długo nie będzie świeckie państwo* – konstatuje. Dramaturg Grzegorz Niziołek dodaje: – *Władza Kościoła może być utrzymywana, bo jest duży lęk przed zmianą jego pozycji w życiu społecznym. To działa jak zabobon, nawet deklarujący się jako niewierzący mówią: a, ochrzcimy dziecko, albo: co komu szkodzi krzyż na ścianie w urzędzie, może nas ochroni przed jakimś złem*. Katolicyzm uczy też bardzo wygodnego niebrania odpowiedzialności za swoje czyny i słowa. W razie czego zawsze można zwalić winę – jak matka Joanna – na Złego, a samemu pozostać czystym.

Spektakl powstaje w Bielsku-Białej, nie w Warszawie, jak ostatnie realizacje „Matki Joanny od Aniołów", a także głośna antykościelna „Klątwa" w reż. Olivera Frljicia, która siedem lat temu wywołała olbrzymie protesty prawicy. – *Bielsko wyostrza ten temat: religijność i polityczność tutaj idą równo w parze i są radykalne. W związku z tym odbiór może być mocniejszy, niż byłby np. w Warszawie* – mówi Maja Kleczewska. A Grzegorz Niziołek przypomina, że w stolicy przy okazji „Klątwy" podział był wyraźny: – *W Teatrze Powszechnym spektakl oklaskiwała lewicowa publiczność, a na zewnątrz, przed teatrem, demonstrowali prawicowi obrońcy wiary i papieża Polaka, którzy spektaklu nie widzieli i nie zamierzali oglądać. Tu wydaje mi się, że jest większa szansa, że ta konfrontacja nastąpi podczas spektaklu. Na scenie i widowni może się odbyć zetknięcie z tematami, które może nie są do końca społecznie uświadomione, nie mówiąc już o tym, że przepracowane.*

Maja Kleczewska przypomina, że Iwaszkiewicz napisał „Matkę Joannę od Aniołów" w czasie wojny, w sytuacji zniewolenia. – *W tej historii jest coś podziemnego, niewidzialnego, co się chce wydostać cały czas, przemówić, czy to nazwiemy Diabłem, czy pożądaniem, pragnieniem, marzeniem. Może nasz spektakl, robiony teraz, tu, w Bielsku-Białej, jest też o tym, że niby mamy poczucie nowej polityczności po ośmiu latach, ale jednak kaganiec cały czas jest założony. Że to są tylko pozory wolności.*

Bez przesady z tą wolnością.

ANETA KYZIOŁ

Żywymi książkami często zostają osoby z grup narażonych na hejt i wykluczenie

Czytaj z moich ust

Te książki czekają między półkami, gotowe rozmawiać na każdy temat. Otwierają się same, z własnej woli. A są wśród nich prawdziwe bestsellery… Żywa Biblioteka, światowa inicjatywa antydyskryminacyjna, działa w Polsce od 17 lat.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Jestem żywą książką – mówi Katarzyna, matka osoby transpłciowej. Została nawet bestsellerem, wiele osób chciało ją wypożyczyć. Ostatnio w czasie Żywej Biblioteki w Domu Kultury w Katowicach Bogucicach po raz pierwszy była książką w dwu tomach, bo wystąpiła razem ze swoim 19-letnim dzieckiem, które mogło opowiedzieć o swoim doświadczeniu. – *Najwspanialsze jest to, że my, żywe książki, też się zmieniamy w takcie tych rozmów* – mówi Katarzyna.

Żywa Biblioteka polega na tym, że możemy „wypożyczyć" tytuł, czyli – w tym wypadku – konkretną osobę na półgodzinną rozmowę, w trakcie której opowie nam swoją historię. Żywymi książkami często zostają osoby z grup narażonych na dyskryminację, zmagających się ze stereotypami czy niesprawiedliwym traktowaniem. Książki mają reprezentować odmienne środowiska, bo właśnie akceptacja różnorodności jest tu celem nadrzędnym. Tytuły znajdziemy w „katalogu". Nad wypożyczeniami czuwają bibliotekarki i bibliotekarze, czyli osoby, które opiekują się „książkami" i doprowadzają je do czytelników, a także pilnują czasu. Wszystko poza tym jak w zwykłej bibliotece: jest „lada wypożyczeń", czyli centrum informacji, tu się wybiera tytuły z katalogu i otrzymuje kartę biblioteczną. „Czytelnia" to przestrzeń przeznaczona do rozmowy, czasem może być to trawa czy ławka szkolna. Książki lądują też na „półce", czyli w miejscu, gdzie czekają na wypożyczenie i mogą rozmawiać ze sobą, a także odpoczywają po rozmowach z czytelnikami.

Żywa Biblioteka to inicjatywa oparta na wolontariacie – żywe książki muszą często brać urlop w pracy na ten dzień. Można wypożyczenie „prolongować" – i rozmawiać dłużej. Istnieje też ▶

© AR ONE DAY PHOTO/FUNDACJA BATOREGO

▶ system bezpieczeństwa, żywa książka może zasygnalizować, że chce przerwać rozmowę. – *To mi się nie zdarzyło* – mówi Katarzyna.

W Sosnowcu też największym powodzeniem cieszyła się osoba niebinarna i rodzic osoby transpłciowej. – *Ucieszyło mnie to, że nasza czytelnia stała się miejscem spotkań z ludźmi, a nie tylko przestrzenią wypożyczania książek* – mówi Magdalena Boczkowska z miejscowej Mediateki. – *Najważniejsze wydaje mi się to, że czytelnicy wchodzą w dialog z „książkami" i dzielą się swoimi historiami.* To nie jest ani agitacja, ani wykład, tylko dialog.

Popularnością cieszyły się tu amazonka i freeganka. – *Bywa emocjonalnie. Czytelniczka rozmawiająca z osobą niebinarną rozpłakała się ze wzruszenia. Nie przypuszczała, z czym boryka się ta osoba, z jakim wielkim hejtem w szkole* – mówi Boczkowska. Przychodzą bardzo młodzi ludzie, ale też osoby starsze. Z ankiet wynika, że wiele osób jest zainteresowanych zagadnieniami religijnymi. Widać potrzebę poznawania kogoś zupełnie innego niż my.

© MARTIJN BERGSMA/LIVING LIBRARY NL

Pomysł Żywej Biblioteki powstał w Danii w 2000 r. Dziś spotkania takie organizuje się w kilkudziesięciu

Spotkania mogą się odbywać nie tylko w bibliotekach, ale niemal wszędzie: w domach kultury, w parku, w szkołach, w instytucjach, na festiwalach (ostatnio w czasie Pol'and'Rock Festival). Warunkiem jest kontakt organizatorów z siecią Żywa Biblioteka Polska, która skupia organizacje i grupy działające na terenie całej Polski. „Jeśli jesteś gotowy/a na zostanie organizatorką/em Żywej Biblioteki w swojej miejscowości – skontaktuj się z Koordynatorem/ką Regionalną w swoim regionie" – czytamy na stronie organizacji. Liderka Janina Piwowarczyk z sieci Żywych Bibliotek jest jedną z czterech koordynatorek wojewódzkich i organizuje te wydarzenia w Katowicach od dziewięciu lat. Rekrutuje też żywe książki, które nazywają MDK Katowice Bogucice-Zawodzie matecznikiem, bo czują się tam u siebie, bezpieczne, zaopiekowane. – *Pani Janinie się nie odmawia* – stwierdzają.

Ostatnia edycja Żywej Biblioteki była największa – aż 30 tytułów, 200–300 uczestników. Imponujący katalog. Można było wybierać spośród takich tytułów, jak rodzice autystycznych synów, osoba niebinarna, kierowczyni autobusu, muzułmanka, osoba z doświadczeniem życia w zakonie, feministka, kobieta poruszająca się na wózku, samodzielna mama, Ukrainka, rodzice dziecka transpłciowego, osoba z niepełnosprawnością ruchową, aktywna seniorka, aktywistka DDA (dorosłe dziecko alkoholika), były więzień, gej, gospodyni domowa, epileptyczka, dziecko świadków Jehowy, policjantka, kobieta z tatuażami, osoba z doświadczeniem choroby alkoholowej, autystyczna Ślązaczka, mama dziecka z niepełnosprawnością intelektualną.

Niektóre żywe książki pojawiły się po raz pierwszy, inne są już stałymi gośćmi, tak jak małżeństwo muzułmanki i imama. Po raz pierwszy pojawiała się kierowczyni autobusu czy była osoba zakonna. W internecie można znaleźć rozmowę z antropologiem kultury, który opowiadał o swoim doświadczeniu 24-letniej bezdomności. – *Spotkałem bezdomnych muzyków, architektów, psychologów, dziennikarzy* – mówił. – *To pokazuje, że świat bezdomności jest inny, niż sobie wyobrażamy.* Osoba transpłciowa zauważyła, że przez te lata sporo się zmieniło, kiedyś ludzie przedstawiali jej pewne fakty, które miała im zburzyć, a dziś przychodzą już z pewną wiedzą, żeby zapytać o coś więcej. Szkot tatuażysta czy autystyczna Ślązaczka – wszyscy znajdowali swoich czytelników.

Historia Żywych Bibliotek w Polsce sięga 2007 r. – pierwsza została zorganizowana we Wrocławiu. Od tamtej pory ta inicjatywa wędruje po całym kraju. A sama idea powstała w Danii. W 1993 r. została zamordowana młoda osoba. Jej przyjaciele założyli w Kopenhadze stowarzyszenie przeciwdziałające przemocy, które przede wszystkim edukowało młodych ludzi. W 2000 r. zostali poproszeni o przygotowanie wydarzenia w czasie festiwalu w Roskilde. Wówczas pojawił się pomysł, żeby zorganizować coś w rodzaju biblioteki, tylko zamiast książek wypożyczać ludzi, którzy opowiadaliby swoją historię, bo to zmniejsza dystans. Ta edycja festiwalu została zresztą zapamiętana z innego, tragicznego powodu – aż dziewięć osób zginęło w wyniku paniki na koncercie Pearl Jam, kiedy tłum zaczął napierać na barierki.

W tamtej pierwszej edycji Żywej Biblioteki wzięło udział aż 75 żywych książek, m.in. policjant, polityk, feministka, grafficiarz i kibic. I okazało się, że spotkanie z człowiekiem-książką to dobry początek rozmowy. Tłum przestaje być bezimiennym tłumem. W 2004 r. Żywa Biblioteka została uznana przez Radę Europy za oficjalną metodę edukacji o prawach człowieka. I od tego czasu organizowano takie wydarzenia w kilkudziesięciu krajach.

Nie zawsze odbywało się to bezproblemowo. W 2011 r. w Radomiu po interwencji jednego z radnych władze miasta usunęły imprezę z miejskiego ośrodka kultury. Wzburzenie wywołała obecność geja. Organizatorzy nie ugięli się jednak i przenieśli imprezę do jednej z kawiarni. Tamto zdarzenie sprzed kilkunastu lat

krajach świata.

pokazuje, jak bardzo się Polska zmieniła. Żywe Biblioteki odbywają się dziś w wielu miejscach w Polsce, często biorą w nich udział uczniowie ze szkół wraz z nauczycielami. Zdarza się, szczególnie w małych społecznościach, że żywe książki wolą pozostać anonimowe, bo obawiają się reakcji otoczenia. Czasem ich zaangażowanie jest związane z przykrymi doświadczeniami dyskryminacji. Katarzyna opowiada, że jej dziecko niebinarne zostało kiedyś po szkole zaatakowane przez innych nastolatków. Teraz liczy się z tym, że może spotkać się z oprawcami jej syna. I kiedyś w czasie Żywej Biblioteki przyszli do niej osiemnastolatkowie ze szkoły mundurowej. Chcieli pogadać. Jeden z nich powiedział, że naplułby w twarz takiemu komuś jak gej czy osoba transpłciowa. – *Powiedziałam mu: „A jeśli twój bliski kumpel powiedziałby, że jest osobą trans czy gejem, to co, zaakceptowałbyś go?". „No, jednak nie" – odpowiedział. „A pozwoliłbyś, żeby ktoś temu twojemu koledze napluł w twarz?"* – przytacza swoje pytanie żywa książka. „No nie, wtedy bym temu, kto mu grozi, przypier…" – brzmiała odpowiedź.

Tu nie chodzi o całkowite przekonanie kogoś, kto ma inne zdanie, ale o zasianie ziarna. Być może ten chłopak wróci do tej rozmowy kiedyś w przyszłości. Udało się usiąść razem i porozmawiać, to ważne. Przełamywanie stereotypów dotyczy nie tylko czytelników, ale i samych żywych książek. Katarzyna bała się seniorów. Wiedziała, że z młodymi ludźmi, których jest zawsze większość, można rozmawiać otwarcie. Ale spodziewała się oceniania i niezrozumienia ze strony seniorów. Tymczasem okazało się, że nie miała racji. Osoby starsze przekonały ją, że wszystko już było dawniej, tylko miało inne nazwy. Przychodzą do niej młodzi ludzie, którym brakuje akceptacji w domu, czasem nauczyciele, którzy nie wiedzą, jak pomóc uczniom, rodzice, którzy chcą zrozumieć swoje dzieci. „Chciałabym, żeby moja córka mogła tak się uczyć, chciałabym, żeby metoda Żywej Biblioteki stała się metodą wprowadzoną oficjalnie w kanon narzędzi edukacyjnych" – pisze na Facebooku jedna z uczestniczek.

Na facebookowej stronie Żywej Biblioteki można przeczytać wiele relacji, choćby tej dorosłej osoby z ADHD: „W ciągu pięciu godzin rozmawiałem z kilkunastoma osobami. Od bardzo młodych do nieco starszych. Rozmawialiśmy o lękach, obawach, wątpliwościach, stereotypach oraz radzeniu sobie z brakiem empatii i wszystkim tym, co związane jest z biologicznie uwarunkowanymi deficytami uwagi. Niemal za każdym razem moja osobista historia budziła pełną zdumienia, wręcz niedowierzania reakcję: »To dokładnie tak jak u mnie!«. Ogromne wzruszenie budziło we mnie to, że rozmowa ze mną kilka osób zainspirowała do podjęcia konkretnych działań i zmierzenia się ze swoimi problemami".

– *To chodzi o pracę u podstaw* – mówi Katarzyna. Okazuje się, że rozmowa w cztery oczy jest skuteczniejsza niż artykuły, wykłady, filmy, doniesienia medialne. W popularności Żywej Biblioteki odbija się stan społeczeństwa: alienacja, brak kontaktu, brak zaufania do podawanych przez media informacji. Ludzie bardziej wierzą w doświadczenie drugiego człowieka. Jak ujął to feminista (i żywa książka) nagrany w czasie jednego ze spotkań: „Brakuje nam rozmowy, nasz świat współczesny nastawiony na niebezpośrednie kanały kontaktu powoduje, że przestaliśmy rozmawiać, a tu patrzymy człowiekowi w oczy i mu wierzymy".

JUSTYNA SOBOLEWSKA

REKLAMA

Ekipa „Zielonej granicy”: Gabriela Łazarkiewicz-Sieczko (współscenarzystka), Tomasz Naumiuk (operator), Maria Blicharska-Lacroix (koproducentka), Marcin Wierzchosławski (producent), Katarzyna Warzecha (współpraca reżyserska) oraz reżyserka Agnieszka Holland zdalnie

Gdynia za granicą

Nagradzając Złotymi Lwami „Zieloną granicę”, jury oddało sprawiedliwość najgłośniejszemu filmowi ostatnich lat i wysłało środowisku sygnał: bądźcie odważni jak Agnieszka Holland.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Autorka „Zielonej granicy” potrafi kręcić filmy bez państwowych dotacji, wbrew woli politycznych decydentów, antysystemowe, otwierające umysły widzów na sprawy kłamliwie interpretowane bądź zamiatane pod dywan. Honorując ją, jury postąpiło słusznie. Pominięcie „Zielonej granicy” w werdykcie, czego domagała się część obserwatorów (bo film został już doceniony na świecie, wyjechał z Wenecji z ważną nagrodą, miał premierę rok temu i ci, którzy chcieli, już go widzieli), mogłoby być odebrane tak jak nieobecność jej filmu w gdyńskim konkursie rok temu – jako unik, ukłon w stronę władzy, której Holland zawadza.

Sens przyznania Złotych Lwów „Zielonej granicy” najlepiej wyraziła wręczająca je ministra kultury Hanna Wróblewska. „Niech nikt nie będzie nam cenzorem” – powiedziała, uśmiechając się przyjaźnie do zgromadzonych w Teatrze Muzycznym twórców. Nie sposób odebrać tych słów inaczej niż jako zachęty do działania zgodnie z własnym sumieniem, bez oglądania się na poprawność polityczną, widzimisię tego lub innego ministra. Dla przypomnienia: we wrześniu ubiegłego roku Zbigniew Ziobro napisał na portalu X o „Zielonej granicy”: „W III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy pokazujące Polaków jako bandytów i morderców. Dziś mają od tego Agnieszkę Holland”. „Zielona granica” nie jest kłamstwem ani manipulacją. Powstała z chęci niesienia pomocy i empatii dla krzywdzonych.

W liście skierowanym do środowiska artystka (z powodów osobistych nieobecna w Gdyni) powtórzyła to, co mówiła niedawno w wywiadzie dla POLITYKI: że pracując nad „Zieloną granicą”, zetknęła się z bezmiarem nieszczęść, cierpienia, przemocy, kłamstwa, pogardy i dehumanizacji. „Ten ból wciąż trwa. Sytuacja na granicy białoruskiej nie zmieniła się po zmianie władzy, a pod pewnymi względami zmieniła się na gorsze”.

Czytankom mówimy nie

Nagrody dla „Białej odwagi” Marcina Koszałki (za reżyserię, główną rolę kobiecą i drugoplanową rolę męską) to również część tego samego przekazu. Docenienie artysty idącego pod prąd, łamiącego tabu, odważnie korzystającego z prawa do wolności. Prawica potraktowała obrazoburczą opowieść o Goralenvolk, czyli kolaboracji części górali z Niemcami w czasie drugiej wojny światowej, jako szarganie narodowej świętości. Hejt, jaki spłynął na reżysera

po premierze, niewiele ustępował temu, z którym musiała się mierzyć Holland. Zarzucano Koszałce mijanie się z prawdą („Nie było żadnego góralskiego separatyzmu, który miałby podkreślać odrębność Podhalan od polskości"), zmyślenia, nadinterpretacje. „A przecież – pouczał Piotr Semka w „Do Rzeczy" – wystarczyłoby z pewną dozą pokory wobec faktów po prostu zrekonstruować autentyczne losy Wacława Krzeptowskiego, który przed wojną był jednym z politycznych liderów górali jako działacz Stronnictwa Ludowego, potem poszedł na kolaborację z nazistami i wreszcie zginął powieszony przez partyzantów AK na ulicznym słupie w Zakopanem".

Na szczęście twórcy „Białej odwagi" nie skorzystali z dobrej rady. Ich film nie przypomina szkolnej czytanki, marginalizującej zdradę i gloryfikującej nieskalanych polskich patriotów. Wyjątkowość, dojrzałość, wielkość tego widowiska polega na stawianiu niewygodnych pytań w duchu szekspirowskim. Brakowało w polskim kinie historycznym tak wielowymiarowej wizji wyczulonej na niuanse, z przepastną głębią spojrzenia. Chwała jury pod przewodnictwem aktorki Małgorzaty Zajączkowskiej, że to dostrzegła.

Rozczarowanie budzi zlekceważenie „Pod wulkanem" Damiana Kocura, polskiego kandydata do Oscara, wyróżnionego jedynie za profesjonalny debiut aktorski dla Ukrainki Sofii Berezovskiej, która profesjonalną aktorką nie jest. Zrodzony z poczucia winy i bezradności film 41-letniego reżysera od pierwszych pokazów budził mieszane uczucia. Przeważały opinie, że to materiał na etiudę, niepotrzebnie rozciągniętą do półtoragodzinnego eksperymentu, co jednak wydaje się bardziej nietaktem i złośliwością pod adresem tworzącego na własnych warunkach autora niż rzetelną oceną.

„Pod wulkanem" to jeden z trzech filmów pokazanych w Gdyni mierzących się z tematem wojny w Ukrainie. Tak duża liczba tytułów podejmujących na gorąco próbę dotknięcia koszmaru za naszą wschodnią granicą dobrze świadczy o sumieniu i wrażliwości polskich filmowców. Nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że zarówno „Ludzie" Macieja Ślesickiego i Filipa Hilleslanda, jak i „Dwie siostry" Łukasza Karwowskiego zostały zrealizowane tylko po to, by dać emocjonalny upust niezgodzie na to, co się tam dzieje. Dobre intencje twórców nie idą w parze z warsztatowymi umiejętnościami. Zamiast wyważonych dramatów pojawia się zlepek szokujących scen gwałtów, znęcania się, mordowania przez Rosjan niewinnych ukraińskich kobiet, co oczywiście działa na wyobraźnię, lecz niestety więcej ma wspólnego z pornografią przemocy niż ze sztuką.

Kocur ma nad nimi tę przewagę, że porusza się w skrajnie wyciszonych, delikatnych rejestrach, odwołując się do podobnej (nad)wrażliwości widzów co szkocka reżyserka Charlotte Wells w głośnym pełnometrażowym debiucie „Aftersun". „Pod wulkanem" przypomina reportaż albo improwizowany dokument z wakacji spędzanych na Teneryfie przez czteroosobową patchworkową rodzinę. Potocznie rozumianej akcji nie ma. Ważny jest nastrój. Nagle bliscy sobie ludzie na drugim końcu Europy dowiadują się z mediów, że na ich ojczyznę nastąpiła pełnoskalowa inwazja. Z dnia na dzień stali się wygnańcami. Nie mogą wrócić do Kijowa, muszą się odnaleźć w innych rolach, urządzić sobie życie w nowych warunkach. Lecz nie bardzo im to wychodzi. Brzmi jak banał, ale to nieprawda. Naturalna gra, egzotyczny pejzaż, ukradkowe spojrzenia, przypadkowe spotkania z czarnoskórymi – też przybyszami, tyle że z Afryki – są podszyte niedopowiedzeniami, tajemnicą, niejasnymi przeczuciami, podobnie jak we wspomnianej opowieści Wells o skomplikowanej relacji ojca i córki podczas all inclusive w Turcji.

U Kocura też wszystko jest labiryntem. Stan zaskoczenia, niepewność, zagubienie wpływają na więzi rodzinne, które ulegają powolnemu rozpadowi. Przytłoczeni odpowiedzialnością rodzice oraz ich dzieci, w tym nastoletnia córka intuicyjnie poszukująca swojej tożsamości seksualnej, poruszają się po omacku. Film jest intymnym portretem rosnącego poczucia zagrożenia i nieznajdującego rozładowania gniewu. Drobne i wielkie pęknięcia, które drobiazgowo, bardzo precyzyjnie śledzi, składają się na wielopoziomową panoramę życia w stanie permanentnego zawieszenia. Co znaczy być mężczyzną, ojcem, kobietą wychowującą nie swoje dzieci? Co zostało z tradycyjnych wartości? Do jakiego świata się przynależy? Te pytania, mimo że postawione bez wykrzyknika, niepokoją, poruszają, mają sens w szybko zmieniającej się rzeczywistości.

Polsko-duński film

Sądząc po liczbie otrzymanych nagród (pięć regulaminowych, w tym Srebrne Lwy, i kilka pozaregulaminowych, m.in. dziennikarzy), ale też po żywej reakcji widzów, za zwycięzcę tegorocznego ▶

© MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA

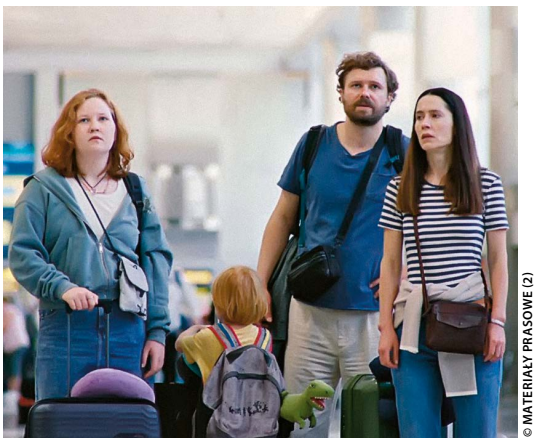

© MATERIAŁY PRASOWE (2)

Od lewej: **„Dziewczyna z igłą" w reż. Magnusa von Horna. „Pod wulkanem" w reż. Damiana Kocura.**

▶ festiwalu, należałoby uznać (oczywiście razem z „Zieloną granicą") „Dziewczynę z igłą" Magnusa von Horna – pozornie horror kostiumowy, wyrażający jeszcze mocniej, bo przez metaforę, silne i niezwykle aktualne, polityczne przesłanie. To wielki, spełniony film o tym, co się dzieje z jednostką, gdy opresyjne społeczeństwo nie daje możliwości wyboru.

„Dziewczyna z igłą" przedstawia bezalternatywną rzeczywistość, zmuszającą zdesperowane kobiety pragnące pozbyć się niechcianej ciąży do skrajnych zachowań. Fabuła toczy się w Kopenhadze w ostatnich miesiącach pierwszej wojny światowej. Jest oparta na faktach. Scenariusz nawiązuje do głośnego w Skandynawii procesu seryjnej morderczyni Dagmar Overbye, pochodzącej z maleńkiej wioski Assendrup niedaleko Kopenhagi, karanej za drobne kradzieże matki pięciorga dzieci. Prowadziła niedochodową cukiernię w kopenhaskiej dzielnicy Vesterbro, a prawdziwym zajęciem, z którego się utrzymywała, było pośrednictwo przy adopcjach.

W Kanadzie na festiwalu w Toronto film został odebrany właśnie jako ciekawy formalnie dreszczowiec, o czym z pewnym rozbawieniem opowiadał na konferencji prasowej producent Mariusz Włodarski. „W zachodniej prasie czytałem, że »Dziewczyna z igłą« rozgrywa się w czasach, kiedy aborcja była nielegalna. W Polsce sprawa ma się zupełnie inaczej niż przykładowo we Francji, gdzie prawo do usunięcia płodu zostało wpisane do konstytucji. Dlatego byłem bardzo ciekaw, jak film zostanie przyjęty przez naszych widzów" – mówił reżyser Magnus von Horn, dodając przewrotnie, że im bardziej temat rezonuje w danym społeczeństwie, tym mniej należałoby się cieszyć.

Film budzi różne skojarzenia m.in. z dojrzałą twórczością Ingmara Bergmana, naturalistyczną prozą Dunki Tove Ditlevsen („Trylogia kopenhaska") czy utrzymanym w duchu ekspresjonizmu dramatem „Lighthouse" Roberta Eggersa. Świetne są czarno-białe zdjęcia Michała Dymka i sugestywna scenografia Jagny Dobesz, nie mówiąc o zapadającej w pamięć muzyce Frederikke Hoffmeier (na scenie muzyki eksperymentalnej znanej jako Puce Mary), idealnie oddającej nastrój.

Pierwszy raz w konkursie krajowym zderzyły się dwa projekty wskazane do Oscara przez dwie różne kinematografie. „Dziewczynę z igłą" zgłosili Duńczycy. Mieli do tego prawo, gdyż jest to duża międzynarodowa koprodukcja mówiona po duńsku, choć zrealizowana niemal w stu procentach w Polsce. To, że duński kandydat do Oscara triumfuje jednak na polskim podwórku, wywoływało u niektórych dysonans poznawczy. Takie mamy jednak czasy.

Festiwal łączący

Tegoroczny konkurs dowiódł, że granice językowe, etniczne, kulturowe w polskim kinie już nie obowiązują. W połowie prezentowanych w głównym konkursie tytułów występowali zagraniczni aktorzy, dialogi toczyły się w obcych językach, nie tylko w ukraińskim, duńskim, angielskim („Minghun"), ale też w romskim („Wrooklyn Zoo") i białoruskim („Pod szarym niebem"). W przeszłości też się takie przypadki zdarzały – weźmy „Silent Twins" czy „Obywatela Jonesa" – lecz nie na taką skalę.

Z olśnień, które jury uznało prawdopodobnie za zbyt komercyjne, by je nagrodzić, szczególnie mi żal „Simony Kossak" Adriana Panka z fenomenalną rolą Sandry Drzymalskiej (nagrodzonej dla odmiany za kreację w „Białej odwadze"). Piękny poetycki hymn na cześć związków człowieka z przyrodą, upominający się o poszanowanie natury, co nabiera szczególnego znaczenia, gdy zmagamy się z konsekwencjami powodzi na południu kraju. Pominięcie wśród laureatów szaleńczej szarży Tomasza Włosoka, grającego w duecie ze wspaniałą Michaliną Olszańską tytułową rolę w „Kuleju", kolejnej nostalgicznej podróży do PRL, czy Marcina Dorocińskiego w wyciszonej, medytacyjnej opowieści o godzeniu się ze stratą w „Minghun", to chyba coś więcej niż przeoczenie.

„Widzę Gdynię jako festiwal łączący. Festiwal wspólnotowy. Festiwal dla wszystkich" – zapowiadała na ceremonii otwarcia Joanna Łapińska, od ubiegłego roku nowa dyrektorka artystyczna, powołana w miejsce Tomasza Kolankiewicza, którego odwołał minister kultury Piotr Gliński. I sprawdziła się zbudowana przez nią formuła festiwalu – odświeżonego, odpolitycznionego, łączącego środowisko filmowe na bardzo różnych poziomach.

Świetnym pomysłem okazała się zamiana Konkursu Filmów Mikrobudżetowych (opartego na kryterium ekonomicznym) na Konkurs Perspektywy, dający szansę zaprezentowania się przede wszystkim młodym. Dobrym posunięciem była nowa formuła cross-section nagradzania debiutów reżyserskich lub drugich filmów – wzorem najlepszych festiwali – przez osobne jury. Dzięki temu na ważną bohaterkę imprezy wyrosła Kamila Tarabura, autorka dramatu psychologicznego „Rzeczy niezbędne", w subtelny sposób podejmującego problem straumatyzowanego życia dojrzałej kobiety gwałconej w dzieciństwie przez ojca. Warto też zapamiętać nazwisko Korka Bojanowskiego, w zaskakująco mądry i wyważony sposób radzącego sobie w „Utracie równowagi" z ukazaniem zjawiska przemocy psychicznej i manipulacji w środowisku młodych aktorów.

Wyrazistym dowodem braku politycznych nacisków była orzeźwiająca nieobecność superprodukcji spod znaku patriotycznego kina historycznego, lansowanego przez poprzednią władzę. Do nieprzekonanych, że idzie nowe, apelowała Hanna Wróblewska w spocie emitowanym przed każdą projekcją: „Uczyńmy festiwal prawdziwym świętem polskiego kina". Z naciskiem na słowo „prawdziwy".

Oby tylko dopisała publiczność, bo z frekwencją na polskich filmach jest ostatnio tragicznie.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Psycholog Ewa Woydyłło-Osiatyńska, zapytana w podkaście Onetu o to, co nam mówią o potrzebach Polaków dwie kadencje Andrzeja Dudy, odpowiedziała: „Nie chcę rozmawiać o pornografii”. Dziwne. Jest przecież taka kategoria: Amatorki i amatorzy.

Zawodnik MMA Marcin Różalski wyznał w TVN, że w dobie dowolnej identyfikacji płciowej on identyfikuje się jako profesor i każe się tak tytułować. Jako fan mowy nienawiści będę do niego mówił „magistrze”.

Od 1 października kanał Silver TV, będący pierwszą telewizją dla osób starszych, ruszy w nowej odsłonie. A tam Norbi, Monika Richardson czy Vito Casetti. Z obsady jednoznacznie wynika, że nie mają ulg dla seniorów.

Daniel Olbrychski ujawnił, że przeżył pięć miłości. Monika Dzienisiewicz, Maryla Rodowicz, Zuzanna Łapicka, Barbara Sukowa i Krystyna Demska. Znam Daniela od lat. Spokojnie mógłby powiedzieć: A w pozostałych rolach…

Utwór „Moja i twoja nadzieja” grupy Hey był hymnem dla powodzian w 1997 r. Obecnie pod egidą TVP powstała nowa wersja piosenki, w której wystąpili m.in. Patrycja Markowska, Edyta Bartosiewicz, Oskar Cyms czy Organek. Posłuchałem. Bez powodzi nie do obronienia.

Jest. Kolejna perła dziennikarska. „Kuchnia Sylwii Bomby to połączenie nowoczesności z elegancją. Wszyscy fani pytają ją o ten blat”. To legendarny Plotek.pl. Pamiętam taki cytat z „Człowieka z marmuru”: „Złe adresy, źli ludzie, zła koncepcja, brak koncepcji”.

Krzysztof Cugowski wypowiedział się o przyczynie śmierci Felicjana Andrzejczaka: „Nie umarł na to, co mu dolegało”. Teraz już wiem, dlaczego Krzysztof nie pisze tekstów własnych piosenek.

Najbardziej znany medialny Romeo, czyli Maciej Kurzajewski, usunął ze swojego przedramienia tatuaż z imieniem byłej żony. A właściwie przykrył go głową Statuy Wolności. Pusta głowa. Mocne przesłanie.

Były prezes Orlenu, europoseł Daniel Obajtek został felietonistą tygodnika „Sieci”. Tym samym dołączył do globtrotera Ryszarda Czarneckiego. Tych obu coś łączy. Zamiłowanie do paliw.

© AKPA

Bluesman senior Maciej Maleńczuk opowiedział w Onecie, jakie dwa zdania można najczęściej usłyszeć z ust kibiców w Krakowie: „Na meczuś był? Na meczum był”. Tym, którzy nie rozumieją, podpowiadam, że Andrzej Duda też jest z Krakowa.

Krzysztof Rutkowski w ramach przygotowań do walki w Clout MMA poleciał do Tajlandii. Odziany w złoto, liczne włoskie etykiety oraz biznesklasę linii Emirates. Zdjęcia nie pozostawiają wątpliwości. Nie ma na świecie detektywa, który by znalazł w tym choć odrobinę smaku.

Średnio 256 tys. widzów śledzi w Telewizji Republika program publicystyczny „W samo południe”, który prowadzą na zmianę Ewa Bugała i Edyta Lewandowska. Dobry kierunek. Mój ulubiony bohater „W samo południe” to Jack Colby. W filmie nie odzywa się ani razu.

Do mediów trafiło wideo z erotycznego tańca Beaty Kozidrak podczas jednego z koncertów trasy z okazji 45-lecia zespołu Bajm. Wokalistka, odziana w leginsy i kabaretki, wygina ciało śmiało. Nie rozumiem oburzenia. Była przecież bez samochodu.

22-letnia Maria Jeleniewska i 26-letni Michał Korkosz, znany jako Rozkoszny, zostali twarzami serków Fantasia. Gratulacje. Po obejrzeniu reklamy wiem, że to była jedyna fantazja na planie.

„Julia Wieniawa chce wynająć mieszkanie za 7 tys.” – informuje na pierwszej stronie Gazeta.pl. „To o 2 tys. za drogo – ocenia ekspertka”. Jan Śpiewak ostrzegał, że kryzys mieszkaniowy to powrót do feudalizmu.

„W tej chwili w telewizji mamy 60 procent amatorów, którzy grają w różnych serialikach. Ilość wygrywa z jakością”. To Jan Englert. Niezwykły talent. W jednym zdaniu zmieścić pół obsady „M jak miłość”.

Marcin Miller, lider discopolowego zespołu Boys, poinformował społeczeństwo, że nie jest katolikiem, tylko prawosławnym, co powoduje, że Boże Narodzenie świętuje dwa razy. To normalne w tej branży. Niektórzy potrafią grać cztery koncerty dziennie.

[FELIETON]

Koziołek

Lekcje sadyzmu

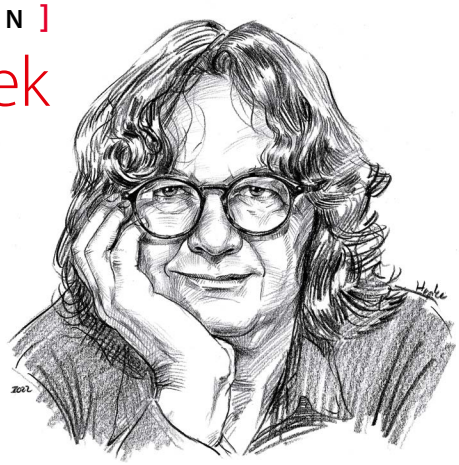

Co za barbarzyński sposób traktowania zwierząt – zatrzymała mnie sąsiadka przed kartką na drzwiach piwnicy z informacją, że wyłożono trutkę na szczury.

– No tak, ale jak inaczej się przed nimi bronić – zaprotestowałem. – Strach wejść do piwnicy.

– Nie wiem, nie znam się, ale chyba możecie w tych swoich laboratoriach wymyślić jakieś pyszne środki antykoncepcyjne dla szczurów, zamiast skazywać je na śmierć w męczarniach.

– Żyjemy w kraju, gdzie dla ludzi ich nie ma za darmo, a co dopiero dla szczurów – odpowiedziałem bezradnie.

– Mdli mnie od tego zakłamania. Torturujemy Bogu ducha winne gryzonie, a oglądając film, chcemy mieć pewność, że żadne ze zwierząt nie ucierpiało na planie. Może jak czyjś pies lub kot się pochoruje, wtedy zrozumiemy, co robimy – powiedziała i zerwała kartkę.

Oglądam polski serial kryminalny. W jednym z epizodów psychopata wycina nożem znaki na ciele związanej dziewczyny. Poza grozą odczuwam wstyd, że mogę na to patrzeć. Ale, tłumaczę sobie, chodzi o to, żebym zrozumiał i poczuł, jakim potworem jest ta postać. Kilka minut później twórcy każą mi to oglądać znów, tym razem wspólnie z policjantem, który dostał nagranie od mordercy. Ja już to widziałem, wystarczy mi. Nie ma powodu, abym ponownie oglądał torturowanie dziewczyny. Chyba że teraz chodzi już o to, żebym sobie jeszcze raz popatrzył i do grozy dołączył podejrzaną przyjemność, jaka powstaje z oglądania okrucieństwa i cierpienia. Próbuję oglądać do bólu irytujący „Kaos". Wytrzymuję do sceny, w której Hera każe Zeusowi uśmiercić spłodzone z ziemianką dziecko. Kamera odwraca się od dziecka, ale słyszymy chrzęst łamanego niemowlęciu karku. Toż to patostreaming na legalnej platformie!

Co my sobie robimy? Po co nam ten nadmiar sadystycznych obrazów i dźwięków? Czy rację miał Nietzsche, pisząc, że człowiekowi dobrze robi oglądanie cierpienia, a zadawanie jeszcze lepiej? Jeśli tak; jeśli nie dla zgrozy moralnej, trwogi i oburzenia obcujemy z obrazami okrucieństwa, to wystawiają one na pośmiewisko naszą moralność, empatię, wrażliwość. Gadanina, że z realistyczną dosłownością przedstawiona przemoc jest takim samym składnikiem sztuki, jak pejzaż czy rozmowa w kawiarni, obraża naszą inteligencję. Nigdy od początku świata ludzkość masowo nie przyglądała się śmierci, cierpieniu, okrucieństwu tak dokładnie, z tak bliska i tak długo jak my. Nie tylko nie jesteśmy lepsi od naszych przodków oglądających publiczne egzekucje, ale – jak pisał Zygmunt Bauman – poddajemy się procesowi „stępienia wrażliwości na obrazy okrucieństwa i cierpienia ludzkiego, oglądane dziś na co dzień, w warunkach tak normalnych i w ilościach tak olbrzymich, że nużą już bardziej, niż szokują".

Nie, wcale nie jesteśmy potworami, a jedynie banalnymi sadystami, w których zmienia nas zręcznie skonstruowany obraz lub opowieść. Warunkiem jest brak identyfikacji widza z ofiarą. Najłatwiej osiągnąć ten efekt, kiedy łączy nas z wydarzeniami tylko oko, które podąża za tym, czego dokonuje przemoc. Ból i tak, poza krzykiem, niemożliwy jest do przekazania.

Największy spec od scen przyjemnego okrucieństwa w literaturze polskiej, czyli Henryk Sienkiewicz, wiedział o tym doskonale. Poza nabitymi na pal atamanem Suharuką w „Ogniem i mieczem" oraz Azją w „Panu Wołodyjowskim" nic nas nie „boli" podczas lektury „Trylogii", choć czytamy o niepoliczonych sposobach kaleczenia i zabijania ludzi. Ważne, żeby nie podchodzić za blisko i zachować dystans, najlepiej epicki. Wówczas, z narracyjnej oddali, podziwiać efekt cięcia Podbipięty, czyli trzy tureckie głowy „równo ścięte wraz ze stalowymi czepcami od misiurek, jakby kto nożycami odkroił", albo mijać drzewo, na którym „czterech piechurów wisiało na pętlach razem, jak kupa drozdów".

„Ale przecież to konwencja" – tłumaczę sobie; to tylko znaki na papierze lub ekranie, nie rzeczywistość. Tej nigdy bym nie zaakceptował, a tym bardziej nie oglądał – perswaduję sobie, kładąc pod utrudzoną głowę bezpieczną poduszkę w postaci słówka „jakby", które bezpiecznie przypomina o zbawiennej różnicy między najrealistyczniejszą śmiercią i cierpieniem na ekranie lub w książce a tymi w życiu. Nie wiem dlaczego, ale coraz gorzej działa ten literaturoznawczy egzorcyzm. Narasta we mnie pewność, że nawet zło czynione na niby, tylko jakby naprawdę, jednak infekuje, co najmniej sny. Na jawie zaś mnożą się sprzeczności między współczuciem a kryptosadyzmem. Paranoja współczesnej polityki wrażliwości na cierpienie wszystkich istot polega na tym, że godzimy się, iż nie ma takiego okrucieństwa i cierpienia ludzkiego, którego nie bylibyśmy w stanie znieść przedstawionych w słowie i obrazie. A równocześnie nie potrafię sobie wyobrazić, że oglądamy podobne sceny z udziałem zwierząt. Chyba że patrząc z daleka, najlepiej z góry.

„Na polnej drodze leży martwy żuk./ Trzy pary nóżek złożył na brzuchu starannie./ Zamiast bezładu śmierci – schludność i porządek./ Groza tego widoku jest umiarkowana,/ zakres ściśle lokalny od perzu do mięty./ Smutek się nie udziela./ Niebo jest błękitne./ Dla naszego spokoju, śmiercią jakby płytszą/ nie umierają, ale zdychają zwierzęta/ tracąc – chcemy w to wierzyć – mniej czucia i świata,/ schodząc – jak nam się zdaje – z mniej tragicznej sceny".

Wisława Szymborska, „Widziane z góry"

RYSZARD KOZIOŁEK

[FELIETON]

Orliński

Czerwony jak szelka

Od dawna podejrzewałem, że nasza transformacja ustrojowa miała u swych podstaw pewne nieporozumienie. Kopalnię argumentów znalazłem w książce Zofii Smełki-Leszczyńskiej „Cześć pracy. O kulturze zap***dolu". Autorka dużo uwagi poświęca językowi, jakim w latach 90. mówiono w Polsce o pracy, biznesie i kapitalizmie. Z naukową precyzją kulturoznawcy analizuje praźródła tego, co dziś eufemistycznie określa się jako „kulturę zarządzania z lat 90." (zwłaszcza gdy kolejny autorytet z tamtych lat ma w sądzie sprawę o mobbing).

„Od lat 90. pracownik miał być przeciwieństwem człowieka »starego systemu«, czyli przez całe życie lojalnego wobec jednej firmy i co gorsza, usatysfakcjonowanego ciepłą posadką, która nie miała nic wspólnego z robieniem kariery" – pisze autorka i ilustruje to wieloma cytatami, np. z wywiadu z 1995 r. z ówczesną szefową HR polskiego oddziału firmy Procter & Gamble, która tak opisała idealnego pracownika: „Przede wszystkim jest to człowiek dostrzegający różnicę między pracą a karierą, który zadecydował o określonym stylu życia. Wybrał pracę nie od 8 do 16, a stałe podwyższanie poprzeczki i posiada ciągle niespełnione aspiracje".

„Styl życia" był wówczas tożsamy ze „stylem pracy", bo na życie pozazawodowe po prostu miało nam wszystkim zabraknąć czasu: „Codziennie przychodzi do biura już o 7.30, a do domu udaje się mu wrócić dopiero koło 19" (to też o idealnym pracowniku Procter & Gamble). Że „skończyły się czasy, w których można przez 30 lat w jednej firmie robić to samo", o tym media trąbiły wówczas na okrągło, a niektóre powtarzają to do dziś. Co zabawne, jest kilkoro publicystów, którzy od 30 lat powtarzają to w kółko na łamach tej samej gazety (pominę tu nazwiska: uważny czytelnik polskiej prasy z pewnością je zna).

Zabawnie zbiega się to z dzisiejszymi narzekaniami na nielojalność roszczeniowych młodych pracowników. Głośne wypowiedzi mecenasów Matczaka i Gwiazdowskiego o młodzieży, która nie jest już gotowa „pracować 16 godzin na dobę", nie chce traktować firmy jako rodziny, potrafi odejść bez uprzedzenia, bo gdzieś zaproponowano stówę podwyżki, są przecież w świetle powyższych cytatów absurdalne.

Młodzież najzwyczajniej wciela w życie nauki, które przekazali jej starsi. Jeśli starsi mówią: „Mam na twoje miejsce innych chętnych", oni odpowiadają: „Za rogiem jest pracodawca, który mi da stówę więcej". Często zresztą zgodnie z prawdą. Dlaczego ta pierwsza postawa ma być „cacy", a ta druga „be"? Dlaczego właściwie to „podnoszenie poprzeczki" przez idealnego pracownika Procter & Gamble nie może oznaczać przejścia do Unilevera albo wręcz rzucenia tego wszystkiego w diabły, by wyjechać w podróż dookoła świata?

Odpowiedź widzę właśnie w tym fundamentalnym nieporozumieniu sprzed trzech dekad. Wszyscy wtedy kapitalizm znaliśmy słabo i powierzchownie. Używam pierwszej osoby, bo sam nie jestem bez winy. Dojrzewałem w innym ustroju, więc kapitalizm wyobrażałem sobie głównie na podstawie jego popkulturowego portretu – zachodnich filmów i seriali. Jak my wszyscy. Zawsze jednak traktowałem popkulturę serio, nawet jeszcze zanim zacząłem się nią zajmować zawodowo. Być może choć częściowo chroniło mnie to przed owym nieporozumieniem. Oglądaliśmy te same filmy i seriale, ale ja przyglądałem im się uważniej.

Mam wrażenie, że wielu moich rówieśników nie zrozumiało na przykład, co się naprawdę dzieje w filmie „Wall Street" z 1987 r. Dlaczego to się kończy w sądzie? Co główni bohaterowie robią złego, przecież tylko kupują tanio i sprzedają drogo, czy nie na tym ma polegać kapitalizm?

Monolog Gordona Gekko (wspaniały Michael Douglas), że „chciwość jest dobra, bo chciwość ma rację, chciwość działa, chciwość to esencja ewolucji", przyjęto u nas za dobrą monetę. Na polskiej giełdzie młodzi maklerzy w latach 90. z dumą nosili czerwone szelki, jak bohater tego filmu, by podkreślić, że wyznają ten sam system wartości.

W popkulturze takie zjawisko nazywa się „chybionym fandomem" (*misaimed fandom*). To ludzie, którzy źle zrozumieli (albo celowo wypaczyli) przesłanie jakiegoś utworu, więc identyfikują się z negatywnymi postaciami. Typowy przykład to entuzjaści Lorda Voldemorta albo Imperium Zła z „Gwiezdnych wojen".

Gordon Gekko w tym monologu kłamie. Jest drapieżnym inwestorem (*corporate raider*), który wrogo przejmuje firmy po to, żeby je zniszczyć i wyprzedać majątek. Wszyscy na tym tracą, nawet ci, którzy mu pożyczyli pieniądze na „inwestycję" (tylko że ci frajerzy dowiadują się o tym jako ostatni). Gekko potrzebuje do tego kretów wewnątrz firmy, którą zamierza zniszczyć. To są ludzie, którzy uwierzyli, że „chciwość jest dobra" – że krótkoterminowy zysk w postaci premii od wroga wart jest zdrady.

Charlie Sheen gra młodego maklera, zakochanego w Gordonie Gekko i jego światopoglądzie – a Martin Sheen gra jego ojca, który wierzy w staroświeckie wartości, jak lojalność czy solidarność. Film dużo uwagi poświęca konfrontacji tych dwóch postaw i w finale przyznaje rację ojcu (przepraszam za spojler).

Jako nowicjusze rozumieliśmy ten film inaczej niż widzowie na Zachodzie, którym pewnych rzeczy nie trzeba było tłumaczyć. Stąd nasz *misaimed fandom* w czerwonych szelkach. A te już dawno wyszły z mody, podobnie jak „kultura zap***dolu". I całe szczęście!

WOJCIECH ORLIŃSKI

[FELIETON]

Chutnik Plebanek

Egzamin z ludzkości

„Punktem wyjścia w moim filmie była przyzwoitość. To, że należy pomagać oraz że miłość i przyzwoitość powodują, że świat jest lepszy” – powiedział kilka lat temu Łukasz Czajka, autor filmu „O zwierzętach i ludziach”, w wywiadzie dla Onetu. Dokument opowiada o założycielach warszawskiego ogrodu zoologicznego Janie i Antoninie Żabińskich. W czasie drugiej wojny światowej para ratowała zwierzęta, ale nie tylko. Ukrywała też Żydów z warszawskiego getta oraz żołnierzy Armii Krajowej. Oprócz polskiego filmu, który miał premierę w 2019 r., nakręcono jeszcze „Azyl” w reżyserii Niki Caro, gdzie rolę żony dyrektora zoo zagrała znakomita amerykańska aktorka Jessica Chastain.

Film „O zwierzętach i ludziach” powstał m.in. na podstawie pamiętników Antoniny Żabińskiej. Czajka wykorzystał też wspomnienia córki pary, Teresy, która opowiadała, że ludziom nadawano pseudonimy w zależności od miejsca ich ukrycia. Ulokowanych w bażanciarni nazywano „bażantami”, były też „chomiki”, „wiewiórki”. Ten symboliczny rodzaj poufałości włączał ściganych w krąg wspólnoty ludzko-zwierzęcej. Czy też, jak byśmy dziś powiedzieli, w zbiorowość ściganych zwierząt pozaludzkich i ludzkich.

Te ostatnie okazały się bowiem w tamtych latach wyjątkowo nieludzkie. A i sens określenia „ludzkie” nabrał wówczas niebezpiecznie pejoratywnego znaczenia. Na szczęście były i takie osoby, jak Jan i Antonina Żabińscy. „Po prostu trzeba pomagać drugiemu człowiekowi, niezależnie od tego, kim jest” – to zdanie Żabińskiego można uznać za motto ich działania. Gdy naziści zabili część zwierząt, a inne wywieźli do Rzeszy, woliery, budki i stajnie stały się schronieniem dla ukrywających się Żydów i żołnierzy AK. Żabińscy uratowali ok. 300 osób, schronienia udzielili kilku setkom.

Piszemy ten felieton w czasie tragedii związanej z powodziami, które nawiedziły południowo-zachodnią część Polski. Sytuacja, jak zwykle w takich przypadkach, jest dynamiczna. Ludzie i zwierzęta będą jeszcze długo mierzyć się z konsekwencjami żywiołu. Skala tragedii jest ogromna, na szczęście stara się ją równoważyć fala pomocy. Słowo „ludzki” z każdym dniem nabiera coraz głębszego znaczenia.

Pomoc organizuje się też w bliskich nam kręgach literackich. Z inicjatywy pisarki Dominiki Słowik oraz Magdaleny Urbańskiej powstała na Facebooku grupa „Ludzie kultury na pomoc dla dotkniętych powodzią”. Działa też zrzutka – środki zostaną przekazane na wsparcie psychiatryczne i psychologiczne. Z kolei Kuba Ćwiek wspólnie z wydawnictwem Marginesy oferują nowe wydanie powieści „Topiel”, której akcja rozgrywa się w czasie powodzi w 1997 r. Pieniądze ze sprzedaży zostaną w całości przekazane potrzebującym w Głuchołazach, skąd pochodzi autor. Powstaje też wiele indywidualnych akcji podejmowanych przez ośrodki kultury i stowarzyszenia.

Wyraźnie brzmią też głosy troski o zwierzęta. Twórca Ośrodka Rehabilitacji Jeży „Jerzy dla Jeży” w Kłodzku napisał w mediach społecznościowych: „Jestem zrozpaczony, tak chyba zbliża się koniec mojej blisko 20-letniej przygody z jeżami. Nie mam szans na odbudowanie ośrodka i jego wyposażenie, przykro”. Natychmiast ruszyła zbiórka na pomoc dla jeży i ośrodka pana Jerzego. Pod postem pojawiły się słowa wsparcia, angażowano się też, by przewieźć zwierzaki w bezpieczne miejsce.

Setki osób ruszyło z pomocą przy zabezpieczaniu wrocławskiego zoo. Do niektórych schronisk ustawiały się kolejki, żeby przygarnąć chociaż na chwilę psy i koty. Zdjęcia uratowanego psa, jeża czy dzikich zwierząt stają się internetowymi wiralami. Instagramowy profil „Make Life Harder”, który na co dzień komentuje rzeczywistość, przyznaje również wirtualną nagrodę Fafika za wyjątkowe poświęcenie dla zwierząt. Od początku powodzi wiele osób zasłużyło na to wyróżnienie. W tle dyskusji o obowiązkowych badaniach dla myśliwych, które ci ostatni nazywają „dyskryminacją i skandalem”, mamy zatem również wspaniałe przykłady odruchów serca. Bez puszenia się i dorabiania ideologii.

Tak zresztą bywa przy okazji kryzysów. Zwierzęta, które padły ofiarą wojny w Ukrainie, również znajdują opiekunów. Reporter Wojciech Tochman założył fundację Klub Heban, która m.in. organizuje zbiórki na rzecz czworonogów. „Zwierzęta bólu nie pojmują. Ani huku bomb, ani pragnienia, ani głodu, ani porzucenia przez człowieka (…). Dlatego niesienie ulgi zwierzętom domowym (ale nie tylko takim), cierpiącym na wojnie i umierającym ze strachu, wydaje mi się ludzką powinnością” – pisze Tochman na stronie fundacji.

Te słowa układają się w całość z wypowiedzią twórcy filmu o Żabińskich, Łukasza Czajki: „Chciałem też pokazać historię o zwierzętach, które nie są tematem naszych podręczników i filmów historycznych. Miałem taką potrzebę, żeby też jakoś je wciągnąć w opowieść o przeszłości”. Pasuje to i do dzisiejszej sytuacji. Zwierzęta powoli wchodzą do naszej ludzkiej opowieści, w każdym razie w Polsce. Dobrze być w czołówce w tej kategorii.

Jan i Antonina Żabińscy dołączają do postaci takich jak Simona Kossak. Wielkich, choć nie całkiem docenionych. A dziś niestrudzenie działają współcześni bohaterowie i bohaterki, w mundurach i w zwykłych, codziennych ubiorach. W takich ekstremalnych sytuacjach, jak klęska żywiołowa czy konflikt zbrojny, widać nasze podejście do innych istot, ludzkich i pozaludzkich. Mamy nadzieję, że sytuacja unormuje się jak najszybciej, a my po raz kolejny zdamy wzorowo egzamin z ludzkości.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

© EAST NEWS

Wojciech Druszcz z Nagrodą Norwida

Miło nam poinformować, że były szef naszego działu foto Marek Wojciech Druszcz, fotoreporter i fotograf, został laureatem tegorocznej Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida w kategorii Sztuki plastyczne za wystawę „Obiektywnie": w Konstancińskim Domu Kultury „Hugonówka". Nagrodzona wystawa była retrospektywą twórczości Wojciecha Druszcza – prezentowała kilkadziesiąt spośród kilkunastu tysięcy zdjęć wykonanych przez ponad 50 lat jego pracy.

Nagroda im. Cypriana Kamila Norwida przyznawana jest od 2001 r. To coroczna uroczystość honorująca wybitnych ludzi kultury z terenu Mazowsza – artystów, którzy odznaczają się szczególną działalnością w jednej z czterech dziedzin: literatury, muzyki, teatru oraz sztuk plastycznych. Dodatkowo wręczany jest laur za „Dzieło Życia", czyli całokształt twórczości. W tym roku otrzymał go Wiesław Ochman, wybitny śpiewak operowy, tenor liryczny, zaliczany do grona najwybitniejszych artystów operowych świata.

30-lecie Szkoły Liderstwa

Szkoła Liderstwa im. Zbigniewa Pełczyńskiego (wcześniej: Fundacja Szkoła Liderów im. Zbigniewa Pełczyńskiego) obchodzi swoje 30-lecie. Od trzech dekad przygląda się temu, co kształtuje, jednoczy i dzieli polskie społeczeństwo. Jej diagnoza jest jasna: jedyną racją stanu w Polsce jest bezpieczeństwo. Jesteśmy bowiem wspólnotą zmęczoną podziałami, która ma tendencje do jednoczenia jedynie w momentach mobilizacji dużych ładunków emocji: powódź, Euro 2012, inwazja Rosji na Ukrainę, pandemia Covid-19... Każde z tych wydarzeń jest punktowe, a wybuch woli współpracy i pojednania szybko mija. Podtrzymywanie jedności w czasach względnego spokoju i wzmacnianie wspólnoty odpornej na wstrząsy to zadanie współczesnych liderów i liderek, którzy często nie rozumieją wyzwań teraźniejszości – zarówno na poziomie samorządu, jak i administracji centralnej.

Stąd podczas nadchodzącej gali jubileuszu (4 października) przedstawiciele Szkoły Liderstwa chcą zmotywować gości do refleksji i podjęcia działań w zakresie bezpieczeństwa (w różnych wymiarach) oraz poszukać odpowiedzi, czy społeczność Fundacji ma odwagę wieść prym w budowaniu fundamentów bezpieczeństwa Polski. Szkoła Liderstwa przypomni zatem o tym, jak tworzyć wspólnotę na bazie różnorodności i na co zwracać uwagę, by móc rzetelnie odpowiadać na wyzwania zmieniającej się rzeczywistości. A odpowiedzi poszukają m.in. Swiatłana Cichanouska, Ołeksandra Matwijczuk, gen. Waldemar Skrzypczak, Adam Traczyk i Jowita Michalska.

Partnerem wydarzenia jest Muzeum Historii Polski. Inicjatywę wspierają: Fundusz Obywatelski im. Ludwiki i Henryka Wujców, Google, Fundacja Veolia Polska i GenForward. Galę objęli patronatem honorowym marszałek Sejmu Szymon Hołownia oraz marszałkini Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska. Tygodnik POLITYKA wraz z TOK FM, magazynem „Liberté!" oraz NGO.pl są patronami medialnymi wydarzenia.

Szkoła Liderstwa jest najstarszym pozarządowym centrum edukacji przywódczej w Polsce. Od 1994 r. działa na rzecz rozwoju świadomego, opartego na wartościach liderstwa. Wspiera liderów i liderki różnych obszarów życia publicznego: w organizacjach pozarządowych, instytucjach samorządu terytorialnego oraz w partiach i organizacjach politycznych. Tworzy przestrzeń do spotkania między osobami o różnym światopoglądzie w myśl idei, że tylko w ten sposób można przeciwdziałać polaryzacji.

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Joanna Solska, Mariusz Janicki, Wiesław Władyka

Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*, Witold Pawłowski, Bartek Chaciński, Łukasz Lipiński *(wydania cyfrowe)*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*, Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*

PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30,*
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16,*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad/Graphics
www.izbaprasy.pl
PBC
leipa passion process technology
PRINTED IN POLAND
NAKŁAD KONTROLOWANY

Powódź, wybuch wulkanu, tornado.
Jechać czy nie jechać? – oto jest pytanie.

Turyści (nie)mile widziani

PODRÓŻE

„Powodziowi turyści" – ten termin w ostatnich dniach coraz częściej pojawia się w mediach. To ludzie, którzy ściągają na zalewane tereny tylko po to, żeby popatrzeć; stają na wałach, cykają fotki. Służby apelują o zaprzestanie wycieczek, przestrzegają, że to niebezpieczne, a korki mogą utrudniać akcję ratunkową. Dziennikarze tłumaczą, że takie zachowanie to fascynacja cierpieniem i wyraz braku szacunku dla zrozpaczonych mieszkańców, którzy właśnie tracą dobytek życia. Z drugiej strony turyści masowo odwołują zaplanowane na Dolnym Śląsku urlopy, obozy szkolne, wyjazdy integracyjne. Boją się o swoje bezpieczeństwo.

Generalnie to nic nowego – ludzi ciągnie do miejsc dotkniętych kataklizmami. Takie wycieczki doczekały się nawet oddzielnej nazwy: *disaster tourism*, turystyka katastroficzna. W Nowym Orleanie nawet dziesięć lat po przejściu huraganu Katrina biura podróży oferowały zwiedzanie wciąż zniszczonych rejonów. W 2010 r., po wybuchu wulkanu Merapi w Indonezji, który zabił ponad 350 osób i przesiedlił 400 tys., można było pojechać na wycieczkę Jeepem po okolicy. Turyści oglądali zniszczone domy, spalone drzewa, robili zdjęcia zwałom pyłu. Mieszkańcy sprzedawali im napoje i przekąski. W 2011 r., kiedy tornado zdewastowało Joplin w stanie Missouri, zabijając 161 osób i niszcząc tysiące domów, lokalne biuro podróży stworzyło dla turystów mapę najbardziej dotkniętych miejsc.

Bo oglądanie zniszczonych przez żywioł miast czy wsi fascynuje, daje człowiekowi odczuć jego małość wobec potęgi natury. A już sama obecność turystów zapewnia przecież mieszkańcom regionu zarobki. „Kochani, ogromna tragedia nawiedziła ziemię kłodzką, ale nie całą!" – mówił niedawno burmistrz Polanicy-Zdroju i apelował, żeby nie odwoływać urlopów, bo drogi są przejezdne, woda czysta, a restauracje i hotele w pełnej gotowości. Na stronie Dolnośląskiej Organizacji Turystycznej jest tabelka, która informuje, czy muzea albo zamki są otwarte dla zwiedzających. Słońce wyszło zza chmur, trwa porządkowanie zalanych terenów, ludzie potrzebują pracy, by wrócić do normalnego życia.

Urszula Jabłońska – reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

Jechać więc czy nie jechać? To pytanie będziemy zadawać sobie częściej, w miarę jak zmiany klimatu będą przyspieszać. Za nami apokaliptyczne lato – w Grecji z powodu temperatur sięgających 40 stopni zmarło w tym roku co najmniej sześciu podróżnych. Z Kenii, która także zmagała się z powodzią, trzeba było ewakuować turystów helikopterami. Zdarzało się, że na Sycylii hotele odmawiały przyjmowania gości z powodu suszy, w wyniku której wody nie starczało dla rolników.

Na pewno nie wolno wjeżdżać swoim Porsche na tereny, na których wciąż pracują służby ratownicze – myślę, że co do tego wszyscy są zgodni. Jednak w innych przypadkach nie jest już tak łatwo. Czy decyzja powinna zależeć od celu podróży? Na same tereny dotknięte tragedią lepiej się nie wybierać, ale czy kilka kilometrów dalej jest już w porządku? A może istotny jest czas, który upłynął od katastrofy? Pompeje, miejsce zniszczone przez wybuch Wezuwiusza w 79 r., to dziś jedna z największych atrakcji turystycznych Włoch i nikt przecież nie zadaje niewygodnych pytań. Mieszkańcy Joplin po przejściu tornada natomiast apelowali, żeby turyści dali im chociaż rok spokoju.

A może chodzi o intencję – czy kieruje nami tylko czysta ciekawość, czy może empatia i chęć wsparcia mieszkańców w trudnych czasach? Wydaje się, że najlepiej zapytać, czy jesteśmy mile widziani. Na pewno warto wybrać się do Polanicy-Zdroju, skoro burmistrz zaprasza i zapewnia, że jest bezpiecznie. Podobno jest tam piękna pijalnia wód. ■

© ŁUKASZ CYNALEWSKI/ AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM PRYWATNE, AN, MATERIAŁY PRASOWE

TECHNO

Zaczarowany ołówek

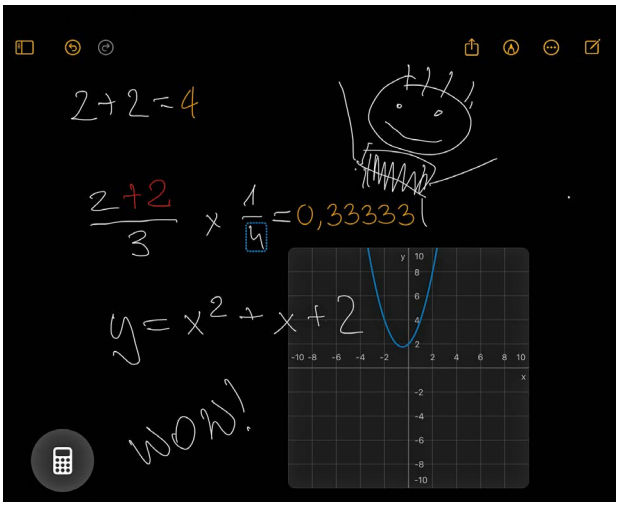

Elektroniczny kalkulator jest chyba najbardziej niedocenianym pradziadkiem współczesnego smartfona. I nudnym na tle cyfrowych aparatów czy walkmanów. No, może był ciekawszy, gdy był wbudowany w zegarek elektroniczny, dzięki czemu można było bawić się w Jamesa Bonda. Ale właśnie (jak to śpiewał Kraftwerk) „operatorzy kieszonkowych kalkulatorów" stali się inspiracją dla elektronicznej rozrywki. Pod koniec lat 70. Gunpei Yokoi z Nintendo zwrócił uwagę na znudzonych biznesmenów, którzy w pociągu bawili się kalkulatorami. Tak powstała konsolka Game & Watch, a w rezultacie – legendarny Game Boy.

Gdy na rynku pojawiły się komputery z systemami okienkowymi, jedną z podstawowych aplikacji były kalkulatory udające elektroniczne – można było dokonywać obliczeń przy pomocy klawiatury komputera albo klikać myszką w przyciski na ekranie. Bez kalkulatora nie mógł obyć się telefon komórkowy ani oczywiście smartfon. I tylko jedno współczesne urządzenie nie miało natywnego kalkulatora. Zaprezentowany w 2010 r. tablet iPad firmy Apple.

Dlaczego? Podobno wystąpiły problemy z zaprojektowaniem sensownego wyglądu – o ile udająca elektroniczną wersja na iPhone'a wyglądała doskonale, o tyle na dziesięciocalowym ekranie iPada robiła dziwne wrażenie. Znany z perfekcjonizmu Steve Jobs zdecydował się wypuścić urządzenie bez kalkulatora, a pytani o tę funkcję przedstawiciele Apple proponowali użytkownikom pobranie jednej z wielu aplikacji dostępnych w sklepiku.

Dlatego właśnie do historii przejdzie 16 września 2024 r., kiedy to na urządzenia trafiła najnowsza wersja systemu iPadOs 18. Po raz pierwszy od premiery na pulpitach tabletu pojawiła się szaro-pomarańczowa ikonka kalkulatora. Czy warto było czekać długich 14 lat?

Cóż, podstawowa wersja kalkulatora faktycznie nie wygląda za dobrze na dużym ekranie. Dużo lepiej prezentuje się kalkulator naukowy (niegdyś obiekt westchnień licealistów), ale cała zabawa zaczyna się po kliknięciu w opcję Notatki (matematyka). Do jej użycia będzie potrzebny rysik Apple Pencil. Przy jego pomocy wystarczy ręcznie zapisać jakieś działanie, a wynik pojawi się w „magiczny" sposób, naśladując pismo użytkownika. **Kalkulator-notatnik** radzi sobie ze skomplikowanymi równaniami, które można na bieżąco poprawiać, rysuje także wykresy zadanych funkcji i pozwala korzystać ze zmiennych. Nauczyciele powinni spać spokojnie – rozumienie matematyki nadal jest niezbędne.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Czemó tak szybko

Dziś będzie o tempie, w jakim rozchodzą się nowe słowa. Czemu? Bo jeszcze 9 września w internecie trudno było znaleźć „czemó". Dzień później statystyki Google Trends odnotowały lekką tendencję wzrostową, a 20 września popularność tego słowa osiągnęła apogeum – najbardziej w woj. warmińsko-mazurskim, a w najmniejszym stopniu w woj. dolnośląskim, gdzie młodzież miała niestety inne problemy na głowie. Najczęściej pojawiało się we frazach „Co znaczy czemó" albo „O co chodzi z czemó". A chodzi o to, że na TikToku pojawił się krótki filmik z rozgrywki w „Fortnite'a", dokumentujący rozstanie dwóch kumpli w wieku, sądząc po głosach, na długo przed mutacją. „Chciałem ci powiedzieć, że nie jestem już duo" – mówi pierwszy. Czyli że opuścił grę w parze (duetową). „Czemu?" – pyta drugi, ale że na końcu słychać coś pomiędzy „u" a „o", w zapisie internauci stosują „czemó". „Bo nie grasz ze mną tyle – brzmi odpowiedź rozżalonego kumpla. – Napisałem ci coś i już, nara, odczytaj to i kick ze znaj". To ostatnie sformułowanie oznacza wyrzucenie z grona znajomych.

Od czasu „Powiedz" Ich Troje słowo „czemu" nie było tak popularne w sferze publicznej. Podszyte zawodem „czemó" stało się memem, powszechną ripostą i hasłem kwitującym nieszczęścia takie jak rozstanie z dziewczyną lub blokada konta w ulubionej grze. „Przeraża mnie to, jak czas leci, bo gen Alfa przejmuje internet i ta ich nowomowa to w ogóle jest dla mnie niezrozumiała" – komentuje reprezentantka pokolenia Z. A inni zastanawiają się, czy lepszym kandydatem na Młodzieżowe Słowo Roku będzie „czemó", czy może jednak nic nieznaczący „azbest" z innego tiktokowego wirala, przeróbki sceny z filmu „Iniemamocni" – Elastyna zostaje wezwana przez nauczyciela, który zamiast o podłożenie pinezki (jak w oryginale) oskarża: „Pani syn, siedząc w ostatniej ławce, wylał na mnie azbest". Nowy sezon kreacji językowej można uznać za otwarty. Czemó? Bo dzieciaki wróciły z wakacji i usiadły przed komputerami.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Mamy wtorek, a na melo tu nie czeka się do piątku
Upadniemy, to podniesie to, co w worku
Opał i Gibbs, Wiem, dlaczego bloki płaczą, 2021 r.
melo = melanż, czyli impreza

MODA

Przepis na bis

Na swojej niedawno ogłoszonej reaktywacji grupa Oasis zarobi więcej niż wtedy, gdy królowała na listach przebojów. Kogo jeszcze do powrotu po latach przekonają wielkie pieniądze?

Aż 400 mln funtów przychodów z trasy, z tego po 50 mln funtów dla Liama i Noela – oszacowali naukowcy z Birmingham, gdy bracia Gallagherowie ogłosili, że po półtorej dekady grupa Oasis wróci przyszłego lata na sceny. Ale te rachunki szybko się zdezaktualizowały, bo do pierwotnie ogłoszonych 14 występów dopisano pięć kolejnych, a przy sprzedaży biletów zastosowano tzw. dynamiczne ceny: w odpowiedzi na ogromny popyt potrafiły w ciągu kilku godzin wzrosnąć ze 135 do 350 funtów. Gallagherowie mają rozważać rozszerzenie trasy o Europę kontynentalną, co pewnie podwoi ich urobek. Choć i bez tego – oceniają uczeni – zarobią więcej niż w całych latach 90., kiedy to radia na okrągło grały ich przeboje, a płyty podbijały rankingi sprzedaży.

„Przy tym newsie powrót Oasis w ogóle mnie nie obchodzi" – zaryzykował jakiś słuchacz pod wpisem amerykańskiej grupy TV on the Radio w mediach społecznościowych o tym, że również ona po dekadzie wraca do poważnego grania. Na razie mówią o Nowym Jorku, Los Angeles i Londynie, ale kolejne miejsca też mogą wypączkować – fani od razu zasypali ich wyliczankami państw i miast, które obowiązkowo mają jeszcze odwiedzić.

Sezon na reaktywacje oczywiście nie zaczął się teraz. Grupa Blur, która kiedyś pojedynkowała się z Oasis o miano królów britpopu, ma za sobą – podobnie jak Pulp – już dwa comebacki, bilety na zeszłoroczne koncerty wyprzedały się w kilka minut. Powrotna trasa **Guns N' Roses** trwała ponad trzy lata, objęła 175 występów z 5 mln sprzedanych biletów, co dało pół miliarda dolarów. Niewiele mniej zarobili The Police w latach 2007–08, gdy zebrali się na 30-lecie powstania tria (i 20 lat po jego rozpadzie). W rankingach najbardziej intratnych comebacków pojawiają się także Take That, Spice Girls, Black Sabbath, The Eagles czy Fleetwood Mac.

Kto będzie następny? Znawcy tematu w takich prognozach biorą zwykle pod uwagę dwie kwestie: ile będzie można zarobić i jak bardzo nienawidzą się obecnie członkowie zespołu. Na potencjalne zyski wskazują choćby informacje z serwisów streamingowych: jaką popularnością grupa cieszy się w nich mimo lat czy dekad nieobecności? I tutaj dane kazałyby obstawiać takie grupy jak One Direction (43 mln fanów na Spotify, o 12 mln więcej niż Oasis), Daft Punk (21 mln), R.E.M., Eurythmics (po 18 mln) czy Destiny's Child (14 mln), tym bardziej że solowa kariera Beyoncé wydaje się stygnąć. Za to fani nie powinni liczyć na powrót duetu Simon & Garfunkel, poza animozjami przeszkodą jest tu też wiek, czy Pink Floyd z Rogerem Watersem w składzie – rozejmy zdarzały się im na krótko i tylko w celach charytatywnych.

Tego rodzaju kalkulacje wykluczyłyby jednak również powrót Oasis, bo bracia zwykli obrzucać się obelgami przy byle okazji: na rozdaniach nagród muzycznych, w wywiadach, no i na Twitterze. A jednak wyliczenia podobne do tych autorstwa naukowców z Birmingham przekonały ich do powściągnięcia emocji. Media przypominają też, że niedawny rozwód Noela miał go kosztować 20 mln funtów.

Pytanie, czy temperamenty pozwolą im ze sobą wytrzymać do końca planowanego tournée. Gdy grupa The Stone Roses, inna legenda brytyjskiej sceny, wróciła po 15 latach, bilety na ich powrotną trasę też wyprzedały się w ciągu godziny. Ale już podczas trzeciego koncertu jej dalszy ciąg stanął pod znakiem zapytania, bo perkusista odmówił wyjścia na bisy. „Cóż mogę rzec, jest k...wą" – poinformował publiczność frontman grupy. Nazajutrz menedżer musiał uspokajać wystraszonych fanów, że do kolejnych miast zespół dojedzie w komplecie. Na jednym z koncertów reaktywowanego Jane's Addiction doszło do przepychanki między wokalistą a gitarzystą, a resztę trasy odwołano.

Bracia Gallagherowie znają się zbyt dobrze, by podobnego ryzyka nie uwzględnić w trakcie negocjacji. Znawcy rynku podejrzewają, że w kontrakcie zapisali, jakie odszkodowanie wypłaci drugiemu ten z nich, który przerwie trasę – kara zapewne jest tak duża, że skutecznie ostudzi emocje do ostatniego bisu. A co, jeśli zawinią obaj? ■

Mariusz Herma – W POLITYCE od dekady pisze o muzyce, o wszystkim innym w Fiszkach POLITYKI. Założyciel serwisu beehype, który zrzesza dziennikarzy muzycznych z prawie całego świata.

© KEVIN MAZUR/GETTY IMAGES, ARCHIWUM POLITYKI, INSTAGRAM.COM/BALLERINAFARM, LESZEK ZYCH

Żona wymarzona

To świadomy wybór: zamiast iść do pracy, zostajemy w domu, by dbać o mężów i dzieci – przekonują współczesne piastunki domowego ogniska, czyli tradwives. Czyżby?

Perfekcyjne panie domu przypuściły jakiś czas temu szturm na social media. Czy po to, żeby zaistnieć w świadomości społecznej inaczej niż gospodynie domowe? Zaprzeczyć popularnemu osądowi, że „dbanie o dom to nie praca"? To bardziej skomplikowane. Jak wiadomo, prowadzenie domu to, owszem, praca, tyle że niewidzialna i niedoceniana, choć, jak wyliczono, warta mniej więcej jedną trzecią PKB. Dla wielu aktywnych zawodowo kobiet obowiązki domowe są jak drugi, nie zawsze lubiany, etat. Tymczasem pojawił się ktoś, kto mówi: po co ci tyle stresu. Skup się na domu, piecz ciasta, dekoruj pokoje, noś ładne sukienki. Zyskaj czas dla rodziny.

Styl życia *tradwives* budzi jednocześnie fascynację, podziw, ale – zwłaszcza ostatnio – również współczucie. Tradycyjne żony niepokoją tym, że za naturalne uważają pełną zależność od mężów. Pokazała to niedawno dość wyraźnie afera z Hannah Neeleman, znaną jako **Ballerina Farm**. Neeleman stała się bohaterką reportażu Megan Agnew, dziennikarki brytyjskiego dziennika „The Times". To opowieść o tym, jak niedoszła balerina po prestiżowej Juilliard School zrezygnowała z marzeń o karierze, gdy w wieku 21 lat wyszła za mąż za dziedzica fortuny zbitej na liniach lotniczych Jet Blue. Szybko pojawiły się dzieci, aktualnie para ma ośmioro pociech i nie powiedziała w tej kwestii ostatniego słowa.

Neelemanowie są mormonami, co nie jest bez znaczenia, bo to społeczność znana z hołdowania tradycyjnym wartościom i stawiania rodziny ponad wszystko. Od lat żyją na okazałej farmie w stanie Utah, produkują i sprzedają własne sery, mąkę, mięso, ręcznie robione świece, a nawet… stoły, identyczne jak ten, który stoi u nich w jadalni. Uroczy biznes? Raczej doskonale prowadzona korporacja, która zarabia dzięki wizerunkowi „tradycyjnej amerykańskiej rodziny". Co w tym niepokojącego? Można by się nawet cieszyć, że w XXI w. siedzenie w domu da się przekuć w tak dochodowe zajęcie (a w przypadku Ballerina Farm mówimy o influencingu liczonym w milionach obserwatorów – 9 mln na Instagramie i 8 mln na TikToku).

Problem w tym, że tradycyjna rodzina to pojęcie zawłaszczone przez konserwatywne kręgi, tradycyjnie lubujące się w opresji kobiet. W USA, Wielkiej Brytanii, Australii, gdzie najprężniej szerzy się hasztag #tradwives (u nas szlaki przecierają m.in. Wiktoria Wilkosz czy Poliksena Wójtowiec), coraz głośniej mówi się też o tym, że spore grono tiktokowych tradycjonalistek wspiera postulaty tzw. alt-right, czyli skrajnej prawicy. Jak podkreślała w jednym z wywiadów dr Kristy Campion, australijska historyczka i filozofka zajmująca się ekstremizmem, rosnąca popularność tradwives w internecie niepokoi, bo w sposób niewinny, odwołując się do modnej estetyki vintage, gloryfikuje czasy, gdy oczekiwano od kobiet, że ich jedynym celem życiowym będzie zostać żoną i matką. A nie jest tajemnicą, że wiele kobiet w latach 50., do których z nostalgią nawiązują tradwives (np. Nara Smith czy Estee Williams), musiało znosić przemoc fizyczną, psychiczną i ekonomiczną, bo odejście od męża groziło ostracyzmem społecznym i popadnięciem w ubóstwo.

Grażyna Morek
– dziennikarka prasowa, przez lata szefowa działu Zdrowie w miesięczniku „Twój Styl". Zajmuje się problematyką zdrowotną, psychospołeczną, pisze o zmianach stylu życia Polaków.

Zmęczenie nierealistycznymi oczekiwaniami wobec współczesnych kobiet – wizjami kariery i skupienia na pracy jako źródle zewnętrznej walidacji – również wzmacnia pozycję tradwives. Mimo wszystko to, że mamy współcześnie więcej opcji w życiu od naszych babć i matek, nie oznacza, że wybór danej ścieżki jest w stu procentach wolny. Bo co ma zrobić kobieta, która wie, że nie będzie jej stać na prywatny żłobek? Nie zacznie przecież wtedy szukać pracy. A gdy weźmie urlop wychowawczy i doholuje dziecko do przedszkola, to czy praca na nią poczeka? Rzadko.

Wolny wybór byłby wtedy, gdybyśmy wiedziały, że pełnoetatowa praca wyłącznie na rzecz domu i rodziny gwarantuje chociażby godziwą emeryturę. W kraju, w którym połowa kobiet w ogóle nie pracuje (według GUS na tysiąc Polek aktywnych zawodowo przypada 1001 niepracujących), można uznać, że co druga z nas jest *tradwife*. Niestety rzadko z wyboru. ■

TREND

Czarna przyszłość

Zmienia się klimat, zmieniają się uprawy kawy. Niebawem w filiżance zamiast arabiki czy robusty być może znajdziemy ich kozieradkowo-daktylowy odpowiednik.

Świat kawy i kawoszy ma swoje kody i poziomy wtajemniczenia. Możemy się o tym przekonać zarówno przy okazji obchodzonego ostatnio Międzynarodowego Dnia Kawy (część krajów, w tym Polska, obchodzi go 29 września, inni 1 października), jak i na co dzień, w kawiarni, pytając, skąd są ziarna, z których przygotowywany jest napój. Odpowiedź najprostsza brzmi: arabika. Czytajmy to jako ogólną informację, że ziarna są jakościowe, ale zostaliśmy ocenieni jako amatorzy, nie zaś znawcy kawy. Gdy usłyszymy, skąd ziarna pochodzą – najczęściej będzie to Brazylia (odpowiadająca za produkcję 40 proc. kawy na świecie), potem inne kraje Ameryki Południowej (Kolumbia, Gwatemala), Afryki (Etiopia, rzadziej Rwanda i Kenia), rzadko Indonezja, Chiny czy Indie – to znaczy, że jesteśmy w wewnętrznym kręgu kofeinowego wtajemniczenia. Gdy nam zaś podadzą nazwę palarni – najlepiej własnej, w ostateczności lokalnej – jesteśmy w miejscu, gdzie eksperckość jest na najwyższym poziomie, a i my zostaliśmy uznani za znawców.

Gwarantująca dobrą jakość arabika – najpopularniejsza ze 124 znanych gatunków kawy – niestety wraz z galopującymi zmianami klimatu wkrótce może stracić status liderki. Krzew tej rośliny dobrze się czuje w temperaturze pomiędzy 15 a 20 stopni i ma delikatne zdrowie (czyli niską odporność na choroby atakujące kawę). Fala susz, która przetoczyła się przez Brazylię w 2021 r., zmniejszyła roczne zbiory aż o jedną trzecią. Według badań opublikowanych rok później przez Instytut Zasobów Naturalnych w Zurichu, w 2050 r. nawet połowa terenu, gdzie obecnie rośnie arabika, może przestać się nadawać do jej hodowli.

Także dlatego na popularności zyskuje drugi gatunek kawy, kojarzący się – często niesłusznie – z ziarnami gorszej jakości. Młodsza siostra arabiki, czyli robusta, jest odporniejsza na zarazę i może wytrzymać temperaturę zbliżającą się do 30 stopni. Od kilku sezonów trwają więc poszukiwania dobrej jakości robusty, sprawdzane są metody najlepszej obróbki tego ziarna. Według danych podawanych choćby przez specjalistyczny portal Perfectdailygrind.com, ceny tego gatunku kawy wciąż rosną, a w styczniu tego roku osiągnęły najwyższy poziom od 29 lat. Wietnam, który zajmuje odległe, choć drugie po Brazylii miejsce na liście producentów kawy (16,06 proc.), i gdzie uprawia się prawie wyłącznie robustę, to pierwszy front walki o jej jakość. „W przeszłości (kawa – przyp. red.) była gorzka i niskiej jakości. Teraz ziarna są zbierane, gdy dojrzeją, a potem przechowujemy je w odpowiedniej temperaturze i wilgotności", mówi cytowana przez „Al Dżazirę" właścicielka kawiarni w wietnamskim Buôn Ma Thuột.

W innym zakątku świata, w Ugandzie, o czym melduje „The New York Times", trwają eksperymenty z uprawą innych gatunków kawy, które lepiej znoszą upał i suszę. Jednym z nich jest liberica excelsa, która była już szerzej uprawiana pod koniec XIX w. – zanim ustąpiła arabice. I choć pierwsze testy naparu z tych ziaren dały rezultat zbliżony do „warzywnego bulionu", nie jest to koniec poszukiwań dobrego smaku, a ledwie jego początek.

Trwają też prace nad stworzeniem syntetycznego odpowiednika kawy. Firma Atomo wytwarza ją z mieszanki nasion daktyli, słonecznika, chlebowca, cytryny, białka grochu, kozieradki, gujawy, prosa, fruktozy, wzbogaconej odrobiną proszku do pieczenia oraz ekstraktem kofeiny wyciągniętym z zielonej herbaty. Już samo czytanie tej listy ze zrozumieniem i sensoryczną wyobraźnią może przyprawić o ból głowy, ale – jak pisze „The Guardian" – napar z tej mieszanki smakuje tak dobrze jak kawa. A może nawet trochę lepiej.

Zmiany klimatu, inflacja i pandemia wpłynęły na to, że w ostatnich miesiącach to nie tyle filiżanka kawy najmocniej podnosi ciśnienie, ale jej cena. W Londynie kawosze ze zgrozą przygotowują się na moment, gdy za cappuccino czy flat white przyjdzie im zapłacić 5 funtów; tymczasem w dużych miastach w Polsce w sieciówkach już można zobaczyć na rachunku 20 zł za kubek małej czarnej. A czarny – nomen omen – scenariusz jest taki, że niezależnie od poziomu wtajemniczenia w kawiarniach niedługo zamiast arabiki czy robusty zaproponują nam jej kozieradkowo-daktylowy odpowiednik. ■

Ola Salwa – absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

© GETTY IMAGES (2), ARCHIWUM PRYWATNE, RAFAŁ MASŁOW, SHUTTERSTOCK

Winiarski big bang

Ta historia zaczęła się od trzęsienia ziemi. Od tej pory winiarskie napięcie wciąż rośnie.

Jest tylko jedna taka wyspa – **Santorini**. Skalny obwarzanek pozostały po epickim wybuchu superwulkanu, który zmiótł z powierzchni ziemi cywilizację minojską, a jego efekty odnotowano nawet w Chinach. Wypełniona zawrotnym błękitem Morza Egejskiego kaldera to jedno z najpiękniejszych miejsc na naszej planecie.

Na widokowe tarasy wśród pocztówkowych białych domków, cykladzkich kościółków i wiatraków co roku ściąga 2 mln turystów. Trafiają tu dla instagramowych fotek, na miejscu zaś spotykają – poza niemiłosiernym w sezonie tłokiem – pyszną morską kuchnię, no i wino. Od kilku lat nie jest już tajemnicą, że pochodzące z Santorini wino białe należy do najlepszych na świecie. Na wulkanicznych piaskach – tam, gdzie jeszcze nie pobudowano hoteli i apartamentów – płożą się niesamowite winorośle, zaplatane dla ochrony przed porywistym wiatrem meltemi w charakterystyczne wianki. W ekstremalnych warunkach braku wody, silnych wiatrów, oślepiającego słońca i wysokich temperatur doskonale radzi sobie lokalna odmiana winorośli – assýrtiko.

Assýrtiko dziś uprawia się w całej Grecji, od Macedonii po Kretę, a także na dalekich lądach, takich jak Australia czy RPA. Ale to na Santorini rodzi wino najbardziej niesamowite. Słodkie słodyczą dojrzałej brzoskwini i moreli, świeże energetyzującą świeżością cytryny, pełne (nierzadko przekracza 14,5 proc. alkoholu), ale nigdy ciężkie, a przede wszystkim arcymineralne. Słony smak rozgrzanej w słońcu wulkanicznej skały jest tu namacalnie intensywny i przewija się przez wszystkie miejscowe wina, nawet te słodkie ze zrodzynkowanych gron, zwane Vinsanto, które ma historię jeszcze dłuższą niż wytrawne.

Jeszcze niedawno wino na Santorini butelkowała głównie miejscowa spółdzielnia Santo Wines oraz hurtownik z północy Grecji, Boutari, który w 1989 r. otworzył na wyspie nową winiarnię. To właśnie jego wino, Kallisti, zwróciło uwagę świata na Santorini. To był big bang, po którym wyspa nabrała jakościowego impetu. Pojawili się kolejni ambitni winiarze, jak Sigalas, Hatzidakis, Gaia Estate, na nowe tory wjechała wyspiarska rodzina Argyros. Dziś na Santorini działa blisko 20 producentów, a wina są najwyższej klasy. Na niedawnej degustacji zachwyt za zachwytem: Ftelos Karamolegosa gęsty jak oliwa i odświeżający jak świeżo wyciskany sok pomarańczowy; tajemnicza zdrojowa głębia Cuvée Evdemon Argyrosa; Oeno II, nowy projekt Sigalasa z megazmysłowym Akulumbo; Mikra Thira, winiarnia założona w 2018 r. na pobliskiej wysepce Thirassia i już zachwycająca indywidualnymi winami.

Sukces przyniósł również rosnące ceny. Na Santorini nie ma dzisiaj butelek poniżej 30 euro. Czołowe etykiety przebijają 80 euro i dostępne są tylko na zapisy. Ceny winogron w skupie, jakie winiarze muszą płacić rolnikom, należą też do najwyższych na świecie – do niedawna 5 euro za kilogram, ale w zeszłym roku, gdy gron z powodu suszy było wyjątkowo mało, chodziły nawet po 11 euro…

No właśnie, susza. To dla Santorini kluczowy problem. W 2023 r. suma opadów wyniosła 190 mm (za minimum niezbędne do uprawy winorośli uważa się 300 mm), o 40 proc. mniej niż rok wcześniej, który i tak uznano za suchy. Teraz jest jeszcze gorzej. A przepisy, tak jak wszędzie w Europie, nie pozwalają na nawadnianie upraw. I tak zresztą brak wody, którą można by nawadniać. Niekontrolowany rozwój turystyki oraz budownictwa tworzą jeszcze większą presję na i tak niewystarczające zasoby. Areał winnic się kurczy, winiarze przebąkują o konieczności importu winogron z innych wysp. Jednak assýrtiko z Paros czy Naksos już tak wyjątkowo nie smakuje.

Przyszłość jest niepewna, ale teraźniejszość doprawdy wspaniała. Połączenie wulkanu, morza, wiatru i słońca daje winom z Santorini wyjątkowy smak. Szkoda, że tak niewiele etykiet z wyspy możemy dostać w Polsce, jednak będąc w Grecji, nie przegapcie okazji, by spróbować najbardziej niezwykłego białego wina na świecie. ■

Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Obecnie Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".

WINO

Gaia Santorini Thalassitis, 137 zł (kieliszkibutelki.pl)
Sigalas Santorini, 159 zł (melideli.pl)
Gavalas Santorini Natural Ferment, 199 zł (greckieprzysmaki.pl)
Karamolegos Santorini Louroi Platiá, ok. 70 euro (internety zagraniczne)
Argyros Santorini Vinsanto Late Release, ok. 70 euro (internety zagraniczne)

Tako rzecze Jakub Augustyn Maciejewski („Sieci”): „Ignorancja Donalda Tuska po raz kolejny została obnażona – tym razem przez powódź. Ale nie łudźmy się (…) Tuskowi się upiecze – tragedie ludzkie zostaną unieważnione”. Wyjątkowo ohydna insynuacja.

Ale można pisać ohydniej. Jak Michał Karnowski z tych samych „Sieci”: „najbardziej przeraża coś innego: ich miny, postawa, mowa ciała i wrażenie ogólne, które sugeruje, iż ich to po prostu męczy, nudzi, że nie na takie rządzenie się umawiali. Oni są od »przywracania demokracji w Polsce«, a nie od zajmowania się brudną wodą zalewającą jakichś zwykłych ludzi”.

Są decyzje oczywiste w życiu każdego człowieka. To wielkie wyzwanie i wielki zaszczyt. Nikt nie zostanie sam! – Marcin Kierwiński w reakcji na powierzenie mu stanowiska pełnomocnika rządu do spraw odbudowy po powodzi, platforma X.

Michał Szułdrzyński z „Rzeczpospolitej”: „strony politycznego konfliktu w Polsce wykorzystały powódź do zwiększenia polaryzacji. Albo ktoś inny usiłuje tę polaryzację przy okazji powodzi zwiększyć. Zamiast jednoczyć się we wspólnym wysiłku solidarności, pomocy, skupiamy się na szukaniu winnych. Sympatycy prawej strony obwiniają za wszystko Donalda Tuska, sympatycy koalicji rządzącej zaś winią za wszystko PiS. Cały dramat, ludzkie tragedie, ogrom strat, wielkie wyzwania dla społeczności lokalnych, ale też i dla państwa, stają się tylko pretekstem do wzmacniania polaryzacji. Nic dobrego z tego nie wyniknie”.

Kataryna, która zwykle nie szczędzi gorzkich słów rządowi Tuska, czasami zaczepi też PiS („Plus Minus”): „Gdy tysiące ludzi walczą o swoje domy, a często po prostu o życie, partia Jarosława Kaczyńskiego pierwszy tydzień klęski żywiołowej spędza w dużej mierze na (…) jałowym zrzędzeniu. (…) PiS miota się między żenadą a podłością, nie wnosząc właściwie nic konstruktywnego do dyskusji o sposobie radzenia sobie z kryzysem przez obecny rząd, nie proponuje też nic rzeczowego, wybierając rolę niezadowolonego ze wszystkiego recenzenta. (…) Nie wiem, czy PiS nie chce lub nie umie inaczej, ale wybierając rolę kibica, mógłby przynajmniej zadbać, żeby nie powstało wrażenie, że w walce rządu z powodzią kibicuje powodzi”. Gorączka politycznego złota.

KOZA

Zkolei w „Newsweeku” Andrzej Stankiewicz rozszyfrowuje działania premiera: „Powodzi politycznie wygrać nie można. (…) Ale Tusk wie również, że powodzi można politycznie nie przegrać, jeśli zademonstruje się empatię wobec powodzian, twardą rękę wobec opieszałych urzędników i otwartą sakiewkę wobec najbardziej potrzebujących. (…) Kluczowe jest także to, że Tusk chce mieć jako powodziowego pełnomocnika polityka rozpoznawalnego, bo wtedy zdejmuje wizerunkową odpowiedzialność z siebie. Po prostu Kierwińskiego łatwiej będzie publicznie besztać – a wiadomo, że będzie za co”. A to ci przebiegły premier…

Jan Wróbel dystansuje się od uprawiania łatwej krytyki postaw premiera i prezydenta („Tygodnik Solidarność”): „I jeszcze ta niewiarygodnie małostkowa inba wokół dożynek z udziałem prezydenta – a my odwołaliśmy koncerty, mecze, wesela? Paplanina, że głowa państwa niemająca żadnych uprawnień do kierowania pracami wojewodów i służb, powinna koniecznie pojechać na tereny zalane wodą! Dopiero wtedy nieznający zmęczenia internetowi bohaterowie frontu ideologicznego mieliby o czym pisać: »A po cóż tam jechałeś, Adrianie?«. Głupsze są chyba tylko wydziwiania nad zupą szczawiową premiera Tuska”. I tak to się kręci.

Piotr Zaremba zapewnia czytelników „Plusa Minusa”: „Byłem krytyczny wobec Prawa i Sprawiedliwości, kiedy rządziło. Myślę, że samo mocno zapracowało na porażkę, a majstrowaniem przy instytucjach i normach otworzyło Tuskowi drogę do obecnych działań »na pograniczu prawa«. Można wymieniać przykłady partyjniackiej arogancji tego obozu. Choć można też wyliczać przykłady jego sprawczości oferującej Polakom konkretne społeczne zmiany”. Można też przypomnieć, jak redaktor Zaremba w laudacji dziękował Jarosławowi Kaczyńskiemu Człowiekowi Wolności 2016 (nagroda od tygodnika „wSieci”) za to, „że dał prawdziwy wybór Polakom. Że przełamał ileś tam determinizmów, rozbił ileś mitów, pokonał ileś tam polskich niemożności i włączył nas w grę o zmianę świata. (…) Że dał nadzieję na świat i bardziej skomplikowany, i lepszy”. A wyszło, jak wyszło.

O tym bardziej skomplikowanym i lepszym świecie Kaczyńskiego pisze w „Przeglądzie” Robert Walenciak: „Z różnych opowieści jego współpracowników wyłania się obraz człowieka, który sztukę manipulacji ludźmi uznał za clou polityki. I posiadł ją w stopniu doskonałym. Wojny, które wznieca, stan ciągłego napięcia, niepewności to jest ta atmosfera, w której najlepiej się czuje. Donosy, bezpieczniackie kwity, rozgrywanie jednych przeciwko drugim, napuszczanie jednych na drugich, zbieranie haków… No i kij i marchewka. Wizja stanowisk i opowieść, że inni także na te stanowiska czyhają. Oraz pieniądze. »Dopiero jak się ma forsę, to można się bawić w politykę« – to jego słowa. W ten sposób, grając na ambicjach, ale i na chciwości, zbudował partię. I podporządkował ją sobie”. I nikomu jej nie odda.

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!
Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Pakiety tematyczne naszych wydań specjalnych

Ja, My, Oni

Hen, daleko stąd

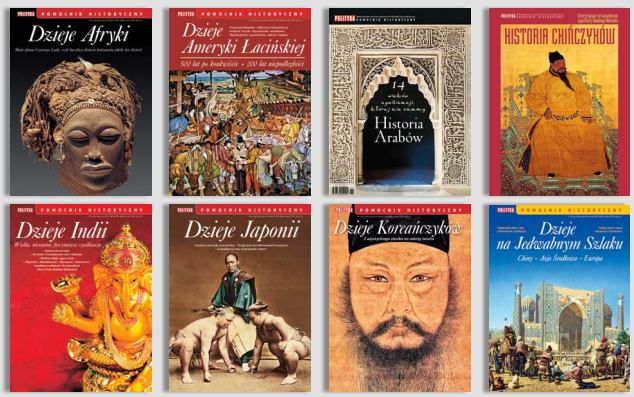

Aktualne numery naszych publikacji

Cyfrowe wydania specjalne (EPUB)

Książki autorów Polityki

Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

Zakupiono w NEXTO: 4070767